JACEK KOMUDA O BATORYM
Polski król zmiażdżył Iwana Groźnego w wojnie o Inflanty

ZŁOTY AMOK STANÓW ZJEDNOCZONYCH
Prawdziwa historia gorączki złota w USA to koszmar zdecydowanej większości poszukiwaczy tego kruszcu

NR 11(141)/2024 LISTOPAD 2024

CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

ISSN 2299-9515
DO RZECZY HISTORIA
Nr indeksu: 296 031

Jak Batory pobił cara

POSTRACH MOSKALI

Za każdą historią znajduje się kolejna, którą warto odkryć

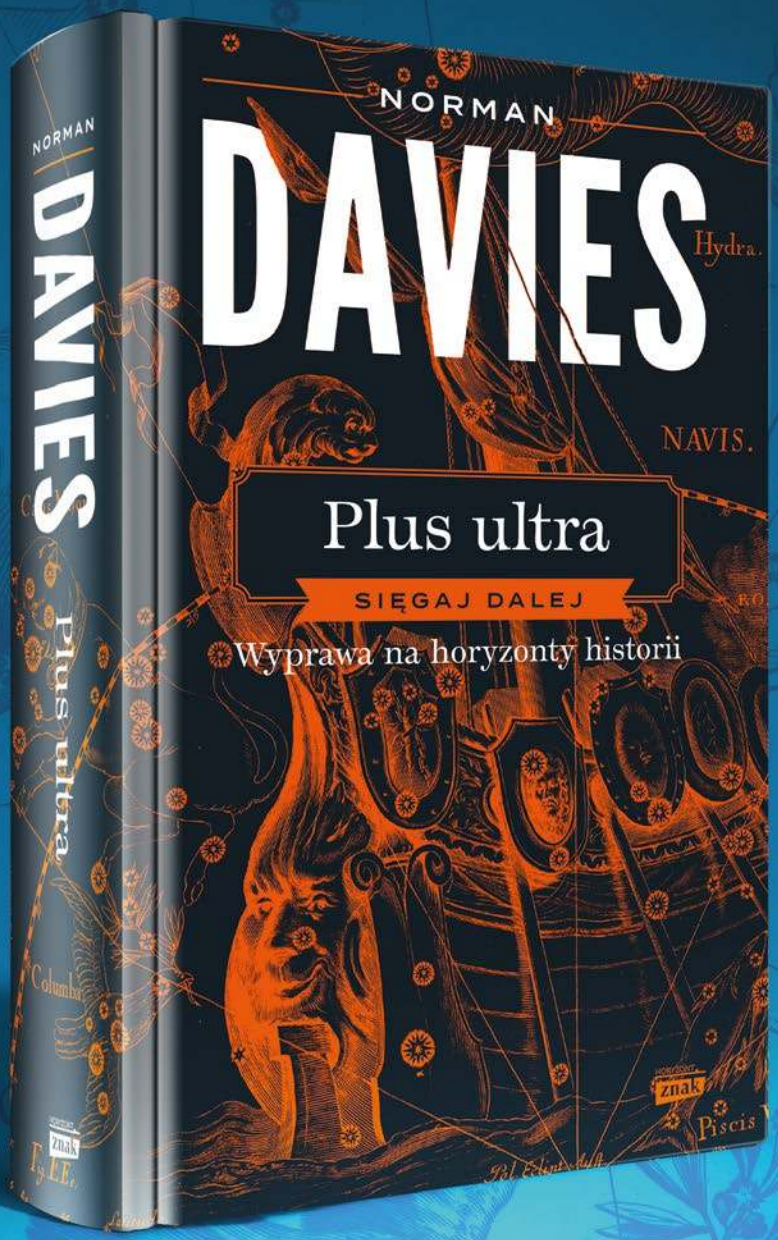

PREMIERA LISTOPAD 2024

eprasa.pl df5dd0fcf6

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA:
Orle Pióro SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD ORLE PIÓRO SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Adam Borzęcki
a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Komorowo, 1933 r.

Pomnik króla Stefana Batorego w Szkole Podchorążych Piechoty

FOT. NAC

Od redaktora

Piotr Włoczyk

Bat na Iwana Wasiljewicza

Nie dowiemy się zapewne, czy patriarcha Cyryl zrobił to specjalnie, by zrobić przyjemność swojemu przywódcy, czy było to zwykłe potknięcie języka. Rok temu, podczas szczytu Afryka – Rosja w Petersburgu Cyryl, zwracając się z mównicy do prezydenta Rosji, nazwał go „Władimirem Wasiljewiczem", by po chwili poprawić się i użyć właściwej formy: „Władimir Władimirowicz".

Część komentatorów stwierdziła, że reakcja Putina była czymś więcej niż zwykłym kurtuazyjnym uśmiechem. I faktycznie, oglądając to nagranie, można się doszukać na twarzy Putina prawdziwej satysfakcji. Takiego otczestwa używał bowiem jeden z najsłynniejszych carów – Iwan Wasiljewicz Groźny (syn Wasyla III Iwanowicza). A musimy pamiętać, że Putin darzy go wielką estymą jako władcę, który na dobre rozpoczął ekspansję Moskwy.

Z pewnością jednak rosyjski dyktator woli nie pamiętać tego, co spotkało Iwana Wasiljewicza na froncie zachodnim w starciu ze Stefanem Batorym, wybitnym władcą Rzeczypospolitej, który wyspecjalizował się w biciu Moskali.

Chociaż początkowo car zajął prawie całe Inflanty, to Batory szybko wyrzucił Groźnego na wschód, odcinając Moskwę na 100 lat od jej wymarzonego bałtyckiego „okna na świat". „Batory zadaje mu same klęski, osłabiając go do tego stopnia, że Iwan Groźny boi się stawić mu czoła" – pisze na naszych łamach Jacek Komuda.

Z wielką przyjemnością oddajemy w Państwa ręce numer poświęcony temu wielkiemu polskiemu królowi, który budził postrach u wrogów Rzeczypospolitej. Chociaż w jego żyłach próżno było szukać polskiej krwi (Batory nigdy nawet nie nauczył się mówić w naszym języku), to jednak doskonale rozumiał, czym jest interes narodowy państwa, którym rządził. Władca z Siedmiogrodu zreformował armię Rzeczypospolitej, zapełnił jej skarbiec, bezlitośnie gromił jej wrogów i snuł wielkie plany. Jaka szkoda, że zmarł tak przedwcześnie! ©℗

eprasa.pl df5dd0fcf6

/ TEMAT NUMERU

.6 JACEK KOMUDA
Pogromca Moskali

.12 SŁAWOMIR KOPER
Tajemnica śmierci Batorego

.16 MICHAŁ MACKIEWICZ
Węgierszczyzna w broni i w ubiorze

.18 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Psychopata na Kremlu

/ CZASY I LUDZIE

.22 PIOTR SEMKA
Złoty amok nad Klondike

.26 PIOTR WŁOCZYK
Desert One w ogniu

.30 ANNA SZCZEPAŃSKA
Kwestia ego Kaddafiego

.34 LESZEK LUBICKI
Złota ręka Żelisława

.38 MAREK GAŁĘZOWSKI
Wojenny los sanatorów

.42 MAREK KLECEL
Ucieczki Polaków z białego piekła

.46 JAKUB OSTROMĘCKI
Polskie czarownice

.50 MIKOŁAJ IWANOW
Ścięte głowy katów wielkiego terroru

. 54 ŁUKASZ CZARNECKI
W cieniu piramid

. 58 PIOTR KITRASIEWICZ
Filmowe gwiazdy polskiej okupacyjnej nocy

. 62 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Ukraińcy w Babim Jarze i w Chatyniu

/ CO CZYTAĆ

.66 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Barbara Toporska, żona swojego męża

.70 RECENZJE

/ FELIETONY

.72 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Za wszelką cenę

.73 PIOTR SEMKA
„Carter, ratuj nas!"

/ BATALIE I WODZOWIE

.74 PIOTR WŁOCZYK
Czarne łzy „Arizony"

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Fabryczny schabowy

/POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Błędne koło terroru

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Sowiecka kula dla polskiego generała

eprasa.pl df5dd0fcf6

REPUBLIKA

Zapraszamy na żartobliwy komentarz bieżących wydarzeń politycznych i krótkich fragmentów programów różnych nadawców.

PIACHEM W TRYBY

CODZIENNIE
21:45

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

W lipcu REPUBLIKA rozpoczęła nadawanie na ósmym multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej MUX-8 na kanale 51, dzięki czemu dociera już do 80% Polaków. Nadal można nas oglądać przez satelitę, w sieciach kablowych oraz w lokalnych multipleksach w Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku oraz w części woj. opolskiego i małopolskiego. REPUBLIKĘ obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl df5dd0fcf6

Jacek Komuda

Stefan I uznawany jest za jednego z największych królów Polski. Czy zdecydowała o tym waga jego dzieł czy to, że doskonale wpisywał się w narrację historyczną i nadzieje Polaków żyjących pod okupacją zmiażdżonej przez niego Moskwy?

1533–1586 / Stefan Batory

Pogromca Moskali

Aż do czasów drugiej elekcji Stefan Batory, książę Siedmiogrodu, nie zapisał się niczym w umysłach szlachty polskiej i litewskiej. Wiadomo jednak, że o koronie polskiej marzył; jego ambicje polityczne sięgały dalej niż granice księstwa. Kiedy na Woli stawali w szranki Ernest Habsburg i Henryk Walezy, nikt nie wspominał nawet o władcy sąsiedniego księstwa. Sytuacja zaczęła się jednak zmieniać, gdy w 1574 r. przybył na jego dwór uchodzący z Polski banita – Samuel Zborowski, skazany na wygnanie za zabójstwo kasztelana Wapowskiego. Był to syn Marcina, kasztelana krakowskiego. Korzystając z gościny, wprowadzał księcia Siedmiogrodu w sprawy polskie i być może już wówczas roztaczał przed nim wizje przyszłej korony.

Sposobność nadarzyła się niebawem. Henryk Walezy uciekł z Polski nocą z 18 na 19 czerwca 1574 r. na wieść o śmierci brata, króla Francji. Nie powrócił, wzbudzając gniew, a kiedy minął termin powrotu, ogłoszone zostało nowe bezkrólewie.

Czarny koń elekcji

Ród Zborowskich zaczął teraz popierać Stefana Batorego w staraniach o tron. Samuel wrócił do kraju na początku 1575 r.

eprasa.pl df5dd0fcf6

Jan Matejko „Stefan Batory pod Pskowem"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

i rozpoczął werbunek wojska – rzekomo dla obrony Siedmiogrodu, w rzeczywistości dla wsparcia księcia w elekcji, która miała się odbyć 8 listopada.

Jednak Batory przeciwników miał wszechpotężnych. Było wśród nich trzech Habsburgów – arcyksiążęta Ferdynand i Ernest, a nawet sam cesarz Maksymilian II. Oprócz nich o koronę walczył Jan III Waza – król Szwecji, a nawet… Iwan Groźny lub jego syn Fiodor. Książę Siedmiogrodu był wymieniany jako najmniej poważny kandydat. Niespodziewanie uzyskał pewne poparcie ze strony Turcji, która groziła wojną, gdyby na tronie zsiadł Habsburg. Polakom zalecała króla Szwecji albo „Piasta", a dopiero w ostateczności Batorego.

7 listopada na Woli stronnictwo prohabsburskie z prymasem Jakubem Uchańskim na czele i senatorami litewskimi forsuje kandydaturę cesarza Maksymiliana. Wywołuje to burzę, bo wrogie im ugrupowanie szlacheckie biskupa kujawskiego Stanisława Karnkowskiego i młodego trybuna szlacheckiego Jana Zamoyskiego, starosty bełzkiego, buntuje panów braci, wzywając, aby wybrano Piasta. Jest jednak kłopot. Kto miałby być owym Piastem? Z dostępnych kandydatów jest tylko jeden, a właściwie jedna – Anna Jagiellonka.

12 grudnia prymas Uchański ogłasza królem Maksymiliana II, co prawie wywołuje wojnę domową – ktoś następnego dnia strzela do niego z pistoletu. Zamoyski forsuje wówczas Annę Jagiellonkę i radzi znaleźć jej męża; wówczas kasztelan biecki Stanisław Szafraniec proponuje, aby uczynić nim Batorego, wbrew woli Anny. Jednak książę wydaje się najmniej kłopotliwym kandydatem. W dodatku to człowiek w sile wieku – miał 42 lata – i doświadczony na wojnach. 14 grudnia 1575 r. Batory zostaje obwołany przez szlachtę królem Polski. Jednak 20 grudnia na zamku, z woli senatorów, marszałek ogłasza władcą Maksymiliana, a jednocześnie Andrzej Zborowski na rynku w Warszawie obwołuje nim Batorego.

Podwójna elekcja powoduje impas. Habsburgowie są wściekli. Obawiając się buntu Węgrów, wysyłają poselstwa, chcąc wyperswadować Batoremu zamiar sięgnięcia po koronę. Tymczasem w Polsce stronnictwo szlacheckie bierze sprawy w swoje ręce i zwołuje pospolite ruszenie do Jędrzejowa. 1 lutego rusza na Kraków i wyrzuca stronników Habsburgów, zabezpieczając regalia koronne. Zaczyna się prawdziwy wyścig o tron. Batory wyrusza do Rzeczypospolitej, a przede wszystkim przekazuje pieniądze do skarbu koronnego – 100 tys. guldenów na zaciąg wojska, potem dodaje drugie tyle. 8 lutego w kościele parafialnym w Meggyes w Siedmiogrodzie przysięga pacta conventa wysłannikom szlachty. W tym samym czasie Maksymilian obiecuje popierającym go senatorom 100 tys. złotych, ale to tylko słowa. Cesarz i jego synowie nie mają pieniędzy. W kraju popierają go prymas Uchański, awanturnik Olbracht Łaski i kilkunastu senatorów. Jego bazami są Wielkie Księstwo Litewskie, Podole, Ruś Czerwona i miasta: Toruń, Elbląg, Gdańsk.

Batory wkracza w marcu od strony Mołdawii, wiodąc 3 tys. wojska. Najpierw staje w Śniatyniu na Pokuciu. 7 kwietnia wjeżdża do Lwowa, który ostatecznie opowiada się za nim; jednak największy problem jest z Litwą – jak dotąd żaden dostojnik z Wielkiego Księstwa nie składa mu hołdu.

Dramat małżeński

Batory dociera wreszcie do Krakowa, gdzie po uroczystym powitaniu spotyka się na Wawelu z Anną Jagiellonką. Tak rozpoczyna się pierwszy akt dramatu małżeńskiego ze starszą o 10 lat, podstarzałą królową, która ma nadzieję na związek z mężczyzną i – przy okazji – na ścisłe kontrolowanie współmałżonka. Batory, który całe życie zdawał się obojętny na uroki niewiast, decyduje się na

eprasa.pl df5dd0fcf6

theatrum – spędza z żoną kilka nocy we wspólnym łożu, a potem wprowadza w życie fortel.

Przeprowadził się bowiem do osobnej sypialni, a żonie obiecał, że może go odwiedzać, kiedy tylko pragnie. Tyle że zawsze, kiedy próbowała znaleźć Batorego w łożu, nigdy go nie zastawała, co zresztą za pierwszym razem wywołało u niej wybuch histerii i chorobę.

Kolejnym problemem staje się postawa prymasa Uchańskiego, który jako stronnik cesarza nie chce koronować Batorego. Tymczasem zgodnie z tradycją tylko prymas może nałożyć koronę na głowę elekta. Wówczas biskup kujawski Stanisław Karnkowski, zwolennik króla, stawia sprawę brutalnie: niech koronację przeprowadzi inny dostojnik, arcybiskupa należy ogłosić buntownikiem, rozpędzić zjazdy przeciwników i dokonać egzekucji na ich dobrach!

Batory nie ryzykuje konfliktu z Rzymem, nie chce wojny domowej; próbuje wziąć Uchańskiego na przeczekanie. Ta rozważna taktyka wyczekiwania się sprawdza – Litwa przysyła w końcu posłów. Jednocześnie Batory brutalnie rozprawia się z awanturnikiem Olbrachtem Łaskim, wyrzucając go z Lanckorony zajętej zajazdem.

Uspokajając kraj, Batory pokazuje raz dobrą, raz złą stronę króla. Metoda kija i marchewki się sprawdza. Tak postępuje np. z wojewodą płockim Anzelmem Gostomskim, stronnikiem cesarza, którego straszy odebraniem urzędu i starostw, kiedy ten nie chce złożyć mu hołdu. I ostatecznie zmusza go do tego bez użycia siły.

Anna Jagiellonka i Stefan Batory według Jana Matejki FOT. MNW

Prymas Jakub Uchański FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Ta prowadzona z wyczuciem polityka pokazała w pierwszych miesiącach sprawowania władzy, że wcześniej trzymający twardo mieszkańców Siedmiogrodu Batory potrafił jednak zrozumieć system polityczny Rzeczypospolitej. Wiedział, jak rozgrywać możnych i na kogo postawić; zapewne wówczas też podjął decyzję, która po części zaważyła na jego panowaniu. Otóż odtrącił ród Zborowskich, wyczuwając, że będą chcieli mieć wpływ na jego rządy. Postawił na Jana Zamoyskiego i jego stronników, umożliwiając byłemu sekretarzowi Zygmunta Augusta zrobienie niebywałej kariery politycznej.

Pamiętajmy wszakże o jednej, bardzo ważnej sprawie. W 1576 r. Batory miał do czynienia z zupełnie inną klasą polityczną szlachty niż jego następcy w XVIII stuleciu. To nie była zbiedniała rzesza szlachecka uzależniona od sprzedajnych, pasożytujących na ciele Rzeczypospolitej magnatów reprezentujących obce interesy. Za króla Stefana było to społeczeństwo republikanów, którzy choć przywiązani byli do wolności, to jednak potrafili poświęcać się w imię dobra publicznego. W czasach Batorego sejmy uchwalały konstytucje zbieżne z racją stanu państwa, nie były zrywane, zdrada oznaczała zdradę, a złamanie prawa – budziło potępienie.

Batory był tolerancyjny i miał szacunek dla praworządności. Drobny przykład: w dekrecie z jesieni 1576 r. potwierdził, że Żydzi nie są winni porywania i zabijania dzieci chrześcijańskich. Nie był też mściwy. Jesienią tamtego roku pozyskał dawnego rywala – Kaspra Bekiesza – wysyłając doń z mediacją Piotra Zborowskiego.

Tymczasem trwała dobra passa. Hołd złożyli książę pruski Albrecht Fryderyk, lennik Rzeczypospolitej, a po nim Toruń i Elbląg. I tylko jedno miasto nie przysłało posłów – Gdańsk. Mieszczanie bowiem w zamian za złożenie hołdu zażądali unieważnienia uderzających w ich interesy Statutów Karnkowskiego. I wtedy Batory pokazał kły. Wyjechał do Malborka, nakazał założyć blokadę miasta i wezwał rajców na sąd królewski, oskarżając ich o bunt. Na sąd nikt się nie zgłosił, więc monarcha rozpoczął oficjalnie wojnę ze zbuntowanym Gdańskiem.

Wojskowy reformator

Batory zaczął rządy w Rzeczypospolitej od reform wojskowych. Wkraczając do kraju, zastał na granicach nieliczne wojsko kwarciane – 1650 jazdy i 300 piechoty. Armia ta zdradziła Batorego, nie chciała iść z nim do Krakowa. Być może stało się tak za podszeptem hetmana Mikołaja Mieleckiego, stronnika Maksymiliana, który mógł wykorzystać to, że dopominała się o zaległy żołd. Batory rozwiązał kwarcianych i powołał oddziały gwardii – jazdę husarską odzianą w strój węgierski, która pobierała wyższy żołd – 18 złotych na koń na kwartał. Pierwszymi rotmistrzami zostali Andrzej Firlej, Marcin Kazanowski i Mikołaj Zebrzydowski.

Król Stefan zastał w wojsku porządki prawie średniowieczne. Roty jazdy składały się z ciężkich i zanikających powoli kopijników osłoniętych pełnymi zbrojami płytowymi, lekkich raców – usarzy, służących z drzewkiem oraz strzelców. Im dalej w wiek XVI, tym kopijników było coraz mniej, a coraz więcej szlachty – i to zamożnej, z dobrych domów – służyło po usarsku. Jednak kopijnicy wciąż trwali, choć nie nadawali się już do walki. „Najprzód siodła mieli na koniach tak wysokie, że pachołka zakrywały, a to bywało albo blachą okowane, albo do niego zasiadacz przywiązany, co ważyło ze trzy siodła teraźniejsze. Na pachołku zaś był pancerz, obrona taka, w której nie tylko kijem, ale nahajką mógł rycerza dobić. Nadto pawęż, albo tarcza ciężka, a pospolicie na niej skrzydło […], co wszystko z wielkim ciężarem i najmniej-

eprasa.pl df5dd0fcf6

szy wiatr rycerza zmordowało" – pisał o tej jeździe Andrzej Lubieniecki.

Idąc na Gdańsk, król stworzył nowoczesne chorągwie husarskie liczące od 50 do 100 koni i składające się z pocztów. Nakazał ujednolicić rynsztunek husarzy. Odtąd mieli używać pancerzy (kolczug) lub półzbroi płytowych, zarękawi, szyszaków, pałaszy, szabel, koncerzy oraz oczywiście – drzewek, lekkich, drążonych w środku kopii. To był początek wielkiej legendy tej formacji, obecnej na polach bitew aż do wieku XVIII.

Król, widząc niedostatek pieszego wojska, powołał w 1578 r. piechotę wybraniecką – z każdych 20 łanów ziemi w dobrach królewskich jeden chłop szedł do wojska. Miał sam sprawić sobie rusznicę i szablę, a jego gospodarstwo było zwolnione od obciążeń na rzecz pana. Batory zwiększył też rejestr zaporoski do ponad 500 ludzi. Po raz pierwszy nadał mu nazwę rejestrowego wojska zaporoskiego.

Kolejne reformy zwiększyły szybkostrzelność – wprowadził gotowe ładunki: drewniane miarki prochu z kulą, zawieszone na bandolierze. Batory próbował też wprowadzić jednolite umundurowanie piechoty wybranieckiej i nakazał centralne zaopatrywanie armii w żywność z magazynów.

Bunt Chłańska

12 lutego 1577 r. król rzuca na Gdańsk (zwany wówczas Chłańskiem) interdykt ognia i wody – wyjmuje miasto oraz jego mieszkańców spod prawa. Każdego gdańskiego mieszczanina można od teraz bezkarnie zabić, a jego posiadłości i majętności – zabrać. W odpowiedzi protestancki motłoch rabuje klasztor w Oliwie, a Batory kieruje cały handel do Elbląga i Torunia. Niestety, w zbliżającej się wojnie siły królewskie są słabe – to zaledwie 1446 jeźdźców i 1000 piechurów pod dowództwem Jana Zborowskiego. Tymczasem Gdańsk werbuje prawie 4 tys. żołnierzy pod wodzą Jana Winkelbrucha z Kolonii, dodaje do tego ponad 1000 mieszczan i postanawia rozbić siły królewskie pod Tczewem.

Dochodzi do bitwy, w której dzięki brawurowym atakom husarii i hajduków siły gdańskie zostają pobite na głowę

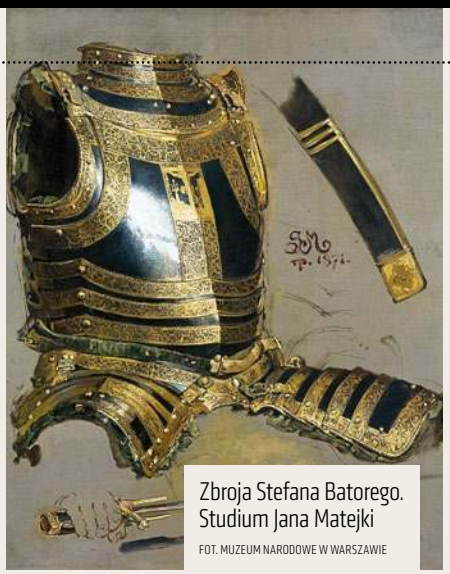

Zbroja Stefana Batorego. Studium Jana Matejki

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

nad Jeziorem Lubieszowskim. Jednak do pełnego zwycięstwa jest daleko. Batory oblega silnie ufortyfikowany Gdańsk, ale nie udaje mu się zdobyć Latarni, twierdzy broniącej dostępu do morza. Król ponosi porażkę i 12 grudnia podpisuje kompromis. Gdańsk ma przeprosić władcę, złożyć przysięgę i zapłacić podatki. Dodatkowo ma wypłacić 200 tys. złotych królowi, a 20 tys. tytułem odszkodowania za zniszczenie klasztoru w Oliwie. Natomiast sprawę Statutów Karnkowskiego i podatku nazwanego palowym odkłada się do najbliższego sejmu.

Jednak złą częścią rokowań z Gdańskiem staje się układ, który po wiekach zabrzmi złowieszczo. Jerzy Fryderyk Hohenzollern, margrabia Anzbach, uzyskuje kuratelę nad szalonym księciem pruskim Albrechtem Fryderykiem. Dochodzi do tego w okolicznościach, które nie wzbudzają niepokoju – książę lennik po prostu nie wywiązuje się z obowiązków lennych, nie przysyła wpływów z ceł z Piławy ani posiłków. Co więcej, bezczelnie wspiera Gdańsk. Z kolei Jerzy Fryderyk obiecuje wspierać Stefana, mediuje między królem i miastem, wreszcie przekonuje gdańszczan, aby ukorzyli się przed majestatem. W zamian uzyskuje kuratelę, przyrzekając, że będzie posłuszny woli królewskiej. W przyszłości wypłaci też Batoremu 200 tys. złotych, tak bardzo potrzebnych do wojny z Moskwą.

W tym samym bowiem czasie, kiedy Batory stał pod Gdańskiem, car Iwan Groźny atakuje Inflanty.

Kampania prowadzona jest z niezwykłym okrucieństwem. Poddające się załogi polsko-litewskie car puszcza wolno. Natomiast miejscową ludność, poddanych zakonu, a więc Niemców i Łotyszy, Moskale mordują w przerażający sposób, rozdzierając końmi, topiąc, wbijając na pale. Tatarzy dopuszczają się gwałtów na kobietach i dzieciach. Dlatego Batory musi działać szybko, przerywając oblężenie Gdańska, aby wyruszyć przeciwko odwiecznemu wrogowi Litwy i Polski.

Jak osmalić brodę carowi

Kampanie króla Stefana przeciwko Iwanowi Groźnemu obrosły legendą. Oto król wolnych ludzi, władca Rzeczypospolitej zadziwiającej świat wolnością i swobodami, rozpoczyna wojnę z krwawym tyranem Iwanem, księciem moskiewskim, który wyrżnął Nowogród Wielki i wprowadził opryczninę – pierwszą w historii policję polityczną. Batory zadaje mu same klęski, osłabiając go do tego stopnia, że Iwan Groźny boi się stawić mu czoła.

Zadziwiające jest samo przygotowanie kampanii – na sejmie w styczniu 1578 r. uchwalone zostają wysokie podatki na wojsko. Następnie król i jego doradcy zaciągają armię złożoną w znacznej części z piechoty, stanowiącą mozaikę wojsk i narodowości, w której skład poza Polakami i Litwinami wejdą Niemcy, Węgrzy, a nawet Włosi. Zamiast jednak iść na Moskwę i szukać rozstrzygnięcia w walnej bitwie, Batory zdecydował się odzyskać Połock, zdobyty w 1563 r. przez Iwana Groźnego, i przywrócić tym samym kontrolę nad Dźwiną. Historycy, jak choćby Tadeusz Korzon, którzy krytykowali królewskie decyzje, nie znali sposobu wojowania Moskwy. A ta przecież od początku stulecia stosowała taktykę nagłego uderzenia, wówczas gdy Litwa i Korona nie były przygotowane, aby z zaskoczenia zająć jak najwięcej twierdz. Następnie, kiedy nadciągała armia sprzymierzonych, Moskale wgryzali się w ziemię, starając się zadać wrogowi jak największe straty i przetrzymać go jak najdłużej pod umocnionymi punktami. Wiedzieli bowiem, że słabą stroną przeciwnika są podatki, stąd armia polsko-litewska nie była zdolna do prowadzenia długich kampanii.

Wyruszając w bój, Batory wydał manifest skierowany do narodów świata, w którym tłumaczył, że idzie na wojnę

eprasa.pl df5dd0fcf6

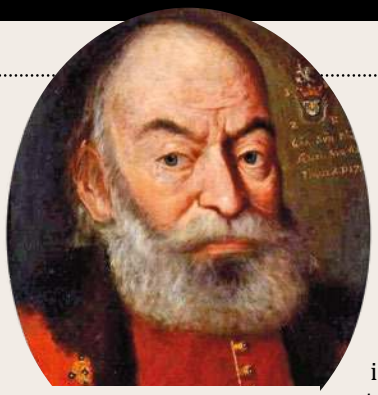

Samuel Zborowski FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE W KIELCACH

sprawiedliwą, odzyskać tereny zagarnięte przez Moskwę. Zakazywał także okrucieństwa i grabieży ludności przeciwnika. To była rzadkość w brutalnym wieku XVI. 11 sierpnia smagane deszczem wojsko podeszło pod Połock, rozpoczynając oblężenie. Niestety, zaczęło się od niesubordynacji – piechota niemiecka rozłożyła obóz naprzeciwko Zapołocia (przedmieścia Połocka), a nie głównego zamku. Kacper Bekiesz rozpoczął jednak ostrzał z dział, który okazał się tak skuteczny, że załoga podpaliła i opuściła przedmieście. Bekiesz przeniósł wówczas ogień na zamek, jednak okazało się, że drewniano-ziemne fortyfikacje zbudowane przez Moskwę nie poddają się ogniowi artylerii. Próbował zatem ostrzału kulami zapalającymi – te przebijały fortyfikacje na wylot, a następnie gasił je deszcz. Gdy oblegający usiłowali podpalić fortyfikacje ręcznie, były one gaszone przez Moskali – brały w tym udział nawet kobiety i dzieci.

Batory nie godził się jednak na generalny szturm, wiedząc, że gdyby się nie udał, trzeba będzie odstąpić od oblężenia. Kiedy pogoda się poprawiła, nakazał jeszcze raz podpalić fortyfikacje, obiecując nagrody dla odważnych. Udało się to ostatecznie Wąsowi, czeladnikowi kotlarskiemu ze Lwowa, który za swój czyn otrzymał nobilitację i nazwisko Połotyński.

Pod Pskowem

Następnego dnia król rzucił do ataku piechotę węgierską i rozkazał robienie podkopów. To przeważyło szalę – załoga poddała się na dobrych warunkach. Cały garnizon z rodzinami mógł wyjść wolno, bez broni i wrócić do szalonego cara, gdzie – jak się spodziewano – czekała ich śmierć. Do końca roku wojsko opanowało inne zamki – Sokół, Turowlę, Nieszczeredę i Suszę. W tym samym czasie potężne zagony jazdy uderzyły w Księstwo Moskiewskie. Konstanty Ostrogski i Michał Wiśniowiecki podeszli pod Czernichów, a Filon Czarnobylski-Kmita spustoszył okolice Smoleńska.

Rok później wyruszyła kolejna wyprawa Batorego. Król zwerbował na nią cały korpus światowej klasy inżynierów i artylerzystów, stworzył służbę medyczną i aptekę polową, nakazał opracować mapy przyszłego przemarszu wojsk. Iwan Groźny w panice kazał umacniać Smoleńsk, wysyłał poselstwa, aby zyskać na czasie, sygnalizował, że jest w stanie pokłonić się nawet… papieżowi.

Król postanowił uderzyć na Wielkie Łuki, odcinając Inflanty od Moskwy. Wojsko cierpliwie przedzierało się przez zasieki, które na rozkaz Iwana zbudowano na pograniczu ze ściętych drzew; żołnierze musieli wręcz wyrąbywać sobie przejście w tej gęstwinie. Po drodze zdobyto Wieliż, a Uświat poddał się sam, ze strachu. Wielkie Łuki wzięto szybko; gdy bowiem piechota łanowa zdarła ziemię i darń z ziemnych umocnień, bez trudu dało się je podpalić. Załoga poprosiła wówczas o łaskę. Niestety, Polacy i Węgrzy wpadli bez rozkazu do zamku, wycinając poddających się Moskali. Z jakiegoś powodu zapaliły się wówczas prochy. Wybuch wysadził w powietrze część ogromnej twierdzy; Batory nakazał ją odbudować, obsadzić załogą, a także zdobyć pozostałe zamki – Newel, Jezieryszcze i Zawołocze.

Po powrocie do Warszawy króla czekała trudniejsza rozprawa z sejmem. Szlachta była już zmęczona, a kiedy Batory zażądał uchwalenia poborów na trzy lata, posłowie wyrazili zgodę zaledwie na jeden; ostatecznie uchwalono dwa pobory.

Kolejna, ostatnia wyprawa Batorego przeszła do historii. Chodzi oczywiście o uderzenie na Psków. Niestety, było ono najgorzej przygotowane. Wprawdzie połączona armia polsko-litewska z posiłkami siedmiogrodzkimi liczyła prawie 50 tys. wojska, ale cel był potężny – ogromne, umocnione murami miasto. „Patrzymy już na Psków. O Jezu, toć coś wielkiego by drugi Paryż. Pomóż nam do niego, Panie Boże" – miał wzdychać Zamoyski mianowany przez króla hetmanem wielkim koronnym.

Batory miał 20 dział burzących, ale załoga pod wodzą Iwana i Wasyla Szujskich, którzy zaprzysięgli carowi bronić się do śmierci, nie uległa panice. Jednak kamienne mury Pskowa zaczęły kruszyć się od armatniego ostrzału. Niestety, szturm 8 września się nie powiódł, ponieważ wyłomy wybite w murach były zbyt małe. Kiedy wznowiono ostrzał, okazało się, że zabrakło prochu. Rozpoczęło się zatem oblężenie. 30 września uderzył pierwszy mróz, a kilka dni później spadł pierwszy śnieg.

22 października do obozu dotarł Krzysztof Radziwiłł dowodzący zagonem jazdy, który wyruszył w głąb państwa moskiewskiego i odwrócił uwagę od maszerującej na Psków armii polsko-litewskiej. Chorągwie tatarów litewskich dotarły wówczas w pobliże Starycy, gdzie przebywał sam Iwan Groźny, zmuszając go do ucieczki. Niestety, morale armii spadało, a równocześnie brakowało pieniędzy. Batory wyruszył więc na Litwę, pozostawiając dowodzenie w rękach Zamoyskiego. To dzięki jego wytrwałości i brutalności armia pozostała pod Pskowem do końca roku, przez cały okres trwania negocjacji pokojowych, które zaczęły się 4 grudnia w Jamie Zapolskim. Ostatecznie 15 stycznia 1582 r. zawarty został 10-letni rozejm kończący wojnę. Inflanty wróciły do Rzeczypospolitej, a Moskwa została pobita i odepchnięta od Bałtyku.

Sprawa Zborowskich

Jak króla oceniali współcześni? Jerzy Besala, autor biografii króla, pisał: „Na podstawie reakcji herbowych w 1585 roku, opinii zawartych w listach, […] paszkwili Bartosza Paprockiego, ocen historyków można zaryzykować stwierdzenie, że król Stefan pod koniec panowania nie był lubiany ani doceniany przez ogół szlachty".

Problemem jednak w ocenie Batorego było to, że Polacy już pięć wieków temu stworzyli sobie idealny obraz władcy, w który nie mógł wpasować się praktycznie żaden król rządzący Rzecząpospolitą. Chyba że był kompletnie bierny i nieudolny jak Michał Korybut Wiśniowiecki.

eprasa.pl df5dd0fcf6

Tymczasem sprawowanie władzy nigdy nie oznaczało, że król musiał być miły, uległy, ustępować wszystkim i jeszcze osiągać sukcesy na wojnie i w dyplomacji. Władca przede wszystkim musiał być skuteczny i przestrzegać prawa. A taki właśnie okazał się Stefan Batory.

Książę Siedmiogrodu był człowiekiem czynu, denerwował się, gdy coś poszło nie tak, potrafił jednak również uzbroić się w cierpliwość. Nigdy nie nauczył się polskiego, nie rozumiał go, porozumiewał się ze szlachtą i z jej przedstawicielami po łacinie, którą na szczęście Polacy dobrze rozumieli. Jednakże był bardzo ludzkim władcą dla najbliższych – służby, żołnierzy, spoufalał się z nimi i pił, jednak nie przyniosło mu to popularności wśród szlachty widzącej w nim tyrana.

Na takim obrazie zaważyła sprawa Zborowskich. Batory bowiem konsekwentnie pomijał w awansach ród, którego pomocy zawdzięczał wyniesienie do władzy. Chociaż wspomniany na początku Samuel, licząc na łaskę, uczestniczył we wszystkich wyprawach króla, to Batory nie zdjął ciążącej na nim banicji.

W końcu Zborowski udał się na Zaporoże, stając się wodzem Kozaków. Zamierzał nawet napaść na Moskwę, ale ostatecznie skupił się na najeżdżaniu Chanatu Krymskiego i Turcji. W maju 1583 r. spalił miasto Jahorlik, złupił Tehinię i rozbił znaczną flotyllę złożoną z galer tureckich. Efektem tych wypraw

RYS. MARZENA WŁOCZYK

było zaognienie stosunków polsko-tureckich. Batory, rozwścieczony tym, że Zborowski rujnował jego pokojową politykę wobec Turcji, wydał 5 grudnia 1583 r. uniwersał „Litterae universales de capiendo Samuelo Zborowski banito", nakazujący schwytanie Samuela.

Niespodziewanie w kwietniu lutnista Zborowskiego Wojtaszek Długoraj, który krążył w tym czasie po Koronie, przywiózł listy, z których wynikało, jakoby Samuel i jego brat Krzysztof uknuli spisek przeciwko Batoremu i kanclerzowi. Bracia zamierzali zabić Stefana Batorego, gdy ten przejeżdżać miał przez Zborów w trakcie podróży do Lublina. Do dziś nie mamy pewności, czy rzeczywiście Zborowscy chcieli uśmiercić Batorego i Zamoyskiego czy też rewelacje Długoraja stały się pretekstem do pozbycia się kłopotliwego rodu. Pod koniec kwietnia 1584 r., gdy Samuel wraz ze swoją kompanią krążył niedaleko Krakowa, Zamoyski schwytał go w Piekarach i ściął na Wawelu 26 maja.

Egzekucja wywołała burzę. Krzysztof Zborowski począł jeździć po kraju z trumną ze zwłokami Samuela i krytykować króla, żądając sprawiedliwości. Cała rzecz jednak rozstrzygnęła się na sejmie w 1585 r., gdy niemal doszło do wojny domowej. Zborowscy przyjechali z prywatnymi oddziałami, podobnie Zamoyski i stronnicy Batorego. Na zamku doszło do gorszących scen – król rwał się do szabli, niektórzy posłowie wręcz go obrażali. Ostatecznie sąd sejmowy skazał Krzysztofa Zborowskiego na infamię, ale kosztem spadku popularności króla i kanclerza wśród szlachty.

Tymczasem zaczynała się kolejna wielka rozgrywka, w której Batory zamierzał wziąć udział. Rok wcześniej zmarł car Iwan Groźny, a jego następcą został słabowity i nienadający się do rządzenia Fiodor. Korzystając z tego, Batory planował wojnę z Moskwą i podbicie jej, nawet przez zawarcie unii podobnej do polsko-litewskiej. O dziwo, na sejmikach jego instrukcje spotkały się z przychylnym przyjęciem.

Król był już jednak bardzo chory i 12 grudnia 1586 r. zamknął oczy na wieki. Przed śmiercią powiedział po łacinie: „W twe ręce, Panie, oddaję moją duszę".

Batory zmarł w złym momencie, otoczony niechęcią szlachty. Gdyby pożył trochę dłużej i gdyby udało mu się zrealizować plany podboju Moskwy – a potrafił ją przecież gromić – zyskałby wieczną sławę, zostając zapewne Stefanem Wielkim.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Zęby – herb Batorych FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PROJ. TADEUSZ GAJL

eprasa.pl df5dd0fcf6

12 grudnia 1586 r. / Rzeczpospolita w szoku

Tajemnica śmierci Batorego

Sławomir Koper

Dwaj włoscy medycy przez lata obwiniali się nawzajem o spowodowanie śmierci króla Polski, wytaczając najcięższe zarzuty

KOPIA OBRAZU MARCINA KOBERA WYKONANA PRZEZ ALEKSANDRA LESSERA. FOT. MNW

Siostra Zygmunta Augusta była ostatnim przedstawicielem dynastii Jagiellonów w kraju i gdy okrzyknięto ją królem Polski, Batory miał się stać władcą iure uxoris, czyli panować z tytułu bycia jej mężem. Władca Siedmiogrodu uznał, że polska korona warta była pewnych poświęceń, i zaraz po ślubie spędził trzy noce z żoną. Wywarło to wielkie wrażenie na Jagiellonce, która pozostając w stanie panieńskim, nie miała dotychczas podobnych doświadczeń. „Widzę jako chłopa dopadła – relacjonował kasztelan miński Jan Hlebowicz – gębę nosi wysoko i hardo, ale widzę po samym [Batorym], że go rządzić nie będzie, bo prawy chłop i, by nie trwoga, widzi mi się, że sobą nie dał tak bardzo rządzić".

Noce spędzone z małżonką musiały też zrobić duże wrażenie na królu, gdyż od tej pory jak ognia unikał podobnych sytuacji i nawet barykadował się w swojej sypialni. Nigdy zresztą specjalnie nie był zainteresowany seksualną stroną życia, a polityka i wojna całkowicie go pochłaniały. Przed przybyciem do Polski dwie rzeczy niepokoiły go najbardziej – małżeństwo z królową już dosyć w wiek podeszłą i pospolite ruszenie. Na pierwszy ogień poszła żona, którą odsunął od snucia intryg. W tej sytuacji Anna przeniosła się do Warszawy, natomiast Batory najczęściej rezydował w Grodnie, skąd było bliżej do zagrożonych granic państwa na wschodzie i północy. Gdy jednak jego zwolennicy zaproponowali unieważnienie małżeństwa, tak by mógł ponownie się ożenić i mieć potomstwo, kategorycznie odmówił. Węgier dobrze pamiętał, do czego się zobowiązał.

Omdlenia i zapaści

„Nie smakował nigdy w próżnym przepychu – wspominał jeden z kronikarzy – [...] budowy był ciała dosadnej, kształtnej i mocnej, rysy twarzy miał piękne i wyraziste, ręce żylaste. Jednym słowem, wszystko w nim tchnęło krzepkością i zdrowiem". Opinię tę zdawały się potwierdzać jego odporność na trudy wojenne i upodobanie do łowów. Jednak najbliżsi współpracownicy dobrze wiedzieli, że władca wcale nie jest takim

eprasa.pl df5dd0fcf6

Stefan Batory i Anna Jagiellonka FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

okazem zdrowia, za jaki chciał uchodzić. Jeszcze w Siedmiogrodzie zdarzały mu się tajemnicze omdlenia czy zapaści, chociaż w miarę szybko dochodził do siebie. Podejrzewano epilepsję, chociaż ataki te miały wręcz katatoniczny charakter. Nic nie wiadomo o zaburzeniach psychicznych Batorego, możliwe zatem, że ataki miały podłoże neurologiczne.

Wiadomo, że ojciec władcy cierpiał na gruźlicę kości i artretyzm, dożył jednak 57. roku życia, co w tamtej epoce nie było najgorszym wynikiem. Matka Batorego zmarła natomiast na zapalenie opłucnej, a jego dwaj bracia na artretyzm. Stefan Batory był zatem obciążony dziedzicznie.

Od wczesnej młodości cierpiał także z powodu niezagojonego wrzodu pod prawym kolanem. Wykwit przypominał otwartą ranę i stale ciekła z niego ropa o przykrym zapachu. Podobno przyczyną schorzenia było pokąsanie przez psa, którego skutków nie potrafiono wyleczyć. Jeszcze w Siedmiogrodzie niemieccy lekarze próbowali wyleczyć wrzód, co jednak przyniosło fatalne efekty. Batory doznał ataku – stracił mowę i nie mógł się poruszać, chociaż zachował przytomność umysłu. Od tej pory wrzód pozostawiano otwarty, a czasami wręcz jątrzono go, „przyżegując skórę rozpalonym żelazem, aby ściągnąć wydzieliny ku dołowi". Czasami też otwierano żyły na drugiej nodze, by „zła materia" nie „rzucała się choremu na mózg".

Ostatecznie z wrzodem poradzono sobie w sposób dość nietypowy. Przyboczny lekarz króla, Niccolò Buccella, przygotował specjalny „jątrznik" wyposażony w kolce, który ciągle przebijał ranę. Dzięki temu ropa cały czas wypływała, co znacznie poprawiało samopoczucie chorego. Ilość nieczystości wypływających z królewskiej nogi musiała być jednak znaczna, co potwierdzają rachunki za bandaże, płótna i maści wystawiane przez jedną z krakowskich aptek.

Pomimo schorzenia monarcha był człowiekiem prowadzącym niezwykle ruchliwy tryb życia, tak jakby chciał pokonać przeciwności losu. Najlepiej czuł się w obozie wojskowym, gdzie mógł osobiście zmierzyć się z trudami kampanii wojennych. Natomiast gdy panował pokój, praktycznie każdą wolną chwilę poświęcał na łowy. Nie była to zwykła rozrywka, gdyż bardziej przypominała dziką namiętność. Nawet gdy władca podążał do Krakowa po wyborze na króla, zatrzymał się w Mogile, by oddać się swojej myśliwskiej pasji. Dlatego też lubił zamek w Niepołomicach – pobliska puszcza zapewniała dobre warunki do łowów. Twierdził, że polowania przywracały mu wigor i chęci do życia, które tracił podczas sesji sejmowych.

Ambicje medyków

Końcówkę roku 1586 Batory planował spędzić w Grodnie. Lubił to miasto najbardziej ze wszystkich grodów Rzeczypospolitej, gdyż w okolicznych puszczach mógł polować, a do Anny Jagiellonki było daleko. Poza tym Grodno leżało niemal w połowie drogi z Warszawy do Wilna, co gwarantowało dobry przepływ informacji i możliwość względnie szybkiego dotarcia do obu stolic. Król pokonał już problemy zdrowotne z poprzednich miesięcy i ponownie mógł się poświęcić aktywnej polityce. Nie zwracał też uwagi na mrozy i w wolnych chwilach wyruszał na łowy.

Z ostatnich dni Batorego zachowały się relacje jego lekarzy, które w wielu miejscach nie są zgodne. Dwaj najważniejsi medycy – Niccolò Buccella i Simone Simoni – byli bowiem ze sobą skłóceni i ostro rywalizowali o względy króla. Niewielką rolę odgrywał natomiast polski lekarz, Jakub Gosławski, który przy ambitnych Włochach nic nie miał do powiedzenia. Bardziej pełnił on funkcję obserwatora, ale niestety jego sprawozdanie zachowało się w dwóch różnych odpisach, a kopiści popełnili wiele błędów. Dlatego po latach trudno o jednoznaczny i spójny opis przebiegu wypadków. Tym bardziej że obaj Włosi przez kilka lat po śmierci króla obrzucali się wyzwiskami, zarzucając sobie wzajemnie niewłaściwe leczenie monarchy.

„Anna Jagiellonka w stroju koronacyjnym". Obraz Marcina Kobera FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KATEDRA NA WAWELU

Pierwsze symptomy choroby pojawiły się prawdopodobnie 3 grudnia wieczorem. Batory, powracając z łowów, poczuł ból w piersiach i duszności, a do tego miał wrażenie, jakby go „pchły kąsały". Objawy wprawdzie szybko minęły, ale powróciły po dwóch dniach. Niebawem doszła jeszcze gorączka, chory skarżył się również na ból głowy i poczucie ociężałości. Natomiast gdy w nocy udał się do toalety, stracił przytomność i upadł, odnosząc rany na twarzy i nodze.

eprasa.pl df5dd0fcf6

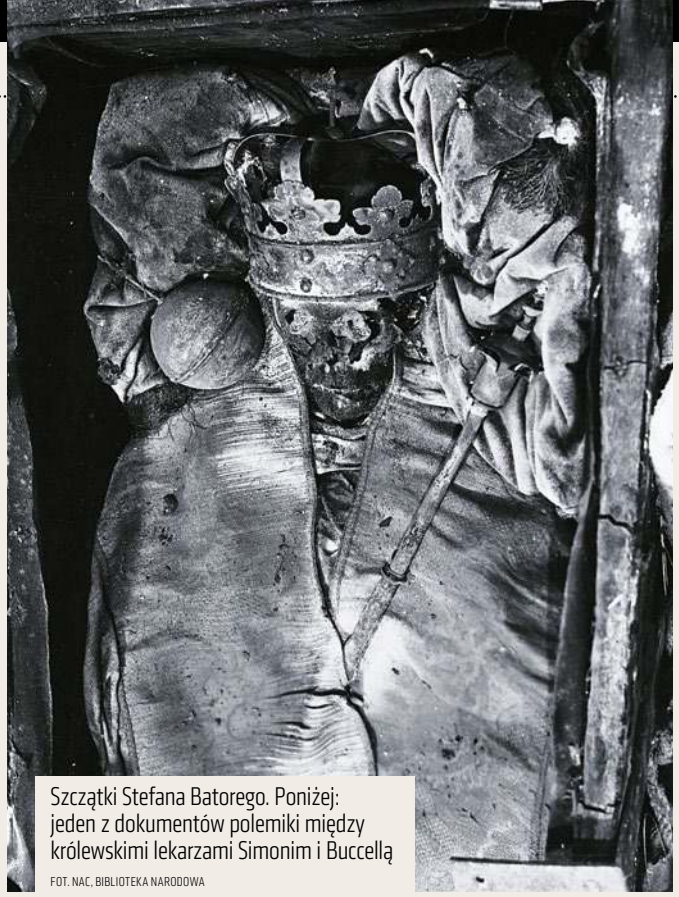

Szczątki Stefana Batorego. Poniżej: jeden z dokumentów polemiki między królewskimi lekarzami Simonim i Buccellą

FOT. NAC, BIBLIOTEKA NARODOWA

8 lub 9 grudnia wieczorem (źródła różnią się w tej kwestii) król doznał ataku przypominającego epilepsję. Tak przynajmniej twierdził Buccella, natomiast Simoni uważał, że był to efekt astmy i przeziębienia. Co gorsza, medycy proponowali odmienne kuracje, a Batory nie mógł się zdecydować na żadną z nich. Simoni pozwalał też władcy pić wino, czego Buccella kategorycznie zakazywał. Król był jednak miłośnikiem dobrych trunków i posłuchał oczywiście pierwszego z medyków. Wprawdzie nie były to zbyt wielkie ilości (dwa kielichy do posiłków), ale dodatkowo na śniadanie jadał chleb maczany w winie i nie potrafił zrezygnować z tego przyzwyczajenia.

Kolejnego dnia nie poprzestał jednak na maczaniu chleba i za radą Simoniego wypił trochę mocnego wina węgierskiego. Zaczęło go wówczas dręczyć pragnienie, które nie ustępowało przez cały dzień. Poza tym jednak czuł się dobrze i odwiedził go nawet podkanclerzy Jan Zamoyski, z którym rozmawiał przez dwie godziny. Po obiedzie Batory ponownie pił wino, a w nocy przyszedł kolejny atak. Stracił wtedy przytomność, kończyny stały się zimne, a tętno było ledwo wyczuwalne. Nie wiadomo, czy ponownie wystąpiły drgawki, gdyż relacje są w tej sprawie sprzeczne. Król stosunkowo szybko doszedł do siebie, chociaż medycy zwrócili uwagę na wyjątkowo ciemny mocz chorego. Uznali jednak, że był to efekt zażywanych lekarstw.

Sytuacja powtórzyła się kolejnej nocy. Tym razem atakowi towarzyszyły duszności, chociaż nie były one tak mocne jak poprzednio, oraz drgawki. Chory jednak wciąż nie tracił dobrego samopoczucia i rankiem do śniadania znów zażądał wina. A chociaż był człowiekiem bardzo wierzącym, to nie poprosił o wizytę księdza ani nie dokończył testamentu, który zabrał ze sobą do Grodna. Najwyraźniej był dobrej myśli i nie uważał schorzenia za śmiertelne.

W piątek władca przy śniadaniu ponownie pił wino, „więcej nawet niż kiedykolwiek podczas całej choroby", jednak zaraz potem poczuł się gorzej.

„Wzrok miał zmącony – relacjonował Simoni – twarz, czego poprzednio nie bywało – czerwoną i smutną. Wziąwszy go za rękę, przekonałem się, że tętno uderza niemiarowo, gorączkowo, jak nie zdarzało się dotąd".

Tuż przed wieczorem nadszedł kolejny atak połączony z silnymi dusznościami, a potem jeszcze jeden, którego król już nie przeżył. Był 12 grudnia 1586 r., Stefan Batory w chwili śmierci miał 53 lata.

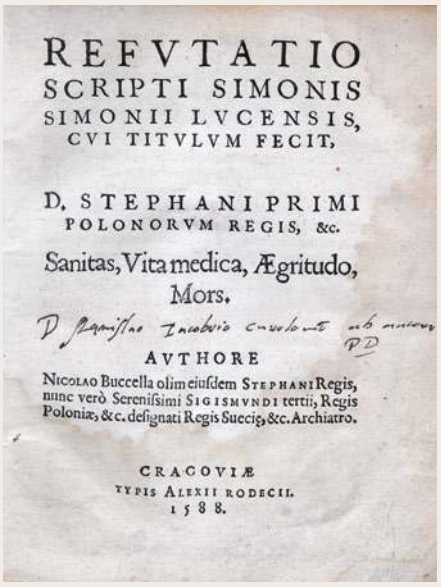

REFVTATIO
SCRIPTI SIMONIS
SIMONII LVCENSIS,
CVI TITVLVM FECIT,

D. STEPHANI PRIMI
POLONORVM REGIS, &c.

Sanitas, Vita medica, Ægritudo,
Mors.

AVTHORE
NICOLAO Buccella olim eiusdem STEPHANI Regis, nunc verò Serenissimi SIGISMVNDI tertii, Regis Poloniæ, &c. designati Regis Suecię, &c. Archiatro.

CRACOVIÆ
TYPIS ALEXII RODECII.
1588.

Wino czy trucizna?

Zgon władcy wywołał szok w Rzeczypospolitej, gdyż władca był uważany za człowieka o znakomitym zdrowiu. Nic zatem dziwnego, że pojawiły się pogłoski o truciźnie, które zresztą do dzisiaj są powtarzane. I oczywiście powraca pytanie: „Cui prodest?". Śmierć króla była na rękę tak dużemu gronu europejskich polityków, że trudno było wskazać najbardziej podejrzanego. Poza Habsburgami, Moskwą, Turcją czy Francją nawet Szwecja mogła zyskać na usunięciu monarchy. Także Dania, która straciła swoje posiadłości na Inflantach, mogła mieć nadzieję, że po śmierci Batorego odzyska dawny stan posiadania. Natomiast w Anglii odetchnięto z ulgą, że wyprawa na Moskwę stała się nieaktualna i nic nie zagrozi handlowi z Rosjanami. Do tego dochodzili jeszcze wrogowie wewnętrzni, z rodem Zborowskich na czele...

Podejrzanych zatem nie brakowało i w związku z tym dziwić się wręcz można, że monarcha dożył aż do 53. roku życia. Tryb życia władcy umożliwiał organizację zamachu – zawsze przecież mogło dojść do wypadku na polowaniu czy też dyskretnego zabójstwa w leśnej głuszy. Nic takiego się jednak nie stało, więc pojawiły się plotki o truciźnie.

Ponadto współpracownicy króla w ogóle nie brali pod uwagę nienaturalnej przyczyny śmierci. Dla nich były to efekt choroby i konsekwencja złego stanu zdrowia monarchy. Uznano, że ewentualnie można było mieć pretensje do lekarzy, którzy nie potrafili uporać się ze schorzeniem. Obu włoskich medyków wezwano zresztą na obrady sejmowe w celu udzielenia wyjaśnień, ale do przesłuchania ostatecznie nie doszło. Śmierć Batorego w niczym też nie zaszkodziła karierze Buccelli, który został lekarzem Zygmunta III Wazy. Natomiast Simoni przebywał

eprasa.pl df5dd0fcf6

przez pewien czas na Morawach i w Pradze, ale później powrócił do Polski. To najlepiej dowodzi, że nie podejrzewano udziału lekarzy w śmierci Batorego – gdyby na medyków padł chociażby cień podejrzenia, raczej marnie by skończyli.

Buccelli i Simoniemu wcale zresztą nie zależało na wyciszeniu sprawy i podjęli zażartą polemikę na temat błędów medycznych popełnionych tuż przed śmiercią Batorego. Kłótnia nie miała charakteru prywatnej dyskusji, gdyż antagoniści drukowali i rozprowadzali broszury z zarzutami (łącznie obejmujące ponad 1 tys. stron!). Różnili się nie tylko w kwestii interpretacji symptomów choroby, lecz także w sprawie dat i liczby ataków. Buccella zarzucał Simoniemu, że przyspieszył śmierć króla, pozwalając mu pić wino, ale po pewnym czasie przyznał, że gdyby Batory zachował wstrzemięźliwość, to żyłby „dzień, a może dwa dni dłużej". W miarę rozsądne argumenty polemistów utonęły jednak z czasem we wzajemnych oskarżeniach o szarlatanerię i brak kompetencji.

Na koniec Buccella wyciągnął najcięższy argument, zarzucając oponentowi podanie Batoremu... trucizny. Świadczyć miało o tym to, że Simoni osobiście serwował królowi wino podczas choroby, co nie należało do jego obowiązków. A – jak wiadomo – smak tego trunku dobrze kamufluje obecność toksyn.

Być może jednak oskarżenia Buccelli były tylko odpowiedzią na insynuacje Simoniego, który twierdził, że jego oponent otruł własną żonę. Spór zresztą z czasem wygasł, a z perspektywy kilku wieków historycy wysoko sobie cenią polemikę pomiędzy lekarzami Batorego. Nie dotyczy to jednak argumentów typowo medycznych czy kwestii ewentualnej winy, a bardziej tego, że przy okazji pojawiło się wiele szczegółów z życia polskiego dworu, a także na temat zwyczajów i upodobań samego króla.

Konsylium po wiekach

Wbrew informacjom do dzisiaj pokutującym w wielu publikacjach po śmierci Batorego nie wykonano sekcji zwłok. Były to bowiem czasy, gdy na autopsję należało uzyskać osobistą zgodę papieża i jeżeli faktycznie dokonywano podobnych zabiegów, to wyłącznie w celach badawczych na ciałach skazańców. Natomiast w przypadku króla Stefana zabezpieczono jedynie jego ciało przed rozkładem, gdyż w Polsce panował obyczaj, że pogrzebem zmarłego władcy zajmował się jego następca. Rzeczpospolita była monarchią elekcyjną i mogły upłynąć długie miesiące, zanim kolejny król zostałby wybrany. Tak zresztą rzeczywiście się stało i szczątki Batorego czekały w Grodnie półtora roku na pogrzeb na Wawelu.

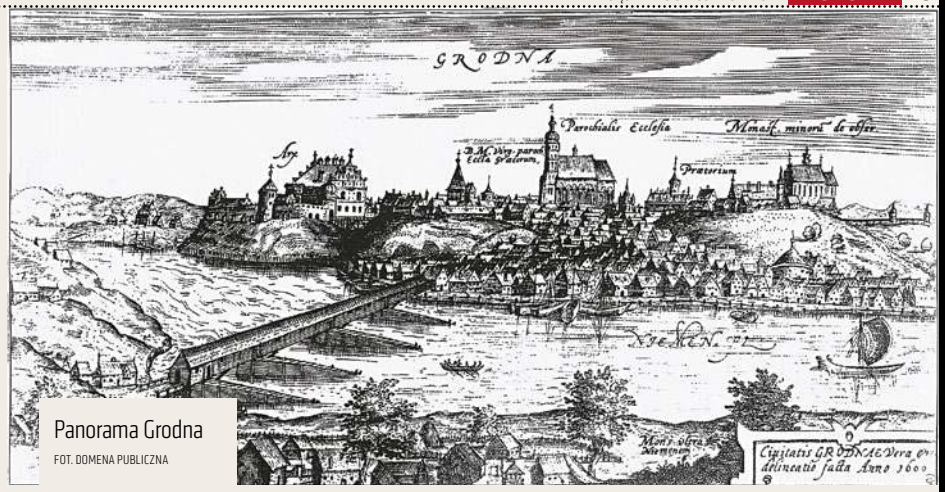

Panorama Grodna
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Zachowała się relacja z zabiegów konserwujących zwłoki króla. Ciało zostało rozcięte w celu usunięcia wnętrzności i przy okazji opisano stan narządów. Lekarze zwrócili uwagę na zmiany w płucach, co mogło sugerować stan zapalny. Najważniejsza była jednak opinia o nerkach, które okazały się tak duże, że porównano je do nerek wołu. Niestety, zignorowano zupełnie stan serca zmarłego, a czaszki w ogóle nie otwierano.

Relacja z oględzin narządów wewnętrznych króla stała się podstawą do zwołania w 1933 r. konsylium lekarskiego mającego ustalić przyczyny jego zgonu. Przy okazji przeanalizowano też dokładnie polemikę Buccelli z Simonim, poddając ją krytyce pod kątem wiedzy medycznej z pierwszej połowy XX w.

W skład konsylium wchodzili wybitni specjaliści, którzy doszli do wniosku, że najbardziej prawdopodobną przyczyną śmierci króla było zwyrodnienie torbielowate nerek. Choroba rozwijała się zapewne całymi latami, aż wreszcie doprowadziła do uremii. Wpływ na jej zaostrzenie miał zapewne wysiłek fizyczny, który tak uwielbiał król Stefan. Przy niskiej temperaturze doprowadził do „szeregu napadów dusznicy bolesnej" i zapalenia miąższu nerkowego. Nie wykluczono również zapalenia płuc, które dodatkowo mogło pogorszyć stan zdrowia chorego. Natomiast atak serca czy chorobę weneryczną uznano za mało prawdopodobne.

Ważne spostrzeżenie zgłosił jeden z członków konsylium, prof. Franciszek Walter. Zwrócił on uwagę, że na większości portretów z epoki król Stefan miał półprzymknięte oczy, co jest charakterystycznym objawem choroby nerek. Wszystko zatem wskazuje, że król zmarł z powodu przewlekłego schorzenia, które niespodziewanie przeszło w ostre stadium. Medycyna tamtych czasów nie była w stanie uratować władcy, a lekarze ani nie przyspieszyli, ani nie opóźnili zgonu.

Torbielowatość nerek była zapewne schorzeniem dziedzicznym w rodzinie Batorych. Ojciec króla i jego dwaj bracia cierpieli przecież na artretyzm (dnę moczanową), która może być skutkiem defektów układu wydalniczego. Być może było to także przyczyną braku zainteresowania króla seksualną stroną życia – schorzenia nerek często odbijają się na poziomie libido.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

BIBLIOGRAFIA:

Besala J., ***„Stefan Batory"****, Warszawa 1992; Pawłowska-Kubik A.,* ***„Śmierć Stefana Jegomości króla polskiego w Grodnie 12 Decembra Anno Domini 1586 (Prawdziwa sprawa o chorobie i śmierci nieboszczyka Stefana Batorego króla polskiego) – źródło do losów Stefana Batorego i historii medycyny"****, https://rcin.org.pl/ihpan/Content/71705/WA303_93634_B88-SZ-56-2018_Pawlowska-Kubik.pdf; Rojek T.,* ***„XIII tajemnic historii Polski"****, Warszawa 1987; Scheuring H.Z.,* ***„Czy królobójstwo?"****, Szczęsne 2018.*

eprasa.pl df5dd0fcf6

Węgierszczyzna w broni i w ubiorze

Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Polska nowożytna sztuka wojenna była oryginalna i niepowtarzalna. Zawdzięczała to umiejętnemu łączeniu różnych obcych tradycji. Wzorce węgierskie okazały się szczególnie silne

Militarne wpływy południowego sąsiada były w Polsce czytelne, na długo zanim siedmiogrodzki książę Stefan Batory zasiadł na polskim tronie. Zjawisko hungaryzacji polskiej armii jest doskonale uchwycone na obrazie „Bitwa pod Orszą", który namalowano w czasach króla Zygmunta I Starego dla uświetnienia wielkiego zwycięstwa nad Moskalami w 1514 r. Oprócz zakutych w maksymiliańskie zbroje kopijników oraz strzelców posługujących się rusznicami uwieczniono na nim egzotycznie wyglądających jeźdźców. Żołnierze mają na sobie watowane, szamerowane kaftany i wysokie filcowe kapelusze, a uzbrojeni są w szable, lekkie kopie i charakterystyczne asymetryczne tarcze. To racowie husarze, którzy od dekad obecni byli na bałkańskim teatrze działań wojennych. Za czasów Batorego husaria stanie się „znakiem firmowym" Rzeczypospolitej – podstawowym typem jazdy.

Husaria przejęła od kopijników rolę formacji uderzeniowej, decydującej o wyniku walnych bitew. Odtąd ochronę husarza zapewniała stalowa zbroja. Najważniejszą bronią zaczepną pozostała kopia, dłuższa i masywniejsza od używanej dotychczas. Schyłek XVI w. i pierwsze dwa dziesięciolecia następnego stulecia to czasy świetności husarii, która nie miała sobie równych, gromiąc różnych przeciwników. Rolę pomocniczą względem tej przebojowej formacji pełniły chorągwie kozackie (jazda średniozbrojna) oraz lekkie (wołoskie).

Batory nie tylko przekształcił husarię, lecz także gruntownie zreformował całą armię. Przybywszy do Polski w otoczeniu węgierskiej świty, wierny ojczystej tradycji, był jednocześnie zaangażowany w sprawy swego królestwa i ceniony przez dużą część szlachty. Moda na węgierszczyznę sięgnęła zenitu i znalazła swój wyraz m.in. w szabli, która stała się narodową bronią Polaków. Podczas gdy na zachodzie Europy dominował oręż o głowni prostej, a więc miecz lub rapier, Rzeczpospolita wybrała broń o klindze krzywej, sprawdzającej się znacznie lepiej przeciwko kresowym wrogom. Bez zaangażowania się na wschodzie, bez unii z Litwą, bez Wołynia, Podola i Ukrainy nie byłoby też zapewne polskiej szabli. Węgrzy mają w tym procesie swój wielki udział, bo to właśnie wykształcona u nich broń tak bardzo przypadła do gustu szlachcie na Wisłą. Południowi sąsiedzi nie tworzyli z niczego. Choć w okresie średniowiecza tradycja tej broni zanikła u nich zupełnie, to pod wpływem Turków odrodziła się, a broń Osmanów stała się punktem wyjścia do stworzenia wielce oryginalnego i funkcjonalnego oręża.

Z rusznicą i siekierką

Szabla węgierska, zwana w Rzeczypospolitej „węgierką", a z czasem przez broniznawców typem polsko-węgierskim, charakteryzowała się otwartą rękojeścią (tzn. pozbawioną kabłąka), prostym jelcem – nieraz wyjątkowo długim – oraz szeroką głownią o słabej krzywiźnie. Głownia ta miała wyodrębniony młotek i obosieczne pióro, a także krótki trzon i migdałowatą, pochyloną nieco ku przodowi głowicę. Była to broń typowo bojowa, sposobna do potężnych uderzeń znad głowy, znakomita dla kawalerzystów, choć używana także w piechocie. Z taką właśnie szablą portretował Batorego Matejko, zarówno w „Poczcie królów polskich", jak i „... pod Pskowem". Oręż ten jest także

eprasa.pl df5dd0fcf6

nieodzownym atrybutem monarchy na obrazach z epoki.

W Muzeum Wojska Polskiego przechowywana jest szabla łączona z osobą króla. Podarowana niegdyś królowi Augustowi II i przechowywana w drezdeńskich zbiorach królewskich została kupiona przez wiedeńskiego antykwariusza Szymona Szwarca, który przekazał ją do muzeum w 1928 r. To broń niezwykle efektowna, kunsztownie zdobiona, o perskiej głowni. Rękojeść jest otwarta, z jelcem krzyżowym z wąsami. Zarówno jelec, jak i wąsy są bardzo długie, ornamentowane motywem roślinnym i złocone. Trzon jest drewniany, obciągnięty czarną skórą i opleciony złoconym drutem; głowica migdałowata, ornamentowana podobnie jak jelec. Głownia ma niewielką krzywiznę i dwie strudziny, a zdobiona jest ornamentem roślinnym i okrągłymi żłobieniami z cechą szabelniczą w kształcie lwiej głowy. Równie bogato udekorowano pochwę – drewnianą, obciągniętą czarną skórą ze złoconymi okuciami. Ta najpiękniejsza szabla węgierska przechowywana w polskich zbiorach datowana jest na lata 60. XVI w.

Batory położył także niemałe zasługi dla rozwoju piechoty polskiej. W drugiej połowie XVI w. wojskowość zachodnioeuropejska i polska zaczynają się wyraźnie różnić. Ta pierwsza, rozwijająca się w oparciu o silną władzę monarszą i kształtowana na obszarach dobrze zurbanizowanych, zdominowana została przez zaciężną piechotę muszkietersko-pikinierską. Rzeczpospolita, tocząca gros swych wojen na wschodzie, polegała głównie na konnicy. Armia taka nie była jednak zdolna do długotrwałych działań, zwłaszcza gdy przybierały one charakter oblężniczy. Wobec tych niedostatków, a także w obliczu zmagań z carem Iwanem IV Groźnym o Inflanty Batory dokonał istotnych reform.

Jednym z rozwiązań był pobór rekruta chłopskiego, co skutkowało powstaniem tzw. piechoty wybranieckiej. W 1578 r. sejm, w odpowiedzi na królewskie zabiegi, postanowił, że w celu pomnożenia „pieszych ludzi dla potrzeb wojennych" wyprawieni mają być „tak z miast, miasteczek jako i wsi naszych królewskich jakichkolwiek, wedle słusznej liczby łanów". Sukces ten był niepełny, gdyż ustawa dotyczyła tylko dóbr królewskich, a pomijała szlacheckie i duchowne. Wybrańcy powoływani mieli być z każdych 20 łanów, a ich gospodarstwa, odrabiane przez chłopów z pozostałych 19 łanów, zwolniono od wszelkich powinności. Rekrut stawić się miał z własnym uzbrojeniem, na które składały się lontowa rusznica (do tego proch i ołów), szabla i siekierka oraz ubiór (czyli barwa) jednolitego koloru, niebieskiego najczęściej. Owe ujednolicone uzbrojenie, zresztą zaadaptowane przez całą ówczesną polską piechotę, oraz ubiór oparte zostały na wzorcach siedmiogrodzkich.

Wybitnie strzelczy charakter polskich formacji wynikał z walorów jazdy, która dominując w otwartym polu, zapewniała piechocie dostateczną osłonę i niwelowała brak pikinierów. Zaciągane za granicą na wojnę z Iwanem Groźnym dodatkowe regimenty niemieckie składały się – zgodnie z zaleceniami Batorego – także tylko z muszkieterów. Piechota wybraniecka okazała się niezwykle uniwersalna, chociaż przez cały okres swego istnienia (aż do I połowy XVIII w.) odznaczała się niewielką liczebnością – jednorazowo maksymalnie nieco ponad 2 tys. ludzi.

Postawione kołnierze

Wielu uważa, że moda na węgierszczyznę znalazła swój najpełniejszy wyraz w męskim stroju. Jeszcze w pierwszej połowie XVI w. polski ubiór charakteryzował się dużą rozmaitością form. Widoczne były w nim wpływy włoskie, niemieckie oraz hiszpańskie, ale przede wszystkim węgierskie. Odzież we wschodnim stylu noszona była przez ogół szlachty – zarówno podczas sytuacji oficjalnych, reprezentacyjnych, jak i w czasie uprawiania wojennego rzemiosła. Warto tu powrócić do husarzy spod Orszy. Na obrazie pokazano najdrobniejsze detale ich stroju, na który składają się skrócone i dostosowane do jazdy konnej barwne kaftany o charakterystycznych stojących kołnierzach. Rzucają się w oczy wydatne, szerokie pętlice pasmanteryjne. Niekiedy kołnierze szaty wierzchniej są płasko wyłożone, podczas gdy te od szaty spodniej są postawione. Kilku jeźdźców ma na sobie płaszcze mentyki, podbijane sobolowymi futrami. Niektóre okrycia są grubo watowane. Ciekawym zwyczajem było zatykanie z tyłu za pasem długich, dekoracyjnych rękawów od kaftanów. Na głowach jeźdźcy mają kolorowe filcowe kapelusze przystrojone barwnymi pióropuszami oraz cylindryczne kołpaki.

Od czasów Batorego wyróżnikiem sarmaty będą reprezentacyjna delia i noszony pod nią żupan. Uzupełnienie tego stroju stanowiły obcisłe spodnie, buty z cholewami i obcasami na podkówce oraz nakrycie głowy w postaci niskiej, czarnej filcowej magierki lub czapki z futrzanym otokiem; czapki były ozdobione efektownymi szkofiami i pióropuszami. Wenecki poseł Pietro Duodo pisał w 1592 r., że „Polacy mają własny swój ubiór, zbliżający się do węgierskiego".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl df5dd0fcf6

Grzegorz Janiszewski

Arcywrogiem Stefana Batorego był car, który rozpętał w swoim państwie machinę terroru. Iwan Groźny na sumieniu miał też zabójstwo własnego syna

Już samym narodzinom przyszłego cara towarzyszyły niezwykłe okoliczności. Jego ojciec, wielki książę moskiewski Wasyl III, nie mógł doczekać się dzieci z żoną Sołomiją Saburową. Tron przypadłby w takiej sytuacji bratu księcia Jerzemu, którego Wasyl szczerze nienawidził. Władca rozwiódł się zatem, a żonę odesłał do klasztoru. Potem ożenił się ponownie z Heleną Glińską, czego zabraniała Cerkiew. Helena kilka lat nie mogła zajść w ciążę, co traktowano jako ostrzeżenie. Wasyla napominał również sam patriarcha jerozolimski, pisząc do niego, że ze związku „urodzi się niegodziwy syn, jego ziemie zaleją łzy i ogarnie groza, popłyną strugi krwi, spadną głowy możnych, a miasta padną pastwą płomieni". W czasie porodu nad Moskwą rozpętała się burza, a w jedną z kremlowskich wież miał uderzyć piorun.

Mały Iwan dorastał w „domu grozy". Nieustanne intrygi pretendujących do moskiewskiego tronu możnych w każdej chwili mogły zakończyć się torturami i zabiciem całej rodziny. Iwan odreagowywał, znęcając się nad zwierzętami i wybuchając niekontrolowaną agresją. Jako młodzieniec z bandą oddanych mu zabijaków napadał podmoskiewskie osady, gdzie gwałcił kobiety i grabił kramy kupców. Potem kajał się, uderzając głową o podłogę, chcąc w ten sposób odkupić wyrządzone krzywdy. Dużo się modlił i czytał święte księgi, rozmyślając nad moralnym upadkiem ludzi.

Kiedy w 1545 r. skończył 15 lat, został koronowany jako pierwszy z rosyjskich władców na cara Wszechrusi. Czekało

„Iwan IV Groźny". Obraz Wiktora Wasniecowa

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

1530–1584 / Pierwszy car Wszechrusi

Psychopata na Kremlu

eprasa.pl df5dd0fcf6

na niego wielkie zadanie. Pochodzący z Pskowa mnich Filoteusz sformułował swoją koncepcję Moskwy jako trzeciego Rzymu, którą zaraził Wasyla III. Ideologiczne i dynastyczne podwaliny pod rosyjskie mocarstwo zostały położone. Teraz trzeba było je wypełnić treścią – stworzyć sprawne i silne państwo, które podoła takiemu wyzwaniu i zdobędzie ziemie pozwalające równać się z Imperium Romanum. Przypadek, a może przeznaczenie sprawiło, że to właśnie Iwan, zwany później Groźnym, miał się zmierzyć z tym zadaniem.

Insygnia koronacyjne carów
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Trudny spadek

Kiedy pierwszy car obejmował władzę, jego państwo pokrywało spory obszar dzisiejszej północnej Rosji (większy niż ówczesna Rzeczpospolita). Były to jednak ziemie nieurodzajne, zimne i słabo zaludnione. W Inflantach wciąż rządzili kawalerowie mieczowi, zagradzając dostęp do bałtyckich portów, a na zachodzie Litwa sięgała Smoleńska i Czernichowa. Od południa i wschodu moskiewskie księstwo ograniczały wciąż groźne tatarskie chanaty. Państwo Iwana ciągle jeszcze odczuwało skutki podległości Tatarom. Jeśli chciało wyjść z peryferii i stać się potęgą jak dawna Ruś, to musiało wymyślić się na nowo.

Iwan tak naprawdę zaczął rządzić cztery lata po koronacji, przy pomocy swoich najbliższych doradców z tzw. Wybranej Rady. Miała to być przeciwwaga dla starych rodów zebranych w Dumie Bojarskiej, które rościły sobie pretensje do współrządzenia. Z tego samego powodu młody władca zdecydował o powołaniu pierwszego w historii państwa moskiewskiego Soboru Ziemskiego.

Przy udziale Soboru car przeprowadził reformę samorządową i przyjął kodeks praw – Sudiebnik. W 100 artykułach regulował on sprawy państwowe i kościelne, ujednolicając je dla całego państwa i wzmacniając władzę centralną. Cerkwi odebrano część majątku, zakazano też książętom przekazywać jej darowizny. Car wprowadził ograniczony samorząd i zniósł „kormlienije", czyli utrzymywanie urzędników przez mieszkańców.

Dotychczas wojsko bazowało głównie na pospolitym ruszeniu – jeździe wywodzącej się z bojarów. Iwan oparł armię na zawodowych strzeleckich pułkach piechoty, wywodzących się z niższych, ale wolnych warstw społeczeństwa. Strzelcy uzbrojeni byli w berdysze i broń palną. Dowódcy awansowali według zasług, a nie pochodzenia i majątku. Z Europy Zachodniej zaczęto sprowadzać działa do rozwijanej artylerii, potem odlewano już je samodzielnie. Sformowane zostały oddziały saperów i inżynierów, przydatnych zwłaszcza przy obleganiu twierdz, których nie brakowało w Inflantach. Saperzy opanowali też technologię stawiania drewniano-ziemnych fortyfikacji polowych. Budowane w krótkim czasie w dogodnym miejscu potrafiły na długo zatrzymać przeciwnika. Wojsko było jednolicie wyposażone i uzbrojone przez państwo. Nie była to jeszcze armia stała, bo strzelców powoływano tylko na czas wojny, ale byli oni opłacani z kasy państwowej i mieli obowiązek regularnie ćwiczyć. Armia Iwana stawała się najpotężniejszą na kontynencie.

Car mógł teraz myśleć o podbojach. Na pierwszy ogień poszły chanaty powstałe po rozpadzie Złotej Ordy. Uporano się z nimi do końca lat 60., kiedy to granice Rosji zaczęły sięgać od Morza Kaspijskiego aż do Irtysza na wschodzie. Droga do przewożenia towarów z Dalekiego Wschodu przez Wołgę i Okę została otwarta dla rosyjskich kupców. Po zabezpieczeniu tyłów Iwan skierował swój wzrok na o wiele ważniejszy cel.

Bałtyckie okno

Inflancka część zakonu krzyżackiego po sekularyzacji braci na południu w 1525 r. zaczęła upadać. Miejscowa szlachta dobrze wiedziała, jak żyje się u wschodniego sąsiada, i dalszy los wolała związać z Rzecząpospolitą. We wrześniu 1557 r. wykorzystał to Zygmunt August, organizując tam wyprawę zbrojną i wymuszając sojusz. Iwan, wbrew opinii Wybranej Rady, która chciała ruszyć na Tatarów, odpowiedział najazdem 40-tysięcznej armii, zajmując Dorpat i Narwę. Moskwa uzyskała tam wreszcie pierwsze prawdziwe „okno na świat" – dostęp do portu w Narwie, przez który można było handlować z Europą Zachodnią. Wywołało to reakcję zakonu, Szwecji, Polski i Danii, które w różnych konfiguracjach przez następne 25 lat będą toczyć wojny o Inflanty. Od tego, kto nimi władał, zależało panowanie nad Bałtykiem. Dla Rosji oznaczało to nie tylko dochody z handlu, lecz także wejście do głównego europejskiego nurtu cywilizacyjnego. Tutaj carskiej armii nie szło jednak już tak gładko. W dodatku Tatarzy znowu szykowali się do wojny, wysyłając czambuły na południe państwa Iwana, a Szwedzi założyli blokadę morską na Bałtyku. Do tego doszły susza i epidemia dżumy. W pokrętnej logice Iwana winnymi sytuacji okazali się jego najbliżsi współpracownicy z Rady Wybranej – Aleksiej Adaszew i fanatyczny protopop Sylwester.

Na domiar złego w sierpniu 1560 r. zmarła caryca Anastazja, którą Iwan poślubił w 1547 r. Związek, mimo poniżania małżonki przez cara, grożeniem jej zsyłką do klasztoru i licznych zdrad męża, uchodził za zgodny. Anastazja miała mitygujący wpływ na Iwana i często powściągała jego gwałtowny charakter. Jak pisał mieszkający w tamtych czasach w Moskwie angielski kupiec i szpieg

eprasa.pl df5dd0fcf6

„Opryczniсy" Obraz Nikołaja Newrewa
FOT. DOMENA PUBLICZNA, KYRGYZ NATIONAL MUSEUM OF FINE ARTS

Jerome Horsey: „Caryca była tak mądra i dobra, pobożna i przekonująca, że poważali ją i kochali wszyscy poddani. Książę był młody i zapalczywy, ale ona kierowała nim z zadziwiającą umiejętnością i mądrością". Iwan też prawdopodobnie żywił do niej ludzkie uczucia, bo po jej śmierci wpadł w głęboką depresję i gniew, który podsycały plotki o rzuceniu na carycę uroku przez Adaszewa i Sylwestra.

Śmierć żony utwierdziła cara w przekonaniu, że nie może polegać nawet na najbliższych doradcach, a rządzić poddanymi trzeba silną ręką. Władca stratę odreagowywał, organizując uczty i orgie, na których upijał do nieprzytomności swoich gości. W niepamięć poszły dawne modlitwy i posty. Stopniowo też następowała rozprawa z prawdziwymi i urojonymi wrogami, zwłaszcza bojarami i bogatszą szlachtą. Zakazywano sprzedaży i zamiany dóbr ziemskich, weryfikowano ich uprzednie nadania, często żądając zwrotu. Mimo surowych represji bojarzy buntowali się, powołując się na dawne prawa i przywileje. Iwanowi nie szło też na wojnie. Zdobył jedynie Połock, który był bramą do Wilna i umożliwiał swobodną żeglugę po Dźwinie. Wojska rosyjskie stopniowo traciły zdobycze.

Wielka ucieczka

Na początku grudnia 1563 r. kawalkada wozów z carem, jego rodziną, najważniejszymi urzędnikami, najświętszymi ikonami, majątkiem carskiej rodziny i państwową kasą opuściła Kreml. Kilka tygodni później dotarła do umocnionej Słobody Aleksandrowskiej, skąd car wysłał do Dumy akt swojej abdykacji. Natychmiast też zaczął rozsyłać odezwy do ludu, skarżąc się na krzywdy wyrządzone władcy przez bezdusznych bojarów. Ci zaczęli rozgłaszać wieści o zrzeczeniu się przez Iwana tronu, ale podburzone pospólstwo nie wierzyło im, zbierając się na ulicach Moskwy i grożąc rozprawą z Dumą. Bezradni bojarzy w końcu ukorzyli się przed carem, na kolanach prosząc go, aby „zdjął z nich gniew i rządził według swojej woli".

To pozwoliło ogłosić Iwanowi jeszcze bardziej szatański plan. W styczniu 1545 r. podzielił państwo na dwie części: opryczninę, w której rządził osobiście, i ziemszczynę, zarządzaną przez Dumę. Opryczninа rozciągała się na dużych obszarach na północny wschód od Moskwy i Niżnego Nowogrodu. Włączono do niej także niektóre inne ziemie z bogatymi miastami handlowymi i prawie wszystkimi kopalniami soli, przynoszące spory dochód, który kierowany był bezpośrednio do kasy opryczniny. Taki podział w wyobrażeniach Groźnego miał odzwierciedlać naturę jego władzy. On sam – namiestnik Boga – rządził czymś na kształt raju. Jego wrogowie byli natomiast grzesznikami na ziemi.

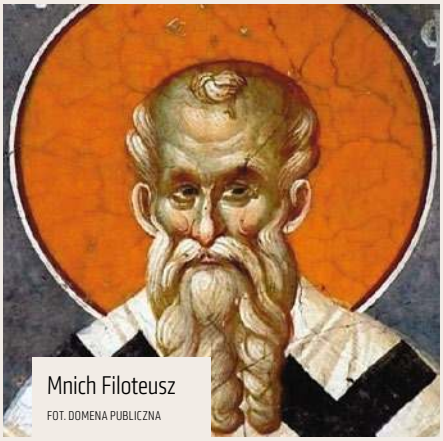

Mnich Filoteusz
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Opryczninа miała swoje wojsko, uformowane na wzór zakonu. Opryczniсy rekrutowani byli zwykle ze średniej szlachty, do tej pory służącej bojarom i odgrywającej w państwie niewielką rolę. Nosili oni czarne, proste szaty na wzór zakonników. W odróżnieniu od nich byli jednak uzbrojeni. Do karków swoich koni przywiązywali psie głowy, a pod czaprakami wozili miotły. Symbole te oznaczały wierność carowi i gotowość do kąsania jego wrogów oraz służbę dla oczyszczenia kraju. Budząc grozę, zaczęli przemierzać Rosję, krzycząc „Gojda"! (zawołanie wywodzące się z języka tatarskiego, odpowiednik polskiego „hajda").

Jak eufemistycznie utrzymują rosyjscy historycy, w pierwszych trzech latach istnienia opryczniny poziom represji nie przekraczał zwykle stosowanego przez Iwana. Jednak opryczninа od razu zaczęła zbierać swoje żniwo. Podstawą brutalnych mordów i wywłaszczeń mogły być nie tylko udział w prawdziwym albo i urojonym spisku, lecz także zwykła niesubordynacja czy gnuśność. Ciosy spadały według uznania opryczniсów. Arystokracja, głównie moskiewska, w każdej chwili mogła spodziewać się zagłady. Znając dobrze charakter Groźnego i nie mając nic do stracenia, bojarzy woleli walczyć do upadłego, niż zdać się na jego łaskę. Kraj pogrążył się w kompletnym zamęcie i władza cara zaczęła się chwiać. We wrześniu 1567 r. zdesperowany Iwan zaczął już nawet uzgadniać z angielskim posłem szczegóły ucieczki do Anglii. Najważniejsze było, za kim opowie się rosyjski lud. Zwłaszcza ta jego część, która zaznała nieco swobody. Potrzebny był więc pouczający przykład.

Szał zabijania

Idealnym celem był bogaty Nowogród Wielki. Podczas wyjaśniania sprawy rzekomej zdrady carskiego kuzyna Władimira Starickiego okazało się, że miał on w mieście liczne kontakty. Iwan zaczął więc podejrzewać, że jego władze chciały oddać się pod berło polskiego króla.

Jesienią 1569 r. na Nowogród ruszył pochód 15 tys. opryczniсów. Po drodze

eprasa.pl df5dd0fcf6

ograbili i wymordowali oni mieszkańców Tweru, Torżoka i Klinu. 2 stycznia 1570 r. awangarda opryczniny otoczyła miasto, blokując drogi wyjazdowe, opieczętowała kościelne i prywatne skarbce oraz aresztowała duchownych, patrycjuszy i ich rodziny. Po tygodniu przybył car, który na Wielkim Moście nad rzeką Wołchow oskarżył o zdradę arcybiskupa Nowogrodu Pimena. Potem doszło do sądu nad kilkuset aresztowanymi, którzy zostali skazani na śmierć. Car zaczął objeżdżać kościoły i klasztory, rabując zgromadzone w nich kosztowności. Opryczniсy rozjechali się po mieście, plądrując domy i mordując mieszkańców. Rzeź trwała do 15 lutego. Ludzi prowadzano na brzeg Wołchowa, wpychając ich następnie pod lód, albo kąpiąc na przemian w lodowatej wodzie i wrzątku. Oblewano ich także gorzałką i podpalano, z uciechą patrząc, jak wskakują do rzeki, żeby ugasić płomienie. Mnichów po torturach wpędzano uderzaniami pałek w nurty rzeki. Jak wspominał ruski kronikarz: „Żony i dzieci płci obojga wzięli za ręce i nogi i z powrotem do swoich matek poprzywiązywali i z wielkiej wysokości z woli cara rzucali w wodę". W trwającej kilka tygodni rzezi zabito od 2 do 15 tys. osób, czyli nawet połowę mieszkańców. Psków od rzezi podobnej jak w Nowogrodzie miał ocalić jurodiwyj Nikoła Sałos, który podczas obiadu podał Groźnemu kawałek surowego mięsa, mówiąc: „Zjedz, przecież żywisz się mięsem ludzkim". Przesądny car w pośpiechu wrócił do Moskwy.

Latem 1570 r. rozegrała się w stolicy główna część jego rozprawy z bojarstwem. W masowych kaźniach mordowano jednorazowo setki ludzi. Pomysłowość cara i jego oprawców przechodziła wszelkie wyobrażenie. Ofiary smażono na wielkich, rozgrzanych patelniach i pieczono w specjalnych piecach. Zanurzano we wrzącym oleju, oblewano wrzątkiem, szarpano kleszczami albo przecinano cienkimi sznurkami. Mnisi sadzani byli na beczkach z prochem, które wysadzano, bo Groźny uważał, że jako istoty bliskie aniołom powinni oni zostać wysłani do nieba. Zginęli wówczas również dowódcy opryczniny – Aleksiej Basmanow i Afanasij Wiaziemski – których coraz bardziej obawiał się car.

Kres opryczninie położył najazd tatarskiego chana Dewleta Gireja, który w 1571 r. złupił i spalił Moskwę, biorąc w jasyr tysiące jej mieszkańców. Opryczniсy, tak dzielnie walczący dotychczas ze swoimi rodakami, w większości stchórzyli. Iwan rozwiązał tę formację w 1572 r.

Car pozornie odniósł sukces. Bojarska opozycja została stłumiona, struktury władzy scentralizowane i zdyscyplinowane. Jednak państwo w wyniku wieloletniego chaosu było w opłakanym stanie. Ogromne połacie ziemi uprawnej zostały porzucone. Na chłopów nakładano coraz większe ciężary, kmiecie uciekali więc do Rzeczypospolitej albo na Kozaczyznę. Miasta były zniszczone, handel i rzemiosło zamierały. Drastycznie wzrosły ceny.

Rosjanom nie szło też w wojnie z Polską. Do roku 1577 zajęli co prawda ponownie prawie całe Inflanty, ale spotkało się to z energiczną odpowiedzią nowego polskiego króla Stefana Batorego. Do 1582 r. Rosja musiała oddać wszystkie zdobycze. Wyczerpane strony zawarły 10-letni rozejm w Jamie Zapolskim. Rosja na kolejne 100 lat została odrzucona od swojego bałtyckiego „okna na świat" i od Europy.

Niepohamowany gniew cara doprowadził w końcu do kryzysu dynastycznego w Rosji. W 1581 r., podczas kłótni ze swoim synem Iwanem, uderzył go w głowę posochem – laską okutą żelazem. Car szybko zreflektował się i zaczął żałować swojego czynu, ale było już za późno. Mimo opieki najlepszych lekarzy syn imperatora zmarł kilka dni później.

Groźny czy straszny?

Po tej tragedii car zaczął jeszcze bardziej rozpamiętywać zło, które wyrządził. Kazał sporządzać sinodiki – spisy swoich ofiar, za które mieli modlić się mnisi. 18 marca 1584 r. nadszedł jego kres. Po wyjściu z łaźni, której zażywał niemal codziennie ze względu na pokrywające ciało ropiejące rany i wrzody, usiadł do partii szachów z Borysem Godunowem. Według legendy na szachownicy przewróciły się figury króla

„Iwan Groźny i jego syn Iwan". Obraz Ilji Repnina

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GALERIA TRIETIAKOWSKA

i królowej, a następnie na ziemię z okropnym krzykiem padł sam car. Zanim skonał, zażądał ponoć jeszcze ostrzyżenia głowy na mnicha, co miało zmyć grzechy, których dopuścił się przez całe życie.

Po śmierci Iwana Groźnego władzę objął Fiodor, jego chorowity i niezdolny do rządzenia drugi syn. Było to zwieńczenie serii wydarzeń, które w końcu doprowadziły do wielkiej smuty i niemal kompletnego rozkładu państwa.

Iwan IV Groźny był różnie oceniany przez samych Rosjan. Podczas panowania liberalnego Aleksandra II nie umieszczono go nawet na pomniku tysiąclecia Rusi. Chwalił go Stalin, twierdząc, że opryczninа była „królewskim wojskiem" i „nowoczesną armią", każąc Sergiejowi Eisensteinowi w 1944 r. nakręcić film gloryfikujący tyrana. Zwolennicy jego rządów podkreślali, że Iwan Groźny zunifikował i scentralizował państwo, przygotowując je na nadchodzące wyzwania, wskazując, że podobne wydarzenia – np. wojny religijne i rzezie heretyków – miały też wówczas miejsce w Europie Zachodniej. Przydomek Groźny w języku rosyjskim – podobnie jak w polszczyźnie – to nie tylko „straszny", lecz także „godny szacunku", bo sprawczy.

Iwan był również mecenasem sztuki i nauki. Do dzisiaj trwają poszukiwania legendarnej biblioteki cara, zawierającej bezcenne księgi z Bizancjum, Rusi Kijowskiej i średniowieczne traktaty arabskich uczonych. Iwana można byłoby więc uznać za kogoś w rodzaju renesansowego księcia z Europy Zachodniej. Oczywiście w typowo rosyjskim rozumieniu słowa „renesans". Przeciwnicy wskazują jednak, że owe reformy nie doprowadziły do pozytywnych zmian społecznych, a efekty były skutkiem przymusu i kar.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl df5dd0fcf6

Pomnik w Skagway upamiętniający miejscowego przewodnika i poszukiwacza złota FOT. ADOBE STOCK

XIX w. / Z Seattle na Jukon

Złoty amok nad Klondike

Piotr Semka z Seattle

Pogoń za drogocennym kruszcem dla wielu poszukiwaczy okazywała się trudem ponad siły. Muzeum w Seattle bardzo prawdziwie pokazuje dramat ofiar gorączki złota

Narodowy Historyczny Park Gorączki Złota Klondike każdego roku odwiedza ok. 65 tys. gości. Większość jest zaskoczona, gdy dowiaduje się, że nie jest to jedynie opowieść o poszukiwaniu cennego kruszcu na Alasce, lecz także historia ok. 70 tys. osób udających się poprzez Seattle ku terytorium Jukonu w Kanadzie".

Tak reklamuje się muzeum w Seattle poświęcone największemu zbiorowemu szaleństwu Ameryki w XIX w. To właśnie przez to miasto przewinęła się większość amatorów szybkiego bogactwa. Amerykanie kilka razy przeżywali takie wzmożenia. Gorączki złota skłaniały dziesiątki tysięcy ludzi do porzucania swoich domów i podejmowania niezwykle ciężkiej wypraw w dalekie, dzikie, nieprzyjazne człowiekowi strony. Były to zbiorowe psychozy, co przywoływało skojarzenia z krucjatą dziecięcą w średniowieczu czy z południowoamerykańskimi powstaniami religijnymi.

Jednak o ile w krucjatach czy ludowych rebeliach chodziło o wiarę, o tyle w trakcie gorączek złota ludzi napędzały dużo mniej szlachetne uczucia – chciwość i naiwna wiara w szybkie wzbogacenie się.

„Niezależnie od tego, czy obejrzysz film o parku, specjalną wystawę czy odkryjesz inne interaktywne eksponaty w centrum dla zwiedzających, prawdopodobnie będziesz zdumiony, jak silnie wydarzenie to wpłynęło na ludzi podążających szlakiem prowadzącym do złóż złota" – czytamy w folderze z wystawy. Jeśli nie liczyć książek Jacka Londona, który był uczestnikiem tej zbiorowej psychozy i opisał ją w swoich książkach, to ta historia jest mało znana w naszym kraju.

Dlaczego muzeum znajduje się akurat w Seattle? Odpowiedź jest prosta. Ten największy wówczas (a także dziś) port tzw. Northwestu, czyli północno-zachodniego krańca USA przylegającego do Pacyfiku, był węzłem tranzytowym dla ok. 70–100 tys. ludzi, którzy z całej Ameryki, a także z Europy i Azji zmierzali do kanadyjskiego Jukonu. To właśnie „Gold Rush" wyniosła Seattle, niewielki port, w którym ładowano drewno, do rangi sporej metropolii i faktycznej stolicy regionu. Podobnej kariery co Seattle nie zrobił port w Skagway na Alasce, skąd poszukiwacze złota (którzy przybyli tam statkami z Seattle) udawali się w żmudną

eprasa.pl df5dd0fcf6

lądową drogę do Dawson City, stolicy Jukonu i zarazem centrum wydobywczego szaleństwa.

Muzeum znajduje się w okolicy Pioneer Square, który w Seattle pełni rolę czegoś na kształt starówki. Przetrwały tu najstarsze domy w mieście (z przełomu wieków XIX i XX). Nic specjalnego – ceglane, jednopiętrowe domy, jakie wznoszono na amerykańskim Dzikim Zachodzie. Jak wyjaśnia ekspozycja, gorączki złota ekscytowały Amerykanów kilka razy w XIX w. Pierwsza wybuchła w okolicach kalifornijskiej rzeki South Fork American River w latach 1848–1849, ale nie zaznaczyła się w pamięci takim dramatyzmem jak szturm na Jukon.

Dekadę później, w 1858 r., Jankesów pochłonęła kolejna fala chciwości – po tym, jak bryłki złota wyłowiono z rzeki Fraser w Kolumbii Brytyjskiej. W tym samym czasie złoto odkryto też w okolicy Pikes Peak na terenie ówczesnego terytorium Kolorado. Zwieńczeniem tych wybuchów zbiorowego szaleństwa było odkrycie złota latem 1896 r. nad rzeką Klondike na kanadyjskim Jukonie. Takie informacje rzadko udaje się ukryć, więc już jesienią wieści o nowych odkryciach dotarły do Seattle i San Francisco, a stamtąd rozeszły się po całej Ameryce.

Miasto w amoku

5 lipca 1897 r. do portu w San Francisco przybił statek „Excelsior". Wysiadło z niego 15 wychudzonych górników, którzy jednak promienieli szczęściem, dźwigając tobołki z grudkami złota. Szacowano, że przybysze przywieźli ze sobą ok. tony wyśnionego przez wielu kruszcu. Dwa dni później całe Seattle wiedziało już o tym wydarzeniu. Ogromny tłum zebrał się w porcie, gdy rozeszła się pogłoska, że zmierza tam statek „Portland" z 68 poszukiwaczami złota na pokładzie. Rozentuzjazmowani mieszkańcy Seattle zasypywali przybyłych pytaniami, a ci byli na tyle lekkomyślni, by chwalić się workami ze złotymi grudkami. Seattle opanował istny amok. Autor książki o gorączce złota Michel Le Bris tak to opisywał:

„Sprzedawcy porzucali sklepy, pastorzy kościoły, marynarze i policjanci opuszczali pracę. Dziennik »Seattle Times« w ciągu jednego dnia stracił połowę dziennikarzy. William de Hood, burmistrz miasta, który przebywał akurat w San Francisco, przekazał telegraficznie swoją dymisję, po czym wynajął stary parowiec »Humboldt« i udał się w kierunku Alaski […]. »Ho! For the Klondike!«. W ciągu 10 dni od przybycia statku »Portland« Seattle opuściło 1500 osób".

Od sierpnia 1897 r. przez Seattle prowadził główny szlak amatorów złota. Trwał szturm na statki, ulice zawalone były tobołami. „Wszyscy litowali się nad mężczyzną, który nie mógł wyjechać, gdyż miał na utrzymaniu rodzinę. Ten zaś, kto nie chciał porzucić pracy, traktowany był z pogardą jako pozbawiony ambicji tchórz. Natomiast człowieka, który mógł i wyjeżdżał do Klondike, którego powstrzymać można byłoby jedynie siłą, uważano za bohatera" – opowiadał James George Frazer w swoich „Wspomnieniach z gorączki złota".

Na ulicach Seattle pojawili się liczni cudzoziemcy zwabieni plotkami o odkryciach w Klondike. Do portu przypływali Szkoci, Irlandczycy, Francuzi, Niemcy i Australijczycy. Wynajmowano wszelkie dostępne morskie środki transportu – nawet zdezelowane barki i szkunery. Ci, którzy przybywali z wnętrza Ameryki, gonili przed sobą muły oraz konie, które mogły się przydać do wydobywania złota. Na powszechnym podnieceniu jak zwykle fortunę robili spekulanci, którzy sprzedawali juczne zwierzęta pięć, a nawet 10 razy drożej niż przed wybuchem szaleństwa. Rejestry portu w Seattle pokazują, że do 1 września 1897 r. wypłynęło w kierunku Alaski 9 tys. osób. Miejscowe władze próbowały jakoś opanować ten potok ludzi i przestrzegały amatorów wyprawy, że warunki w północnej Kanadzie są niezwykle ciężkie – w rejonie Jukonu pierwsze opady śniegu występują już w połowie października. Jednak mało kto traktował to serio.

Każdy, kto chciał się dostać nad Klondike, musiał mieć ze sobą wyżywienie na cały rok. Na zdjęciu: fragment ekspozycji FOT. NPR KLONDIKE GOLD RUSH – SEATTLE UNIT

Z jednej strony dominowało typowe dla ludzi owładniętych chciwością przekonanie, że władze zniechęcają do wyprawy na północ, bo same chcą położyć rękę na złocie, a z drugiej strony pojawiała się buńczuczna wiara, że „jakoś to będzie". Dziś wydaje się to niewiarygodne, ale naprawdę wielu statecznych ludzi, ojców rodzin lub funkcjonariuszy sprawujących solidne, państwowe posady było przekonanych, że wystarczy tylko wbić łopatę w ziemię Jukonu, aby napchać sobie kieszenie kruszcem. Być może na tej niefrasobliwości zaważyło to, że poprzednie gorączki złota miały

eprasa.pl df5dd0fcf6

Poszukiwacze złota przy pracy FOT. ADOBE STOCK

miejsce w stosunkowo ciepłej Kalifornii i górskim, ale jednak nie subpolarnym Kolorado.

„Strike it rich"

Ogromna część ludzi, którzy wyruszali z Seattle ku mitycznej rzeczce Klondike, nigdy nie była na dalekiej północy i nie była nawet w stanie wyobrazić sobie, jak trudna, a wręcz mordercza będzie droga z Alaski do Kanady. Zamiast tego upajano się zwodniczym hasłem „Strike it rich", czyli „Stań się bogatym". Na wystawie w Narodowym Historycznym Parku Gorączki Złota Klondike obejrzeć można oryginalną tarczę do rzutek z tamtego czasu z owym hasłem elektryzującym wtedy dziesiątki tysięcy ludzi.

Większość wypływających z Seattle przybywała do położonego na Alasce portu Skagway, gdzie rozpoczynała się długa droga lądowa w kierunku Klondike. Skagway dosłownie w ciągu paru tygodni zamieniło się w ogromne miasteczko namiotowe, gdzie dziesiątki tysięcy ludzi gotowały na ogniskach w blaszankach nędzną strawę. Na przybywających do tego portu czekali już pozbawieniu sumienia spekulanci, którzy mamili poszukiwaczy złota, że nad Klondike dotrą bez większego problemu konno. Chodziło o to, by jak najszybciej sprzedać konie, które często już w momencie kupna były w złym stanie. Przybysze zazwyczaj nie wybrzydzali, ponieważ wybór nie był zbyt duży.

Podróżnicy bardzo szybo natrafiali na błotniste jary, rwące strumienie i zdradliwe górskie ścieżki. Kamienisty szlak w okolicy Porcupine Hill był wyjątkowo wymagający – na chwiejnych głazach konie wywracały się i po groźniejszych wypadkach były zabijane na mięso. Pojawiali się pierwsi rozczarowani, którzy próbowali zawrócić, co jednak nie było łatwe wobec nieustannego potoku spieszących się ludzi. Jeszcze inni utknęli w Skagway, bo choć już na wstępie zrezygnowali z wyprawy nad Klondike, to nie mieli pieniędzy na powrót – wyruszając w drogę, nie pomyśleli o tym, jak wrócą w przypadku niepowodzenia. Przekonani, że znajdą złoto i kruszcem tym opłacą podróż powrotną, teraz byli w potrzasku. Takich desperatów nierzadko wykorzystywały miejscowe gangi, które dawały im prosty wybór: będziesz z nami grabił takich samych nieszczęśników jak ty lub staniesz się kolejną naszą ofiarą.

Przerażeni Brytyjczycy

Na granicy kanadyjskiej na tę ludzką falę płynącą z Alaski czekała już brytyjska Królewska Policja Konna. Stawiała ona podróżnym bardzo surowe wymogi – każdy, kto chciał się dostać nad Klondike, musiał mieć ze sobą wyżywienie na cały rok. Tak dużej liczby worków z fasolą, beczek z peklowanym bekonem czy paczek z suszonymi warzywami nie dało się przewieźć za jednym razem. Kandydaci na poszukiwaczy złota musieli więc parę razy przekraczać górskie zbocze w rejonie tzw. Chilkoot Pass. Każde przejście przez przełęcz wymagało uiszczenia opłaty urzędowej w wysokości 50 funtów brytyjskich. Brytyjscy policjanci pilnowali, by kolejni podróżnicy, niczym himalajscy szerpowie, wspinali się po wyżłobionych w lodzie stopniach, idąc gęsiego po pnącym się stromo szlaku. Kto się pośliznął lub upadł ze zmęczenia, był bez litości spychany w dół aż na koniec kolejki. Tam stawał wobec konieczności zapłaty kolejnych 50 funtów. Na Chilkoot Pass dochodziło do najbardziej okrutnej selekcji. Ponad 40 tys. śmiałków dało za wygraną. Przełęcz przeszło jedynie 22 tys. najtwardszych poszukiwaczy złota. Ludzie, którym udało się przejść przez przełęcz, musieli następnie rozbić obozy nad dwoma zamarzniętymi jeziorami, aby doczekać odwilży umożliwiającej spływ w kierunku Dawson City. Nie był to jednak koniec niebezpieczeństw, ponieważ podróż górskimi rzekami, bardzo wartkimi i pełnymi zdradliwych przełomów, również kończyła się dla wielu śmiałków tragedią.

Największą ironia losu było to, że ci, którzy wreszcie dotarli nad Klondike, wiosną 1898 r., odkrywali, iż pokłady złota zostały już w dużej mierze wyczerpane. Im ciężej pracowali, tym mocniej dochodziła do nich gorzka prawda, że los wystrychnął ich na dudka. Jednak znalezienie złota mogło być tylko chwilowym triumfem. Miejscowe hieny, które nie miały ochoty brudzić sobie rąk pracą, tylko czekały na sygnał, że ktoś posiada złote bryłki. Wtedy wystarczyło jedynie zamordować takiego „szczęśliwca" i przejąć jego skarb. A potem nie dać się obrabować innym hienom, które w tym upiornym łańcuchu przemocy szukały kolejnej ofiary.

Kanadyjskiej policji było zbyt mało, by zaprowadzić porządek na złotonośnych terenach. Stróże prawa robili, co mogli, i najbardziej zuchwałych bandytów starali się jednak deportować. Od jesieni 1898 r. gorączka złota zaczynała powoli przygasać. Wieści, że złota jest coraz mniej, powoli docierały do świadomości

eprasa.pl df5dd0fcf6

Amerykanów. Swoje robiły też przerażające opowieści tych, którym udało się wyrwać z tej przeklętej krainy. Eksploatację złota powoli przejmowały od tysięcy drobnych kopaczy wielkie konsorcja, które wykorzystywały do tego najnowsze zdobycze techniki pozwalające dokopać się do trudno dostępnych złóż.

Urok staroświeckiego kantoru

Na wystawie w Seattle obejrzeć można rekonstrukcję biura sprzedającego bilety na Alaskę, sklep z zapasami żywności dla podróżników oraz oryginalną wagę z kantoru, na której ważono kupowane bryłki złota. Najbardziej poruszające są zdjęcia pokazujące tysiące zabiedzonych, zmarzniętych i wygłodzonych ludzi okrywających się łachmanami, zapewne przeklinających samych siebie za to, że okazali się za słabi, by sprostać brutalnej walce o byt. W obiektywy ówczesnych fotografów patrzą ludzie, którzy właśnie odkryli, że wymarzona kraina szczęścia to prawdziwe piekło na ziemi. Niema skarga wyziera z oczu tych, którzy właśnie zrozumieli, jak bezwzględni bywają bliźni, gdy tylko natrafiają na słabszych od siebie.

Zwiedzających dziwić może, że po podobnych rozczarowaniach i tragediach, które towarzyszyły gorączce złota w Kalifornii (w latach 1848–1849), tak wielu ludzi rzuciło się bez żadnego przygotowania w kierunku Klondike. Zapominamy jednak, że ówcześni emigranci byli w znacznym stopniu analfabetami i nie byli w stanie przeczytać relacji ofiar poprzednich gorączek złota. Jack London, przyszły pisarz, wrócił z tego lodowego piekła tylko dlatego, że był inteligentnym samoukiem i przed wyprawą na Jukon przeczytał sporo książek o warunkach życia w północnej Kanadzie, a także poznał techniki przetrwania w warunkach polarnych. Niewielu było jednak ludzi takich jak on – przygotowanych na ekstremalne trudy. Ciemnota i bezmyślność skazywały wielu poszukiwaczy złota na śmierć lub kalectwo. Jeszcze po latach rozpoznawano jako ofiary gorączki złota osoby z amputowanymi z powodu odmrożeń palcami u rąk i stóp.

W kluczowych latach 1897–1899 Seattle bogaciło się na przepływie ludzi marzących o bogactwie, w związku z czym samo było zainteresowane tym, by mit o złocie trwał jak najdłużej. Negatywnym bohaterem był w tym wszystkim Erastus Brainerd, którego teksty o Seattle jako bramie do Klondike drukowało wiele amerykańskich gazet. Jako redaktor dzienników „Seattle Press" oraz „The Seattle Press-Times" (później „The Seattle Times") z talentem wirtuoza podtrzymywał koniunkturę na teksty o złotym bogactwie. W 1897 r. jako sekretarz Biura Informacji Izby Handlowej Seattle skutecznie wylansował swoje miasto jako centrum przesiadkowo-zaopatrzeniowe dla górników zmierzających na złotonośne tereny. Miał silne wpływy w elitach politycznych w stolicy USA i przekonał rząd federalny do otwarcia specjalnego urzędu probierczego w Seattle, który szacował ilość złota w samorodkach. Czy to muzeum jest jakimś wyrzutem sumienia mieszkańców Seattle z powodu wzbogacenia się na naiwności dziesiątek tysięcy ludzi? Jedno nie ulega wątpliwości: ekspozycja opowiada o całej tej epoce szczerze i bez lukrowania.

Najbardziej poruszające jest podsumowanie tego szaleńczego okresu. Czytamy w nim, że z Seattle w kierunku Jukonu wyruszyło ok. 100 tys. ludzi. Na miejsce w okolice Dawson City dotarło ok. 30 tys. Tylko ok. 100 osób naprawdę wzbogaciło się na złocie z Klondike. Jedynie 30 spośród nich zbudowało na tym złocie fortuny i zmarło w bogactwie. A ilu śmiałków zostawiło swoje kości na trasie od portu Seattle aż do Klondike? Nikt tego nie wie. Dawson City, które u szczytu świetności liczyło ok. 40 tys. ludzi, dziś zamieszkiwane jest tylko przez 1,3 tys. mieszkańców. A Seattle, mały port, który na gorączce złota zbił fortunę i stał się bogatą metropolią, liczy sobie dziś blisko 700 tys. mieszkańców. Los rzadko bywa sprawiedliwy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Więcej informacji na temat Narodowego Historycznego Parku Gorączki Złota Klondike w Seattle można znaleźć pod adresem: www.nps.gov/klse/index.htm.

WYJAŚNIENIE OD REDAKCJI:

Do poprzedniego tekstu Piotra Semki w „HDR" wkradł się chochlik drukarski – w ostatecznej wersji artykułu nie skasowaliśmy notki wewnątrzredakcyjnej. Serdecznie przepraszamy za ten błąd i spieszymy wyjaśnić, że przedwojenne czeskie miasto Mistek jak najbardziej istniało (dziś nazywa się Frydek-Mistek), natomiast autor bezpiecznie wrócił z Kanady, dzięki czemu mogliśmy oddać w Państwa ręce powyższy tekst.

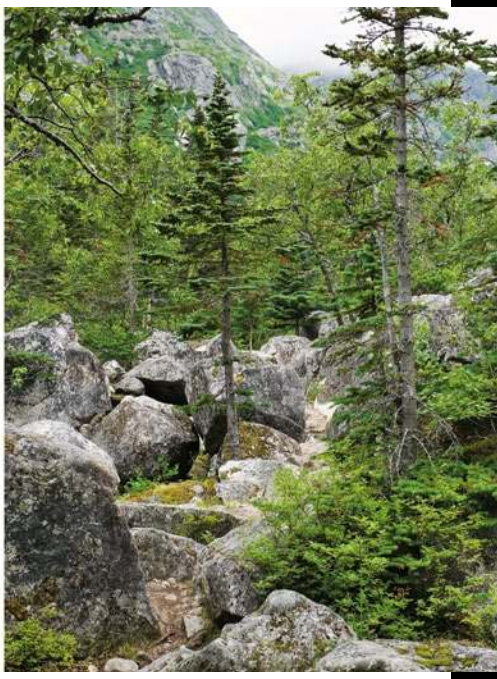

Pod Long Hill w 1897 r. i współcześnie

FOT. LIBRARY AND ARCHIVES CANADA, NPS PHOTO/R. KARPILO & S. VENATOR

eprasa.pl df5dd0fcf6

1980 r. / Delta Force na irańskiej pustyni

Nieoznakowane śmigłowce Sikorsky CH-53 Sea Stallion na pokładzie USS „Nimitz"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DEFENCE IMAGE GALLERY

Desert One w ogniu

Piotr Włoczyk

Iran upokorzył Amerykę na oczach całego świata. Waszyngton przygotował operację, która miała zmyć tę hańbę, ale jej finałem była jedna wielka katastrofa

Logan Fitch z niedowierzaniem wpatrywał się w telewizor. Na ekranie widać było sceny, które nie mieściły się w głowie – tłum młodych Irańczyków, wielu z nich uzbrojonych, wdziera się na teren ambasady USA w Iranie i terroryzuje całą obsługę placówki. USA zostały upokorzone na oczach całego świata – 52 dyplomatów mocarstwa aspirującego do dominacji nad światem było zdanych na łaskę motłochu kierowanego przez nowe władze Iranu, które kilka miesięcy wcześniej obaliły szacha Mohammada Rezę Pahlawiego.

Fitch służył wówczas w powołanej dwa lata wcześniej Delta Force, elitarnej jednostce komandosów, którzy mieli być dla prezydenta USA ostatnią deską ratunku w beznadziejnych sytuacjach. Wraz z jej dowódcą, płk. Charliem Beckwithem, Fitch przejrzał przez ten czas 15 tys. teczek osobowych najbardziej wyróżniających się żołnierzy amerykańskich sił zbrojnych. Wybrana została garstka najlepszych z najlepszych. Ludzi, którzy byli ekspertami w swoich dziedzinach: bezszelestnym zabijaniu, podkładaniu i rozbrajaniu ładunków wybuchowych, odbijaniu zakładników. W listopadzie 1979 r. Delta Force dopiero co osiągnęła zdolność bojową.

– Wtedy nawet nie podejrzewałem, że Delta mogłaby zostać zaangażowana w jakimkolwiek charakterze w rozwiązanie tego kryzysu. W tamtym okresie nasza działalność miała się ograniczać do misji przeprowadzanych w tzw. przyjaznym środowisku. Innymi słowy, misje byłyby wykonywane za zgodą państwa, na terenie którego miałyby się odbyć – wyjaśniał w rozmowie ze mną Logan Fitch. – Jako przykład można tu wymienić słynną akcję niemieckiej grupy specjalnej GSG 9 w Somalii w 1977 r. Niemcy odbili wtedy zakładników przetrzymywanych na pokładzie boeinga 737 linii Lufthansa. Somalijczycy wyrazili zgodę, żeby GSG 9 pojawiła się na terytorium ich kraju. I właśnie dlatego nawet nie

eprasa.pl df5dd0fcf6

podejrzewałem, że zostaniemy zaangażowani w akcję na terenie wrogiego Iranu. Okazało się jednak, że będzie to pierwsza misja bojowa Delty, a ja mam dowodzić szturmem na ambasadę. Wiedziałem, że mamy najlepszych ludzi na świecie i jeżeli nie będziemy w stanie przeprowadzić tego pomyślnie, to oznaczałoby to, że byłoby to fizycznie niewykonalne. Przeczuwałem, że poniesiemy straty i że niektórzy zakładnicy zginą w trakcie tej operacji. Byłem jednak prawie stuprocentowo przekonany, że uda się nam doprowadzić ją szczęśliwie do końca.

Operacja ratunkowa została nazwana „Eagle Claw" („Orli Szpon"). Żołnierze Delta Force trenowali odbicie zakładników z ambasady m.in. na poligonie w Nevadzie. Zbudowano tam kopię ambasady i żołnierze do upadłego ćwiczyli forsowanie muru, szturm na budynki, eliminację porywaczy i ewakuację zakładników. Każdy z nich rozumiał, że na szali jest nie tylko życie amerykańskich dyplomatów, lecz także prestiż USA, który bardzo ucierpiał.

W związku z tym, że misja miała zostać przeprowadzona na terytorium państwa nieprzyjaznego, żołnierze Delty musieli zmienić taktykę działania. I tak żołnierze, którzy normalnie byli snajperami, musieli przestawić się na obsługę karabinów maszynowych (na nieprzyjaznym terenie potrzebna była większa siła ognia). Poza tym Delta rozpoczęła współpracę z siłami powietrznymi w kwestii zapewnienia wsparcia lotniczego, co nie byłoby potrzebne podczas prowadzenia operacji w „przyjaznym środowisku".

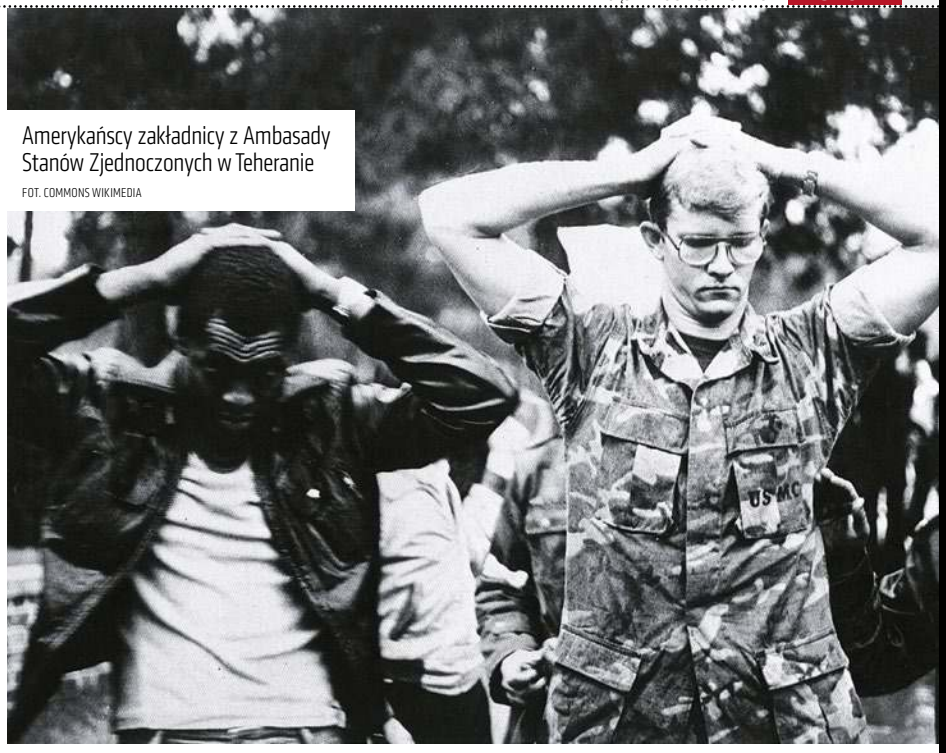

Amerykańscy zakładnicy z Ambasady Stanów Zjednoczonych w Teheranie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Śpiący strażnicy

– W tamtym okresie śmigłowce nie mogły tankować w powietrzu, więc plan zakładał, że siły szturmowe polecą herkulesami z Omanu do Iranu. Miały wylądować w miejscu, które nazwaliśmy Desert One. Było ono oddalone o kilkaset kilometrów na południowy wschód od Teheranu. Herkulesy miały mieć na pokładzie paliwo dla śmigłowców, które wystartowałyby z lotniskowca i miały się pojawić w Desert One. Mieliśmy się przesiąść z herkulesów do śmigłowców, które zatankowałyby z samolotów paliwo na dalszą drogę. Polecielibyśmy następnie na pokładzie śmigłowców do miejsca oddalonego już tylko ok. 50 km na wschód od Teheranu. Nazywaliśmy je Desert Two – opowiadał Logan Fitch. – Spędzilibyśmy tam noc, a śmigłowce odleciałyby do kryjówki na pustyni, gdzie zostałyby ukryte. Następnego dnia wieczorem mieliśmy wsiąść do ciężarówek, które nasi ludzie kupili dla nas w Iranie, i pojechać nimi do Teheranu. Plan przewidywał zatrzymanie się po zachodniej stronie kompleksu ambasady i sforsowanie prawie trzymetrowego muru.

W szturmie na kompleks ambasady nie mieli brać udziału wszyscy komandosi (90 żołnierzy). Część miała zabezpieczać pobliski stadion piłki nożnej, z którego śmigłowce miały na koniec ewakuować zakładników i komandosów.

Dane wywiadowcze wskazywały, że problemem nie powinni być strażnicy, którzy pilnowali kompleksu od zewnątrz – najwyraźniej zupełnie nie brali pod uwagę operacji specjalnej, ponieważ bardzo często spali na służbie. Żołnierze Delty byli przekonani, że jeżeli po ich stronie będzie element zaskoczenia, to wyeliminowanie grupy studentów, którzy nie byli przecież dobrze przeszkoleni, nie będzie już żadnym problemem.

– Musieliśmy rozproszyć nasze siły, ponieważ nie wiedzieliśmy, gdzie są przetrzymywani nasi dyplomaci. Nie wiedzieliśmy nawet, czy chodzi o jeden pokój czy są oni podzieleni na grupy. Byliśmy przygotowani na konieczność przeszukania całego budynku i wyeliminowanie napotkanego po drodze zagrożenia. Po zabezpieczeniu zakładników wyprowadzilibyśmy ich z kompleksu ambasady przez dziurę w murze i zabralibyśmy ich na stadion – wyjaśniał Fitch. – Śmigłowce, które stały w pogotowiu zamaskowane w kryjówce na pustyni, zostałyby wezwane radiowo i zabrałyby zakładników na lotnisko niedaleko miasta Kom. Lotnisko zostałoby odpowiednio wcześniej opanowane przez kompanię Rangersów, którzy zajęliby się potem przyjęciem helikopterów z zakładnikami. Delta wyleciałaby z Teheranu ostatnia. Po zakończeniu przerzutu zniszczylibyśmy nasze helikoptery i wylecielibyśmy wszyscy do Omanu samolotami transportowymi. Na ich pokładach znajdowałoby się zaplecze medyczne, w tym chirurdzy. Tak to miało wyglądać…

Nieoczekiwani pasażerowie

Operacja ratunkowa zaczęła się zgodnie z planem. Komandosi wylecieli z Omanu na pokładzie sześciu transportowych herkulesów. Bez problemu udało się też odnaleźć Desert One. I wtedy

eprasa.pl df5dd0fcf6

Logan Fitch FOT. LIBRARY OF CONGRESS

pojawiły się pierwsze kłopoty. Amerykański zwiad satelitarny obserwował przez dłuższy czas miejsce lądowania i nie wykryto tam żadnego ruchu – właśnie dlatego był to idealny punkt, z którego komandosi mieli wykonać „skok" do Teheranu. Tymczasem podczas lądowania okazało się, że pobliska droga jest jednak uczęszczana i akurat przejeżdżał nią autobus pełen ludzi… Komandosi musieli więc zająć się nieoczekiwanym problemem. Gdy tylko pasażerowie zostali zatrzymani, na horyzoncie pojawił się drugi pojazd – cysterna. Jej kierowca nie zamierzał się zatrzymać, więc komandosi Delty musieli ostrzelać pojazd, co doprowadziło do eksplozji.

– Kierowca cysterny zdołał uciec. Podejrzewaliśmy, że szmuglował paliwo. Zakładaliśmy więc, że nie pójdzie zgłosić tego wydarzenia do władz. To z kolei oznaczało, że być może nie wszystko było jeszcze stracone. Kontynuowaliśmy więc misję – opowiadał Fitch. – Rozpoczyna się oczekiwanie na śmigłowce. W końcu z bardzo dużym opóźnieniem przylatują dwie maszyny. Stałem akurat w miejscu, gdzie wylądowały śmigłowce, więc poszedłem porozmawiać z pilotami. Powiedzieli mi, że mieli bardzo ciężką podróż. Jeden z pilotów przyznał, że miał usterkę z hydrauliką, ale twierdził, że nie był to jakiś większy problem. Pilot miał jeszcze do dyspozycji system zapasowy, więc – jak mi powiedział – był pewien, że będzie mógł lecieć dalej. Potem znowu czekaliśmy i czekaliśmy, aż w końcu doleciały kolejne dwie maszyny. Po chwili wylądowały następne dwie, więc mieliśmy na Desert One sześć śmigłowców.

To kluczowy moment operacji „Eagle Claw". Plan przewidywał udział ośmiu śmigłowców, ale uznano, że nawet z sześcioma maszynami da się przeprowadzić akcję odbicia i ewakuacji zakładników. I rzeczywiście doszło do takiej sytuacji – dwa śmigłowce nie były w stanie dotrzeć na Desert One z powodu awarii. Wydawało się, że można kontynuować operację, ale nieoczekiwanie oficer dowodzący śmigłowcami stwierdził, że jedna z maszyn ma jednak awarię uniemożliwiającą jej wzięcie udziału w akcji.

– Pułkownik Beckwith spytał mnie: „Myślisz, że możemy odbić zakładników, mając do dyspozycji pięć helikopterów?". Odpowiedziałem mu: „Pułkowniku, a kogo z naszych mielibyśmy, do jasnej cholery, zostawić w Iranie? Jeżeli nie mamy sześciu maszyn, to nie możemy lecieć". Przerwaliśmy więc misję – wspominał w rozmowie ze mną Logan Fitch. – Załadowałem swoich ludzi do herkulesów, które – przypomnę – przywiozły ze sobą paliwo dla śmigłowców. Nasz herkules akurat tankował helikoptery, które stały dokładnie za nim. W związku z tym musiały się one przenieść gdzie indziej, ponieważ podczas startu podmuch śmigieł mógłby je zniszczyć. I wtedy, w trakcie „przeparkowywania", doszło do katastrofy…

Wrak jednego ze śmigłowców biorących udział w akcji
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BAHRAM MOHAMMADIFARD

Dwa wybuchy

To, co się wówczas zdarzyło, ciężko zrozumieć. W operacji ratunkowej brali udział starannie wyselekcjonowani specjaliści w swoich dziedzinach, a tymczasem zdarzyło się coś, co wyglądało jak szkolny błąd: jeden z helikopterów uderzył w herkulesa.

– Gdy siedzieliśmy w herkulesie i czekaliśmy na start, czuliśmy się totalnie rozbici decyzją o przerwaniu misji. Mieliśmy jednak jeszcze nadzieję, że uda nam się wrócić na Desert One kolejnej nocy. Mieliśmy nawet zamiar zabrać ze sobą wszystkich Irańczyków, którzy jechali zatrzymanym przez nas autobusem.

eprasa.pl df5dd0fcf6

Przywieźlibyśmy ich z powrotem następnym razem – wspominał Logan Fitch. – Gdy uderzył w nas śmigłowiec, usłyszałem dwa wybuchy. Byłem przekonany, że zostaliśmy zaatakowani. Momentalnie chwyciłem za broń i rzuciłem się do pomocy przy otwieraniu tylnych lewych drzwi samolotu. Na zewnątrz szalało już piekło. Potem staraliśmy się opuścić rampę, ale ona też stała już w płomieniach. W końcu udało nam się otworzyć tylne prawe drzwi i zaczęliśmy wyskakiwać jeden po drugim. Gdy wydostałem się z samolotu, odbiegłem od niego na odległość jakichś 50 m. Wciąż myślałem, że zostaliśmy zaatakowani. I wtedy zobaczyłem helikopter wbity w nasz samolot... To był koniec misji odbicia zakładników. W tym wypadku zginęło osiem osób. Musieliśmy załadować się do pozostałych samolotów i wróciliśmy do Omanu.

Okazało się, że o ile piloci herkulesów byli doskonale przeszkoleni, o tyle piloci śmigłowców nie zostali specjalnie wyselekcjonowani! Krótko mówiąc, w tej niezwykle wymagającej operacji wzięli jednak udział losowo wybrani ludzie.

Klęska Amerykanów na irańskiej pustyni sprawiła, że Pentagon wprowadził duże zmiany w koordynacji i przygotowaniu podobnych operacji

Ocena zaprezentowana przez Logana Fitcha może brzmieć szokująco.

– Być może nie powinienem tego mówić, ale powiem panu, jak było w rzeczywistości – Kolegium Połączonych Szefów Sztabów postanowiło, że wszystkie gałęzie sił zbrojnych powinny wziąć udział w „Orlim Szponie". Uważano, że po odniesieniu sukcesu wszystkich będzie można obdzielić chwałą. Helikoptery były własnością marynarki wojennej, ale pilotowali je marines. To z pewnością byli bardzo dobrzy ludzie, ale zwyczajnie nie nadawali się do tego konkretnego zadania. Można to porównać do sytuacji, gdy ktoś całe życie jest kierowcą autobusu. Przejechał już milion kilometrów i nie miał po drodze ani jednego wypadku. Nagle jednak ktoś każe mu wziąć udział w wyścigu Indianapolis 500. Nietrudno się domyślić, że efekty nie będą zbyt dobre. To był pierwszy problem – oceniał Logan Fitch. – Drugim problemem było to, że nie wszyscy uczestnicy tej operacji chcieli tam być! Według mnie, gdy wyczuli, że pojawiła się okazja, by przerwać tę misję, znaleźli pretekst, aby wszystko odwołać. Specjalsi z kolei, gdy pojawiają się problemy, robią wszystko, żeby je rozwiązać.

Klęska Amerykanów na irańskiej pustyni sprawiła, że Pentagon wprowadził duże zmiany w koordynacji i przygotowaniu podobnych operacji. Dlatego nie brak też głosów, że „Eagle Claw" był najbardziej udaną klęską w historii sił zbrojnych USA. Jednym z efektów sromotnej porażki na Desert One było choćby powołanie Dowództwa Operacji Specjalnych, które miało lepiej koordynować takie misje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl df5dd0fcf6

Anna Szczepańska

Za pomocą wpływów z ropy naftowej chciał prowadzić mocarstwową politykę. O jego żądzach krążyły dzikie legendy

W ostatnich latach najbardziej znaną pracą poświęconą przywódcy Libii była głośna książka pt. „Kobiety Kaddafiego" autorstwa francuskiej dziennikarki Annick Cojean. Po lekturze tej pracy Kaddafiego można określić pokrótce jako bestię bez skrupułów. Autorka opisuje relacje Kaddafiego z otaczającymi go kobietami, wskazując, że całym jego życiem rządziły wyłącznie niepohamowane żądze cielesne. Cojean uważa, że Kaddafi był wręcz opętany seksem, miał skłonności pedofilskie, wykorzystywał seksualnie nieletnie dziewczynki, które na jego życzenie sprowadzano do pałacu, gwałcił swoje służące, pielęgniarki, a nawet zmuszał do stosunków żony i córki swoich ministrów, jak również ich samych – od kontaktów homoseksualnych także podobno nie stronił. Kaddafi miał być także uzależniony od narkotyków i alkoholu – wiecznie otumaniony środkami psychoaktywnymi oraz lekami na potencję, które – jak pisze Cojean – zażywał całymi garściami.

Kaddafi nigdy przesadnie nie ukrywał swojej słabości do płci pięknej. Wypowiadał się pozytywnie o prawach kobiet, był za zliberalizowaniem surowych islamskich zasad, które obowiązywały w Libii, mówił o kobiecej edukacji i zdobywaniu przez kobiety dobrej pracy. Na dowód swojej prokobiecej postawy otoczył się elitarną jednostką nazywaną „gwardią amazonek", złożoną wyłącznie z pań. Kończyły one specjalne przeszkolenie wojskowe, wchodząc w skład osobistej ochrony przywódcy Libii. Wiele z nich było autentycznie zafascynowanych Kaddafim. Kobiety te były gotowe oddać

FOT. U.S. NAVY PHOTO BY MASS COMMUNICATION SPECIALIST 2ND CLASS JESSE B. AWALT/WIKIPEDIA

1942–2011 / Żądze wodza Dżamahirii

Kwestia ego Kaddafiego

eprasa.pl df5dd0fcf6

życie w obronie swojego przywódcy. Jednak zdaniem francuskiej dziennikarki kobiety ochraniające Kaddafiego nie były żadnymi „żołnierkami", lecz wyłącznie obiektami jego seksualnych fantazji i kochankami. Czy rzeczywiście cechował je wyłącznie swoisty syndrom sztokholmski? A może naprawdę były zafascynowane Kaddafim? W 1998 r. część z nich dała pokaz swojego oddania. Gdy konwój, którym jechał wódz, został zaatakowany przez islamskie bojówki, „amazonki" rzuciły się Kaddafiemu na ratunek. Jedna z nich zasłoniła go własnym ciałem, ponosząc przy tym śmierć.

Relacje, które w swej książce przedstawiła Cojean, są porażające, lecz wydaje się, że to tylko jedna strona medalu. Jaki faktycznie był przywódca Dżamahirii? Jak to się stało, że urodzony na pustyni, pochodzący z beduińskiej rodziny biedak doszedł do takiej władzy? Czy faktycznie mógł bez żadnego skrępowania przez lata trząść całą Libią, poniżać polityków, wojskowych i rządzić niczym cesarz?

Sri Lanka, 1976 r. Szczyt Ruchu Państw Niezaangażowanych. Kaddafi w rozmowie z hostessą

FOT. A. ABBAS/MAGNUM PHOTOS/FORUM

Na szczyt

Muammar al-Kaddafi urodził się w 1942 r. w rodzinie beduińskich rolników. Uczył się dobrze. W 1963 r. ukończył Uniwersytet Libijski, a dwa lata później akademię wojskową w Bengazi. Kaddafi bardzo interesował się polityką oraz rodzącymi się w Afryce i na Bliskim Wschodzie nurtami ideologicznymi. Jego idolem był przywódca Egiptu, Gamal Abdel Naser, który kilka lat wcześniej w wyniku zamachu stanu objął rządy w Egipcie, ograniczył obce wpływy i m.in. znacjonalizował obszar wokół Kanału Sueskiego (w 1956 r. wywołało to międzynarodowy kryzys). Kaddafi podziwiał Nasera za jego wolę walki i nieustępliwość. Wielokrotnie odsłuchiwał jego przemówienia, ucząc się ich niemal na pamięć. Jednocześnie chłonął idee panarabizmu lansowanego przez Nasera oraz partię Baas. Interesował się działalnością Ruchu Arabskich Nacjonalistów i Bractwa Muzułmańskiego. Kaddafi wierzył, że wszyscy Arabowie powinni się zjednoczyć przeciwko zachodniemu imperializmowi i coraz bardziej buńczucznej postawie Izraela.

Studiując w akademii wojskowej, razem z kolegami założył Ruch Wolnych Oficerów, który nastawiony był przeciwko monarchii i królowi Idrisowi I panującemu wówczas w Libii. W niedługim czasie wyjechał do Wielkiej Brytanii, gdzie przeszedł kursy wojskowe. Pobyt na Zachodzie mocno go jednak rozczarował. Kiedy tylko ukończył przeszkolenie, wrócił do kraju. Po latach twierdził, że europejskie „rozprzężenie" rozbudziło w nim jedynie większe uczucia patriotyczne. Chciał zrobić dla Libii coś więcej. Widział, że Libijczycy są coraz bardziej niezadowoleni z władzy króla Idrisa, który uchodził za władcę proizraelskiego. W tamtym czasie w świecie arabskim taka postawa była zdecydowanie passé. Wyraźne głosy sprzeciwu wobec polityki Idrisa pojawiły się w 1967 r., kiedy Izrael wygrał wojnę sześciodniową. Dla członków Ruchu Młodych Oficerów niewyobrażalne było, aby dobre relacje z Izraelem przedkładać nad solidarność z innymi państwami arabskimi.

Wygląda na to, że libijskie służby przegapiły zupełnie moment, w którym Ruch Młodych Oficerów z niszowego kręgu niezadowolonych młodych wojskowych przekształcił się w liczącą się siłę, która osiągnęła nie tylko militarne, lecz także polityczne znaczenie. W ten sposób Kaddafi i jego ludzie doszli do momentu, w którym tylko czekali na dogodną chwilę, aby przejąć władzę. Taka okazja nadarzyła się, gdy Idris wyjechał na leczenie do Turcji.

Operacja „Jeruzalem" rozpoczęła się 1 września 1969 r. Puczyści przejęli lotniska, posterunki policji, jednostki wojskowe, budynki rządowe i rozgłośnie radiowe. Ataku dokonano jednocześnie w Trypolisie i Bengazi. Przewrót nie spotkał się właściwie z żadnym oporem. Mieszkańcy Libii przyjęli zmianę władzy bez większych protestów (król Idris pozostał na wygnaniu; mieszkał w Turcji, gdzie zmarł w 1983 r.). „Jednym ruchem rewolucja rozświetliła długą, ciemną noc reakcyjnego i zdeprawowanego reżimu, który nie był niczym innym jak siedliskiem oszustw, podziałów, szantażu i zdrady" – mówił Kaddafi w jednym z pierwszych przemówień po przejęciu władzy.

Wielka Sztuczna Rzeka

Znany afrykanista Martin Meredith pisał: „Przewrót wojskowy z 1969 r. wyniósł do władzy 27-letniego oficera łączności, miotanego wielkimi ambicjami, dziką nienawiścią i patologiczną skłonnością do mieszania się w sprawy innych krajów, co umożliwił mu olbrzymi napływ środków ze sprzedaży ropy naftowej, pozostających do jego dyspozycji". Ta teza, skądinąd słuszna, ma jednak tę wadę, że została postawiona w czasach, gdy autor miał pełną wiedzę o tym, co nastąpiło później. U progu lat 70. niewiele wskazywało, że Kaddafi ostatecznie popchnie Libię na tor permanentnego kryzysu. Tym bardziej że pierwsze lata jego rządów okazały się niespodziewanym sukcesem. Do dzisiaj wielu historyków chwali go za wprowadzone reformy i podniesienia poziomu życia zwykłych Libijczyków. Wbrew temu, co powtarza w swej książce wspomniana wyżej Annick Cojean, Libia, przynajmniej

eprasa.pl df5dd0fcf6

Kaddafi w otoczeniu „gwardii amazonek" na spotkaniu z prezydentem Ukrainy Wiktorem Juszczenką, Kijów 2008 r.

FOT. G. GARANICH/REUTERS/FORUM

w początkowej fazie panowania Kaddafiego, nie była państwem ostatniej kategorii. Ludziom żyło się lepiej, edukacja stała się bardziej powszechna, dobrze funkcjonowały szpitale i uniwersytety. Na dodatek przywódca kreślił ambitne plany rozwojowe, tj. projekt tzw. Wielkiej Sztucznej Rzeki, czyli wydobycia wody z warstw wodonośnych znajdujących się wiele kilometrów pod Saharą. Jednocześnie Kaddafi wyrzucił zagraniczne wpływy z kraju, nakazał likwidację brytyjskich i amerykańskich baz wojskowych oraz znacjonalizował obcy kapitał – robił to wszystko nawet pomimo ostrzeżeń swojego idola Nasera, który mając w tej kwestii własne doświadczenie, radził mu, aby nie pozbywał się wszystkich fachowców i nie zamykał firm. Kaddafi chciał być jednak sprytniejszy. Wkrótce wprowadził ponadto zakaz picia alkoholu, działalności klubów nocnych czy prostytucji. Takimi posunięciami przysporzył sobie jednak wielu zwolenników – Libia była bowiem państwem, gdzie wciąż dominowali przestrzegający prawa szariatu muzułmanie.

Kaddafi stworzył specyficzną mieszankę ustrojową. Opierała się ona na panarabizmie, islamskiej ortodoksji i wojującym socjalizmie. Wszystko okraszone było namiętną niechęcią do świata zachodniego. Kaddafi był autorem trzytomowego „dzieła" pt. „Zielona książka", w której kreślił swą wizję tzw. Trzeciej Drogi Uniwersalnej, jak nazwał swój ideologiczno-ustrojowy miks. Te tomiszcza były lekturą obowiązkową dla wszystkich Libijczyków. 2 marca 1977 r. Ludowy Kongres Generalny z woli Kaddafiego przyjął Deklarację ustanowienia władzy ludowej. W jej wyniku rozwiązano Libijską Republikę Arabską, którą zastąpiło „państwo ludowe" o nazwie Wielka Arabska Libijska Dżamahirijja Ludowo-Socjalistyczna. Dla Zachodu oznaczało to jednak nic innego jak powstanie islamskiej dyktatury, będącej w dodatku na usługach Związku Sowieckiego, choć w rzeczywistości Kaddafi zawsze trzymał Moskwę na pewien dystans i nie pozwalał, aby Sowieci wtrącali się w wewnętrzne sprawy jego kraju.

Utopia za utopią

W ciągu kilku lat Kaddafi, zmuszając pozostałe jeszcze w Libii firmy wydobywcze do płacenia wyższych podatków, wielokrotnie zwiększył dochody kraju. „Już w pierwszym roku wywindował ceny ropy do tego stopnia, że jego rząd uzyskał dodatkowy miliard dolarów dochodu. Postawiwszy naftowych potentatów u progu bankructwa, powtarzał te same groźby ciągle na nowo, narzucając im ustalanie coraz wyższych cen i wnoszenie większego wkładu w raczkującą republikę arabską. Bliski Wschód zareagował podniesieniem cen, podobnie jak Nigeria. Równowaga sił zachwiała się zdecydowanie na niekorzyść firm naftowych, dając przewagę goszczącym je państwom, a Kaddafi szykował się do spektakularnego pokazu swojej gotowości do ukarania wszystkich spółek lub krajów, które mu się nie podporządkują […]. Syn niepiśmiennych Beduinów odkrył, jak włączyć się w światowy obieg: wystarczy, że naciśnie dźwignię w Trypolisie, a przygasną światła od Afryki po Westminster. W ciągu sześciu lat podniósł ceny ropy do poziomu sześciokrotnie wyższego niż w chwili, gdy przejmował władzę. Bezprecedensowe dochody powinny zapewnić państwu, w którym żyło zaledwie 1,5 mln mieszkańców, niewyobrażalne bogactwo. Kaddafi miał jednak osobiste rachunki do wyrównania i wielkie projekty zagraniczne, na które przeznaczał pieniądze swojego narodu" – pisał Paul Kenyon w książce „Ziemia dyktatorów".

Swoje panarabskie utopie Kaddafi próbował realizować poprzez sojusz Libii, Egiptu, Sudanu i Syrii. Wierzył, że z czasem do grona tych państw dołączą także inne, leżące od Oceanu Atlantyckiego do Tygrysa i Eufratu. Z jego koncepcji zjednoczeniowych nic jednak nie pozostało. Chociaż Libia zawiązała sojusz z Egiptem i Sudanem (karta z Trypolisu, 1969 r.), z Egiptem i Syrią (traktat z Bengazi, 1971 r.), z Algierią (1973 r.) i Tunezją (1974 r.), to żaden z tych projektów nie przetrwał. Nie wszyscy traktowali bowiem Kaddafiego całkiem poważnie. Egipski prezydent Naser doceniał starania libijskiego wodza, ale jednocześnie określał go jako „miłego, lecz skrajnie naiwnego". Kolejny egipski przywódca, Anwar as-Sadat (Naser zmarł w 1970 r.), nie był już jednak dla Kaddafiego tak dobroduszny. Obaj szybko się poróżnili i o żadnym sojuszu między Trypolisem a Kairem nie było więcej mowy. „Idea panarabska, która zdominowała świadomość polityczną współczesnych Arabów, stała się pustą retoryką" – skwitował te zakończone fiaskiem starania Fouad Ajami w książce „The Arab Predicament". Najbardziej jaskrawym dowodem na to była izraelsko-arab-

Młody Kaddafi ze swoim idolem Naserem, 1969 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl df5dd0fcf6

Mural z karykaturą Kaddafiego w libijskim mieście Al-Bajda FOT. WIKIPEDIA

ska wojna Jom Kippur, która wybuchła w 1973 r. Kaddafi, mimo że bardzo chciał włączyć Libię w ten konflikt, a co za tym idzie – wzmocnić swoją pozycję w świecie arabskim (przeznaczył na ten cel ok. miliarda dolarów), został od niego odsunięty jedną decyzją Sadata.

Destabilizacja

Kaddafi miał jednak pieniądze. Ogromne pieniądze. A także – jak pisał Meredith – „patologiczną skłonność do mieszania się w sprawy innych krajów". Przywódca Libii postanowił więc odsunąć na dalszy plan panarabskie idee i włączyć się w sprawy Afryki Subsaharyjskiej. W państwach leżących na południe od Sahary działo się bowiem wtedy bardzo dużo – lata 60. i 70. to nieustanne, wybuchające jedna za drugą wojny o niepodległość oraz wojny domowe. Tutaj Kaddafi mógł wykorzystać finansowy i surowcowy potencjał Libii oraz zbudować swój wizerunek rozjemcy oraz „ojca narodów". Pod koniec lat 70. zaangażował się z całą mocą w działalność Ruchu Państw Niezaangażowanych, gdzie występował jako jeden z najbardziej liczących się liderów.

Jednocześnie Kaddafi podsycał niepokoje w całej Afryce i poza jej granicami. Finansował liczne ruchy wywrotowe i separatystyczne. Wspierał Afrykański Kongres Narodowy Nelsona Mandeli w RPA, etiopskich partyzantów pod wodzą Mengystu Hajle Marjama walczących z cesarzem Hajle Syllasje, front Polisario z Sahary Zachodniej, a nawet bojówki palestyńskie, jak Czarny Wrzesień czy Organizacja Wyzwolenia Palestyny, rebeliantów z Irlandzkiej Armii Republikańskiej oraz powstańców w Tajlandii i na Filipinach. Przez wiele lat w nieograniczony sposób nabywał sprzęt wojskowy, głównie we Francji oraz w Związku Sowieckim. W latach 1970–1985 wydał na to prawie 30 mld dol. Kaddafi stworzył nawet własną „legię cudzoziemską" nazwaną Legionem Muzułmańskim, w której skład wchodzili ochotnicy z krajów afrykańskich. Siły te wódz Libii wysyłał w różne newralgiczne miejsca na kontynencie, gdy kolejny jego „klient" potrzebował militarnego wsparcia.

Największą operację wojskową Kaddafi przeprowadził w Czadzie. Była to zaplanowana na wiele lat akcja, której ostatecznym celem miała być aneksja tego kraju. Przywódca Libii od 1971 r. wysyłał na północne tereny Czadu swoich agentów, którzy mieli zjednywać miejscowych wodzów. Dwa lata później na teren ten weszły libijskie wojska, ogłaszając, że jest to terytorium należące do Libii. Krok ten wywołał serię rozłamów w Czadzie. Jedno z najbiedniejszych państw świata pogrążyło się w permanentnym chaosie na kolejne kilkanaście lat. Kaddafi wykorzystywał tę sytuację, coraz mocniej penetrując obszar Czadu. Na temat rozwiązania impasu w tym kraju rozrywanym przez zwalczające się frakcje rozmawiali z nim Francuzi i Nigeryjczycy. Przywódca Libii był liczącym się graczem – a tego właśnie chciał. W końcu, w 1981 r., Kaddafi ogłosił połączenie Czadu i Libii oraz utworzenie Muzułmańskiej Republiki Sahelu. Ten krok spotkał się jednak ze zdecydowanym potępieniem. Wszystkie państwa regionu ostro skrytykowały Libię, nawoływały do objęcia jej sankcjami, a niektóre kraje, m.in. Senegal czy Gambia, zerwały z Trypolisem stosunki dyplomatyczne. Kaddafi na krótko wycofał się z Czadu, lecz w 1983 r. wznowił ofensywę. Jedyna w miarę stabilna frakcja w Czadzie pod przywództwem Hisseina Habré wezwała na pomoc Francję i Stany Zjednoczone. Siły Kaddafiego ostatecznie poniosły całkowitą porażkę, jednak sam Czad pozostał zrujnowany i z tego upadku nie podniósł się do dzisiaj.

Równia pochyła

Tymczasem kolejne lata niemiło Kaddafiego zaskoczyły. Czujący się niczym władca świata, panujący nad globalnym rynkiem ropy naftowej przywódca Libii nie przewidział, że nadejdą nowe czasy. Rosnące zapotrzebowanie na gaz ziemny oraz energię jądrową automatycznie obniżyło ceny ropy. Zachód nie potrzebował już desperacko arabskich złóż, aby przetrwać. Na horyzoncie pojawiało się coraz więcej czarnych chmur. Początkowo szybko zwiększający się dobrobyt Libijczyków nagle wyhamował. Z Libii emigrowało coraz więcej ludzi jawnie opowiadających się przeciwko wszechwładzy Kaddafiego. Także w kraju coraz częściej dało się słyszeć głosy niezadowolenia z rządów pułkownika.

Spektakularna kariera Kaddafiego zaczęła w zawrotnym tempie pikować od początku lat 90. Przywódca trzymał jeszcze kraj w ryzach, jednak ten względny porządek opierał się przede wszystkim na terrorze i poczuciu strachu zwykłych mieszkańców. Ponadto jako jeden z najdłużej panujących przywódców w Afryce Kaddafi cieszył się poważaniem na kontynencie, traktowany był przez wielu jako „ojciec narodu".

Upadek Kaddafiego nastąpił w 2011 r., wraz z wybuchem tzw. arabskiej wiosny. Protesty zaczęły się w Tunezji, a później rozlały na inne kraje, w tym Libię. Wiele tych „oddolnych" strajków inspirowanych było przez kraje Zachodu, głównie Francję. W marcu 2011 r. koalicja międzynarodowa rozpoczęła naloty, atakując m.in. twierdzę, w której ukrył się Kaddafi. Istnieje wiele wersji, w jaki sposób dyktator został schwytany i zabity. Niektórzy twierdzą, że przed śmiercią był gwałcony i torturowany. Według informacji przekazanych przez tymczasowy rząd Libii Kaddafi zginął 20 października 2011 r. niedaleko Sirte.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl df5dd0fcf6

XII w. / Krzywousty walczy o władzę

Złota ręka Żelisława

BOLESŁAW KRZYWOUSTY W WIZJI JANA MATEJKI. FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl df5dd0fcf6

Leszek Lubicki

Jednym z zaufanych rycerzy Bolesława Krzywoustego był komes Żelisław. W „Kronice polskiej" Galla Anonima jego imię pada tylko jeden raz, ale za to w spektakularnych okolicznościach

Gdy w czerwcu 1102 r. umiera Władysław Herman, na pogrzeb do katedry płockiej przybywają jego dwaj synowie – pierworodny Zbigniew wraz ze swoim młodszym przyrodnim bratem Bolesławem. Co prawda, arcybiskup czekał na nich z pochówkiem aż pięć dni, ale ostatecznie stawili się obydwaj. Wydaje się jednak, że nie po to, aby opłakiwać śmierć ojca, ale po to, aby jak najwięcej uszczknąć dla siebie z książęcego skarbca. Z pewnością nie tylko o sam drogocenny kruszec im chodziło, lecz także o insygnia władzy monarszej.

Nad trumną ojca doszło do braterskiej scysji. I to publicznej. Wydarzenie to najpewniej obserwował sam Gall Anonim (część historyków przyjmuje, że Gall Anonim przybył do Polski w roku 1086 wraz z królewiczem Mieszkiem).

O ile zachowanie Bolesława da się w pewien sposób wytłumaczyć, ponieważ był on wówczas bardzo młody, wychowany w duchu rycerskim, o tyle Zbigniewa trudno zrozumieć – kilka lat przebywał w klasztorach i powinien zachować umiar w obliczu powagi śmierci. Braciom nie chodziło o to, aby w dzisiejszym pojęciu być bogatym dla samego bogactwa. Cel był zupełnie inny. Kto ma więcej, ten ma także większą władzę. A Krzywoustemu chodziło o jedno – skupić zwierzchność nad krajem w swoich rękach, natomiast Zbigniewa odsunąć w cień. I odwrotnie. Celem braci było objęcie jednowładztwa, choć stary książę życzył sobie, aby po jego śmierci powstały „dwa równorzędne organizmy państwowe".

„Dwie pół–Polski"

Wsłuchajmy się zatem w słowa Anonima, który później tak to opisał: „Skoro zaś obaj bracia przybyli, zanim jeszcze pochowali ojca, doszło pomiędzy nimi do wielkiego sporu o podział skarbów i królestwa, lecz za natchnieniem łaski Bożej i za pośrednictwem wiernego starca, arcybiskupa, zastosowali się w obliczu zmarłego do zarządzeń wydanych przezeń za życia. Tak więc po wcale zaszczytnym i okazałym pogrzebie księcia Władysława w kościele płockim, po rozdzieleniu skarbca ojcowskiego pomiędzy synów i po urządzeniu królestwa polskiego wedle podziału dokonanego jeszcze za życia ojca, każdy z braci zajął część przypadłą mu z podziału".

Książę Władysław Herman podzielił państwo na dwie równe części, jednak nie wskazał księcia zwierzchniego, princepsa. Niektórzy historycy uważają, że miał nim zostać starszy Zbigniew, który dodatkowo miał dzierżyć władzę w Krakowie. Mimo to „wydaje się prawdopodobne, iż w sytuacji nie najlepszych przecież stosunków z synami Władysław Herman zdecydował się żadnego z nich nie uprzywilejować desygnacją na księcia zwierzchniego (Rosik, 2013). Wychodziło na to, że w Polsce miał zacząć działać system władzy oparty na diarchii, czyli dwuwładzy. Bolesławowi przypadła w udziale część południowa kraju (Śląsk i Małopolska), bardziej ludna i zasobniejsza. Każdy z braci prowadził teraz osobną politykę – zarówno wewnętrzną, jak i zewnętrzną. „Utworzone zostały zatem dwie, mniej więcej równe, pół-Polski" (Nowak, 2012).

Wydaje się najbardziej prawdopodobne, że książę Herman „uznał, że dwuwładza to najlepsze rozwiązanie dla Polski po jego śmierci. Chciał w ten sposób uniknąć przelewu bratobójczej krwi, do którego mogłoby dojść w razie desygnowania na sukcesora jednego z synów" (Samp, 2023). Jak pokazała przyszłość, plan ten jednak nie wypalił. O takim podziale wspomina także czeski kronikarz Kosmas, pisząc, że Władysław Herman podzielił „po połowie swoje królestwo; lecz ponieważ, według głosu Pańskiego, wszelkie królestwo rozdzierane niezgodą będzie spustoszone, a dom na dom upadnie i, jak mawia lud, dwa kocury w jeden worek schwytane nie mogą być razem…". Kwestią czasu było zatem, kiedy owe „kocury"

Nagrobek Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego w katedrze płockiej FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl df5dd0fcf6

skoczą sobie do oczu. Kosmas, choć sam nie cierpiał obydwu braci, to jednak winą za rozpoczęcie walk między nimi obarczał Zbigniewa.

Ślub Bolesława

Do objęcia pełni władzy potrzebne były właściwe sojusze. Bracia wiedzieli, że o własnych siłach nie są w stanie doprowadzić do zjednoczenia Polski pod jednym berłem. W roku śmierci ojca lub zaraz na początku kolejnego oczy młodszego z książąt kierują się w stronę Rusi, niejako tradycyjnej orientacji matrymonialnej Piastów. Bolesław na Wschodzie zaczyna szukać sprzymierzeńców. „Przyznać trzeba, iż od samego początku więcej zdolności w tym kierunku wykazywał Bolesław, który w swych staraniach o zjednanie sobie sprzymierzeńców kontynuował skutecznie i konsekwentnie politykę swego stryja, Szczodrego: zabezpieczając się przeciw książętom przemysko-trembowelskim przymierzem z księciem kijowskim i wołyńskim, a całe swe siły zwracając przeciw najgroźniejszemu nieprzyjacielowi – Czechom" (Maleczyński, 1975).

Równie ważne było oparcie się na możnych rodach krajowych. Po stronie Bolesława widzimy znaczący wielkopolski ród Awdańców, a także Żelisława, którego przynależności rodowej niestety nie znamy, ale zakłada się, że był on w dobrych stosunkach z Awdańcami. Sojusz z Rusią zostaje natomiast przypieczętowany małżeństwem ze Zbysławą, córką wielkiego księcia kijowskiego Świętopełka II. Jednak nie było to łatwe, ponieważ wybranka Krzywoustego była wnuczką Izjasława. Żoną tego ostatniego była siostra Kazimierza Odnowiciela, a zatem pokrewieństwo było zbyt bliskie, by małżeństwo mogło odbyć się bez przeszkód prawnych. „W przypadku zwykłych śmiertelników władze kościelne patrzyły na to przez palce, w stosunku do panujących – przestrzegano norm prawa kanonicznego z całą surowością. Przyczyna była nadzwyczaj prosta; za wydanie stosownego zezwolenia (w przypadku mniejszej wagi mógł go udzielić biskup, inne wymagały decyzji samego papieża) Kościół kazał sobie słono płacić – czy to gotówką, czy przywilejami" (Urbański, 2006).

Do Rzymu udał się biskup krakowski Baldwin, który – jak zanotował Gall Anonim – „wskazał na brak oświecenia w wierze i na konieczności polityczne, wobec czego stolica rzymska zezwoliła miłościwie na to małżeństwo, niezgodnie

Żelisław FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

[co prawda] z kanonami i z ogólną praktyką, ale w drodze wyjątku". Musiał zatem ten „miłościwy wyjątek" drogo Bolesława kosztować. I tak prawdopodobnie na początku 1103 r. dochodzi do zaślubin ze Zbysławą, a tym samym do sojuszu Krzywoustego z Kijowem. Wesele trwało 16 dni i niejako podzielone było na dwie części. Tak to ujął Anonim: „Przez osiem więc dni przed ślubem i tyleż dni po oktawie zaślubin bez przerwy rozdawał waleczny Bolesław podarunki, jednym mianowicie szuby i futra kryte suknem i obramowane złotą frędzlą, książętom szaty, naczynia złote i srebrne, innym miasta i zamki, innym wreszcie wsie i włości". Jak wiemy, pierwsi Piastowie państwo traktowali jako swoją własność, zatem nie dziwi taka hojność.

Żelisław rusza do boju

Na ślub był oczywiście zaproszony brat Zbigniew, jednak nie miał zamiaru stawić się na uroczystości. „Jeśli starszy z Piastowiczów chciał jeszcze ratować pozory swojej władzy nad całym krajem, musiał czym prędzej wystąpić do walki, a nie jeździć na wesele" (Pietras, 1978). Jego działania kierują się w stronę Czech, gdzie rządzi książę Borzywoj II, mający także swoje porachunki z Bolesławem, ponieważ Krzywousty nie zamierzał mu płacić ustalonego jeszcze za Hermana trybutu ze Śląska. „Zbigniew działał tu wyraźnie wbrew oczywistemu interesowi piastowskiego dziedzictwa. Zgadza się bowiem za wsparcie zewnętrzne w wojnie domowej płacić uznaniem zwierzchności czeskiej nad niezwykle ważną, sporną dzielnicą – Śląskiem. Borzywoj przeprowadził zatem obiecany najazd na Śląsk" (Nowak, 2014).

Dzieje się to w czasie wesela Krzywoustego. Sprawa wydaje się tu jasna, konflikt zbrojny wywołuje Zbigniew, co potwierdza zarówno czeski Kosmas, jak i Gall, pisząc: „Tymczasem brat jego Zbigniew, który zaproszony na ślub brata odmówił przybycia, zawarł przyjazne przymierze z Pomorzanami i Czechami, a gdy odbywało się wesele, zachęcił podobno Czechów, by wkroczyli do Polski. Wtedy Czesi rozpuścili zagony po ziemi wrocławskiej, a zbierając łupy i jeńców oraz wzniecając pożary, zadali tej krainie straty dotkliwe na długie lata". Kosmas podkreślał dodatkowo, że Zbigniew obiecał Borzywojowi pieniądze za napaść na Bolesława. Czeski władca do pomocy wezwał swego morawskiego kuzyna Świętopełka. Tutaj jednak dają o sobie znać zdolności dyplomatyczne Krzywoustego w osobie jego wojewody Skarbimira z rodu Awdańców. Dogadał się on z Borzywojem, przekupując wcześniej

eprasa.pl df5dd0fcf6

jego doradców, aby przekonali swojego księcia do odstąpienia od układów ze Zbigniewem. „Ostateczną ceną za pokój miało się okazać dziesięć mieszków srebra, które stały się kością niezgody między agresorami. Borzywój nie podzielił się bowiem zdobyczą ze Świętopełkiem, który zresztą w przyszłości stanie się stronnikiem Krzywoustego. Najpierw jednak doświadczy odwetu we własnym księstwie" (Rosik, 2013).

Bolesław szykował się na wyprawę odwetową na Morawy, którą dowodzić miał wielmoża Żelisława (sam Krzywousty zajęty był weselem i sprawami pomorskimi). Odwet okazał się jednak niezbyt szczęśliwy dla polskich wojsk. Barwny opis, wręcz naturalistyczny, interesującej nas bitwy (z uwagi na osobę komesa Żelisława, jedynego rycerza wymienionego wówczas z imienia) podaje Gall Anonim. Przytoczmy go w całości: „[...] wojowniczy Bolesław, mściciel krzywdy doznanej od Czechów, wysłał na Morawy trzy hufce rycerzy, które wyprawiły się w sam tydzień Zmartwychwstania Pańskiego, a biorąc łupy i paląc, znalazły nieomal godną swych czynów odpłatę [mianowicie za to], że nie uszanowały tak wielkiej uroczystości. Albowiem książę morawski Świętopełk, gdy już wracali, ruszył w pościg za nimi z mężnym hufcem rycerzy i byłby pono im odebrał zdobycz, gdyby nie to, że piesi szli wraz z nią przodem. Polacy zaś widząc, jak Morawianie gotowi do walki zbliżali się pewni siebie, sami też nie myśleli pokładać ufności w ucieczce, lecz w orężu. Tak więc z obu stron zacięta wszczęła się walka, która zakończyła się nie bez ciężkich strat po obu stronach. W pierwszym bowiem starciu książę morawski Świętopełk – jak dzik opadnięty przez psy myśliwskie, rażąc na wsze strony krzywym zębem, jedne zabija, innym wnętrzności rozrywa i nie pierwej zatrzyma się i przestanie czynić szkodę, aż łowca zdyszany z nową sforą psów nadbiegnie na pomoc zagrożonym – tak zrazu Świętopołk, wyprzedziwszy okrężną ścieżką Polaków objuczonych łupem, byłby ich prawie z tryumfem zgniótł, gdyby hufiec rycerski, skupiwszy się ze wszystkich sił, nie był odparł zarówno wściekłości, jak i zuchwalstwa nacierających. Wtedy to szczęk [mieczy] uderzających o hełmy rozbrzmiewał w wąwozach górskich i gąszczach leśnych, iskry ognia krzesane z żelaza błyskały w powietrzu, trzaskały włócznie, łamiąc się o tarcze, rozcinano piersi, a ręce i głowy, i porąbane ciała drgały [tu i tam] po polu. Oto pole Marsowe, oto igrzysko Fortuny! Na koniec tak się znużyły obie strony i zrównały straty w zabitych rycerzach, że ani Morawianie nie osiągnęli wesołego zwycięstwa, ani Polacy nie ściągnęli na siebie znamienia hańby. Tam to komes Żelisław utracił rękę, w której dzierżąc tarczę, zasłaniał nią ciało, ale natychmiast pomścił mężnie jej utratę, zabijając tego, który mu ją obciął. Książę Bolesław zaś dla uczczenia go zwrócił mu złotą rękę za cielesną".

Wojciech Gerson, „Bolesław Krzywousty przyjmuje Żelisława"
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Zaginiony obraz

Jak widzimy, Anonim, osoba duchowna przecież, negatywnego dla Polaków wyniku starcia doszukiwał się w nieuszanowaniu Wielkiego Postu i świąt Wielkanocy. Niemniej książę Bolesław uroczyście powitał wojów, a samemu dowódcy wojsk – komesowi Żelisławowi – podarował złotą rękę za utraconą kończynę. Jan Długosz napisze później: „Dzięki temu widocznemu znakowi budził [Żelisław] większy rozgłos swoim dzielnym czynem niż prawdziwą ręką". Czy jest to jedynie legenda wymyślona przez panegirystę księcia Krzywoustego, a powtarzana przez innych kronikarzy? Wydaje się, że nie. Bolesław trzeci znany był, jak i jego dwaj poprzedni wielcy Bolesławowie, z rozrzutności i zjednywania sobie ludzi hojnymi darami. Tak tę sytuację ocenił wybitny biograf Krzywoustego: „Ze względu na bliskość czasową relacji w stosunku do wydarzeń można mniemać, że gest ów to nie konfabulacja Galla, który, uwydatniając ten szczegół, kreślił zarazem wizerunek Bolesława jako władcy doceniającego wojenne męstwo w stylu, jakiego nie powstydziłby się i cesarz" (Rosik, 2013).

Ilustracją dla tej opowieści jest obraz Wojciecha Gersona namalowany w roku 1875. Niestety, to dzieło malarskie uważane jest za zaginione. Znamy je tylko z bardzo słabej jakości reprodukcji opublikowanej w jednym z XIX-wiecznych czasopism. Recenzent czasopisma „Kłosy" zaraz po jego publicznej prezentacji napisał, że przedstawiona na nim sytuacja historyczna ma naturę ceremonii dworskiej i nie zapoznaje „nas bliżej z charakterem tak wydatnej postaci dziejowej, jak Bolesław III, bądź z duchem owych bohaterskich czasów, w których wyprawy wojenne i podboje były zwyczajnem, codziennem". Niemniej widzimy też na tym obrazie (oczywiście imaginowany) portret pierwszej żony Bolesława Krzywoustego i zarazem matki pierwszego księcia zwierzchniego, princepsa czasów rozbicia dzielnicowego, Władysława II Wygnańca.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Maleczyński K., ***„Bolesław III Krzywousty",*** *Wrocław 1975; Nowak A.,* ***„Dzieje Polski", t. 1,*** *Kraków 2014; Pietras Z.P.,* ***„Bolesław Krzywousty",*** *Katowice 1978; Rosik S.,* ***„Bolesław Krzywousty",*** *Wrocław 2013; Samp M.,* ***„Bolesław Krzywousty. Piastowski bóg wojny",*** *Warszawa 2023; Urbański M.,* ***„Poczet królowych i żon władców polskich",*** *Warszawa 2006.*

eprasa.pl df5dd0fcf6

Druga wojna światowa / Wierni Polsce do końca

Wojenny los sanatorów

Aleksander Prystor (w środku). Drugi z prawej: Jan Piłsudski, brat Marszałka FOT. NAC

Marek Gałęzowski

Ludzi elity obozu sanacyjnego potępiano za to, że we wrześniu 1939 r. opuścili kraj. Nie wszyscy jednak. Wielu pozostało, choć wiedzieli, że grozi im śmierć ze strony okupantów niemieckich i sowieckich. Niektórzy zostali zamordowani

Piłsudczycy (sanacja) załamali się w obliczu klęski. Jako pierwsi i nieomal jedyni uciekali za granicę, jako pierwsi zmykali przed Niemcami na wschód Polski, pozostawiając kraj w obliczu wroga bez administracji państwowej [...]. Do mężów sztandarowych piłsudczyzny należał Rydz-Śmigły, który zwiał do Rumunii, gdy jeszcze całe armie walczyły krwawo z najeźdźcą. Jedyny to wódz w polskiej historii, który uciekł z placu boju" – pisano w jednej z podziemnych gazetek w pierwszych latach okupacji Polski.

Taka opinia, która uznawała za niegodną postawę, okazaną we wrześniu 1939 r. przez ludzi tworzących rządzący krajem obóz piłsudczykowski, potocznie nazywany sanacją, a formalnie Obozem Zjednoczenia Narodowego, była powszechna. Prezentowali ją nie tylko, co zrozumiałe, szykanowani wcześniej działacze opozycji, która przejęła władzę na uchodźstwie i w kraju. Taką też opinię miało społeczeństwo, karmione przez rządzących propagandą mocarstwową, z arogancją i wielką pewnością siebie stale podkreślających, że to oni biorą wyłączną odpowiedzialność za losy państwa polskiego. W tym przekonaniu nie przyszło im na myśl, że w obliczu klęski obróci się to przeciw nim.

Orszak urzędników, dygnitarzy i działaczy...

Przyczyny tak daleko idącej niechęci społecznej wobec sanacji dostrzegała przynajmniej część osób, politycznie z nią związanych, jak znany pisarz i twórca nazwy Obóz Zjednoczenia Narodowego Ferdynand Goetel, który zadawał pytanie o dalsze losy ugrupowania sanacyjnego: „Cała jego elita znalazła się za granicami kraju. Towarzyszący jej orszak urzędników, dygnitarzy i działaczy społecznych ogołocił Polskę tak doszczętnie z »sa-

eprasa.pl df5dd0fcf6

nacji«, że siłą rzeczy nasuwała się myśl, czy legenda historyczna piłsudczyków nie wygasła już ze śmiercią Piłsudskiego i czy rzesza jego zwolenników nie utrzymywała się na powierzchni życia tylko przy pomocy mechanizmu zdobytej władzy".

Ewakuację przedstawicieli aparatu władzy w tak powszechnej skali trudno uzasadnić jedynie koniecznością wykonywania obowiązków państwowych przez urzędników różnych szczebli, nie mówiąc już o przekonaniu przywódców sanacji, że to oni będą nadal kierować walką o niepodległość, jak wyobrażał to sobie marszałek Edward Śmigły-Rydz: „Gdy pomyślałem, kto będzie tę wojnę polską prowadził i sprawy polskiej bronił, nie tylko wobec nieprzyjaciela, lecz i wobec sprzymierzonych, postanowiłem nie ulec sentymentom osobistym, łatwym do wykonania, i prowadzić walkę dalej".

Pogląd ten dowodził braku jakiegokolwiek poczucia rzeczywistości. Klęska i szok nią wywołany sprawiły bowiem, że było niemożliwością, by obóz piłsudczykowski mógł stać się ośrodkiem jednoczącym społeczeństwo polskie w walce z okupacją niemiecką i sowiecką oraz mieć jakikolwiek wpływ na polską polityką zagraniczną. Późniejsze dywagacje Śmigłego-Rydza na temat obcych i własnych intryg, które to uniemożliwiły dalsze kierowanie sprawami polskimi, pozostaną smutnym świadectwem całkowitego nieliczenia się przez do niedawna drugą – formalnie – osobę w państwie z powszechnymi nastrojami społeczeństwa polskiego.

Wpłynęło na nie decydująco opuszczenie Polski przez wyższych urzędników i oficerów WP (nierzadko z rodzinami), którzy zgodnie z głoszonymi przed wojną hasłami politycznymi mieli dostarczać społeczeństwu wzorców postępowania w godzinie próby. Szczególne zaś naturalne w tym wypadku potępienie musiało spaść na najwyższego stopniem wojskowego. Wokół niego stworzono bowiem OZN – polityczne zaplecze elity rządzącej państwem, którego podstawową treścią programową stało się hasło obrony Polski. Tymczasem Polska broniła się, gdy ci, którzy tego się najbardziej domagali od jej społeczeństwa, byli już poza granicami kraju.

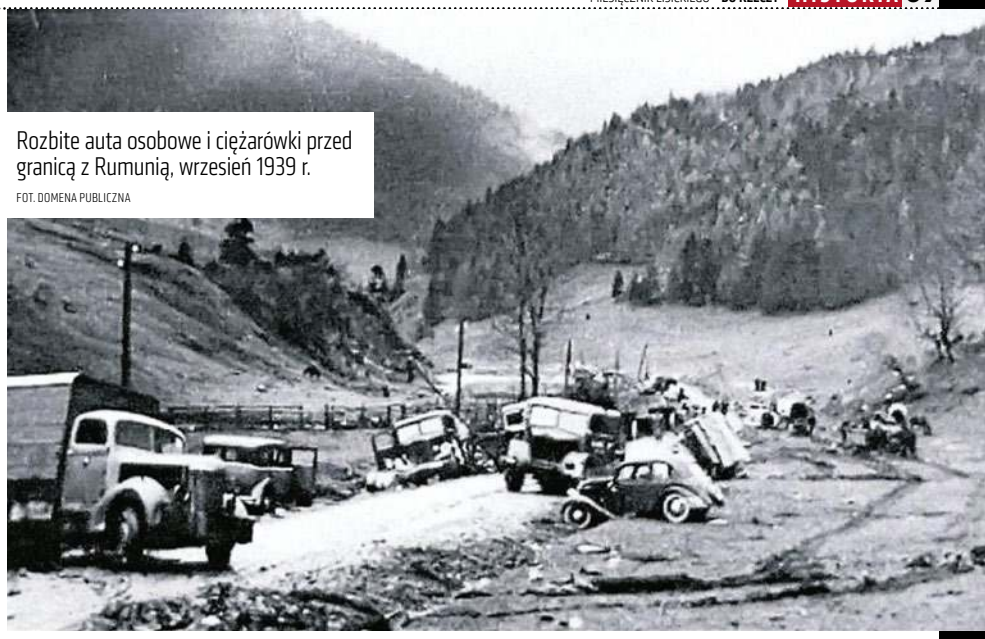

Rozbite auta osobowe i ciężarówki przed granicą z Rumunią, wrzesień 1939 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Jednak w niektórych wypadkach potępieńcza ocena społeczna była krzywdząca. Część spośród opuszczających kraj urzędników państwowych, pracowników sądownictwa czy oświaty miała poważne powody, by się w ten sposób ratować. Byli oni bowiem uznawani przez najeźdźców za elitę polskiego społeczeństwa, co – jak dowiodły wypadki pierwszych miesięcy okupacji – narażało ich na zbrodnicze prześladowania. Najbardziej zaś byli zagrożeni ci, którzy czynnie uczestniczyli w walce o niepodległość i granice Rzeczypospolitej w latach 1914–1921, a w okresie międzywojennym byli ostoją patriotyzmu w środowiskach lokalnych – „małych ojczyznach". Oni też byli piłsudczykami i przynależeli do wykraczającego poza środowisko dawnych żołnierzy Legionów i POW obozu rządzącego, nazywanego sanacją.

Pozostali w ojczyźnie

Potępiany exodus przedstawicieli władz przesłoniło to, że kraju nie opuściła większość osób zaangażowanych w działalność obozu piłsudczykowskiego, tyle że przeważnie spoza jego elity przywódczej. Oni też licznie padli ofiarą zbrodni niemieckich i sowieckich, często już w pierwszych miesiącach wojny. Symbolem tego był los bohaterskiego prezydenta Warszawy, Stefana Starzyńskiego, który został aresztowany w końcu października 1939 r. i zamordowany w nieznanym miejscu i w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach, zapewne jednak niedługo po tej dacie.

Piłsudczycy, podobnie jak przedstawiciele wszystkich stronnictw politycznych, ginęli w egzekucjach przeprowadzanych na ziemiach wcielonych do Rzeszy, podczas akcji AB, w niemieckich obozach koncentracyjnych oraz innych miejscach kaźni. Byli wśród nich m.in. senator Stefan Lelek, wojewoda lubelski Jerzy de Tramercourt, poseł Stefan Wojnar-Byczyński oraz przedstawiciele pokolenia wychowanego już w niepodległej Polsce, jak przywódcy Legionu Młodych – Leon Stachórski i Józef Mrozowicki – oraz setki innych na całym obszarze okupacji niemieckiej.

Wśród zamordowanych była Halina Jaroszewiczowa, jedna z kobiet najbardziej oddanych sprawie niepodległości Polski w dobie zmagań z lat poprzedniej wojny. Związana z ruchem strzeleckim i PPS, aresztowana na początku 1914 r. przez Rosjan została uwięziona na Pawiaku. Po wybuchu wojny służyła w Oddziale Lotnym Wojska Polskiego, prowadzącym działania dywersyjne na tyłach armii rosyjskiej. Ponownie aresztowana wczesną wiosną 1915 r. i wywieziona do więzienia Butyrki w Moskwie po zwolnieniu wróciła do kraju, by przystąpić do Polskiej Organizacji Wojskowej. W latach międzywojennych należała do czołowych działaczek kobiecych stworzonego przez piłsudczyków Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, była

eprasa.pl df5dd0fcf6

Wiktor Maleszewski wręcza Edwardowi Śmigłemu-Rydzowi sztandar dla 1. pułku artylerii lekkiej Legionów w Wilnie FOT. NAC

posłanką, a w 1935 r. została wybrana do Senatu. Nie opuściła kraju po agresji Niemiec i kiedy tylko powstała Służba Zwycięstwu Polski, znów zgłosiła akces do konspiracyjnej walki o niepodległość. W kwietniu 1940 r. została aresztowana przez Niemców, by po 26 latach ponownie trafić na Pawiak. Dwa miesiące później zginęła w Palmirach, razem z wybitnymi liderami partii opozycyjnych – ludowcem Maciejem Ratajem i socjalistą Mieczysławem Niedziałkowskim.

Ci, których nie zgładzono w egzekucjach przeprowadzonych w pierwszych miesiącach okupacji, często ginęli niedługo później w niemieckich obozach koncentracyjnych. Byli to ludzie wybitnych zasług dla państwa, jak chociażby Stefan Bolesław Perzyński. Biografia tego warszawskiego adwokata i senatora była typowa dla pokolenia budującego niepodległą Polskę. Jako gimnazjalista zakładał koła samokształceniowe w zaborze rosyjskim, w czasie studiów na Uniwersytecie Warszawskim uczestniczył w strajku szkolnym, podczas którego domagano się wprowadzenia polskiego języka wykładowego. Usunięty z tego powodu nie zaprzestał działalności narodowej na uniwersytecie w Odessie, gdzie kontynuował naukę.

W czasie pierwszej wojny światowej należał do organizatorów polskich formacji wojskowych Rosji, dowodząc oddziałem epidemicznym Brygady Strzelców Polskich, a później I Korpusu Polskiego. W lutym 1918 r. odznaczył się w boju z bolszewikami pod Żłobinem. Cała ta działalność była uzasadnieniem odznaczenia go Krzyżem Niepodległości. W II Rzeczypospolitej został wybrany na senatora BBWR, był też wybitnym działaczem ruchu kombatanckiego jako współzałożyciel Federacji Polskich Związków Obrońców Ojczyzny, a wreszcie aktywnym działaczem społecznym także w innych dziedzinach, m.in. jako prezes Akademickiego Związku Sportowego. Latem 1940 r. wraz z liczną grupą adwokatów został aresztowany przez Niemców i wywieziony pierwszym transportem z Warszawy do obozu Auschwitz-Birkenau, gdzie zginął w następnym roku.

Byli ludźmi niezwykłymi

Losy piłsudczyków pod okupacją sowiecką, niezależnie od sprawowanych przed wojną funkcji – w administracji, sądownictwie, oświacie czy chociażby wyróżniających się aktywnością społeczną i patriotyzmem w lokalnej elicie – układały się przeważnie równie tragicznie. Wielu zostało zamordowanych przez NKWD w Katyniu, Charkowie i w Twerze oraz w innych, często nieznanych miejscach kaźni. Okoliczności śmierci części tych wybitnych ludzi, o wielkich zasługach dla państwa ludzi, pozostają często nieznane. Wiktor Maleszewski, lekarz i społecznik, podpułkownik WP, poseł na Sejm, od 1932 r. prezydent Wilna – jak pisał jego biograf Przemysław Dąbrowski – „był postacią niezwykłą, o niebywałych umiejętnościach w zakresie zarządzania i organizacji".

Nie opuścił miasta w chwili agresji sowieckiej i już kilka dni później został aresztowany. Kiedy wkrótce Wilno przekazano Litwie, rodziny aresztowanych lekarzy wileńskich zwróciły się do władz litewskich o interwencję. W prośbie pisano m.in. o prezydencie Maleszewskim, który „prawością charakteru i swoją pracą zdobył ogólny szacunek obywateli miasta. Jego przywiązanie do Wilna i przejęcie się obowiązkami prezydenta było tak wielkie, że nie porzucił ich nawet wtedy, gdy zagroziło mu niebezpieczeństwo" [P. Dąbrowski, „Wiktor Zenon Maleszewski. Ostatni polski prezydent międzywojennego Wilna"]. Prawdopodobnie został wywieziony przez bolszewików do więzienia w Białymstoku, a następnie do jednego z łagrów pod Archangielskiem. Nieludzkie warunki spowodowały jego śmierć już w 1940 r.

Halina Jaroszewiczowa FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CAW

Podobnie niepewne są okoliczności śmierci Władysława Malskiego. I jego życiorys od wczesnej młodości był związany z udziałem w irredencie polskiej – w Związku Strzeleckim we Lwowie, we wszystkich bojach I Brygady Legionów, z kierowaniem okręgiem częstochowskim POW. Później jako oficer WP uczestniczył w organizacji pomocy dla pierwszego powstania śląskiego i w wojnie z bolszewikami. Po odejściu

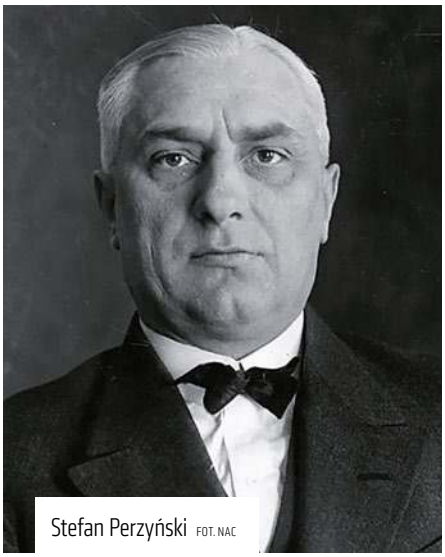

Stefan Perzyński FOT. NAC

eprasa.pl df5dd0fcf6

z wojska osiadł na roli w ziemi lidzkiej. Zaangażował się w działalność Związku Osadników Wojskowych i w lokalnych organizacjach rolniczych – jak pisał jego biograf Ludwik Hass – „dał się tu poznać jako gorący zwolennik Józefa Piłsudskiego". Był jednym ze współzałożycieli BBWR, później posłem i senatorem, ale przeciwnikiem pogłębiającego się po śmierci Marszałka autorytaryzmu, i do OZN nie przystąpił. Pod okupacją sowiecką zaangażował się w konspirację, jednak już w końcu października 1939 r. został aresztowany i uwięziony w Mińsku. Czy zginął na drogach śmierci po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej czy wcześniej – nie wiadomo.

Premier umiera w Butyrkach

W rękach sowieckich znalazł się również jeden z najwybitniejszych piłsudczyków – Aleksander Prystor, najbliższy, oprócz Walerego Sławka, przyjaciel Marszałka, jeszcze z czasów Organizacji Bojowej PPS. Uczestnik słynnej akcji pod Bezdanami, wieloletni więzień caratu, w niepodległej Polsce premier i marszałek Senatu, po agresji sowieckiej udał się na Litwę i zdecydował się tam pozostać. „Kierowało nim głównie poczucie obowiązku. Miał świadomość, że korzystając ze swoich stosunków w Kownie, może zrobić dużo dobrego dla uchodźców z kraju. Pracował nad tym bardzo wytrwale i ofiarnie" – pisał biograf premiera Jacek Piotrowski.

Krótko po wcieleniu Litwy do ZSRS został aresztowany przez NKWD i przewieziony na moskiewską Łubiankę. Skazany na karę śmierci, zamienioną na 10 lat łagru, był już wówczas ciężko chory i zmarł najpewniej w końcu sierpnia 1941 r. w więzieniu Butyrki. Kilka dni później ambasador Kot pisał do gen. Sikorskiego: „Gdyby pakt był o 10 dni wcześniej podpisany, byłby Prystor ocalał".

Losu Prystora ledwie uniknął Leon Kozłowski, inny z premierów wywodzących się z obozu piłsudczyków

Losu Prystora ledwie uniknął Leon Kozłowski, inny z premierów wywodzących się z obozu piłsudczyków, aresztowany przez Sowietów kilka dni po zajęciu Lwowa. W piwnicy gmachu policji przy ul. Sapiehy był trzymany miesiąc, „ściśle izolowany od świata zewnętrznego". „Żadnych przesyłek otrzymywać nie mogłem. Siedziałem bez zmiany bielizny, bez mydła, ręcznika i w ogóle jakichkolwiek rzeczy". Następnym przystankiem było więzienie przy ul. Zamarstynowskiej. Tam, podczas jednego z przesłuchań, w których żądano od Kozłowskiego przyznania się do działalności w organizacji antysowieckiej, do pokoju weszło dwóch sowieckich oficerów. Kiedy dowiedzieli się, że oskarżony odmawia przyznania się do „winy", „zaczęło się bicie". „Uderzenia następowały szybko, jedno po drugim. Potem przewrócono mnie na ziemię i bito dalej. Potem znów posadzono na krzesło i bito pięścią po twarzy i pałką gumową po plecach" – wspominał później były premier.

W marcu 1940 r. wywieziono go na Łubiankę. Tam, po kilku kolejnych miesiącach w więzieniu, jego stan zdrowia gwałtownie się pogorszył: „Bardzo schudłem, zaczęły mi się ruszać i wypadać zęby (początki szkorbutu), organizm był wyczerpany całkowicie. W końcu przyszła biegunka, bardzo niebezpieczna choroba więzienna wywołana wyczerpaniem". Znalazł się co prawda w szpitalu, ale jego los wydawał się przesądzony, gdy w następnym roku został skazany na karę śmierci. W końcu lipca 1940 r., po 20 dniach przebywania w celi śmierci, przeniesiono go do innej, gdzie chwilę później wprowadzono Aleksandra Prystora. Obu polskim premierom zakomunikowano zamianę kary na 10-letnie zesłanie do łagru. Prystor, jak wspomniano, wkrótce zmarł. Kozłowski został zwolniony po układzie Sikorski-Majski. Okoliczności jego przejścia na niemiecką stronę frontu, skazania za dezercję z armii i dalsze losy to już materiał na odrębną opowieść.

*

Biografiom części polityków obozu sanacyjnego, którzy posłużyli prasie konspiracyjnej za niechlubny przykład opuszczenia walczącego kraju, towarzyszyć będą zawsze słowa Mariana Hemara: „O polska tragedio plew, które ziarnami łudzą / Jak łatwo powiedzieć »krew«, gdy chodzi o cudzą". Jednak tym bardziej należy pamięć o odwadze tych piłsudczyków, którzy nie opuścili Polski ze świadomością, że czynią to pod grozą śmierci za to, że byli częścią polskiej elity. Byli uczciwymi, unikającymi korzyści materialnych państwowcami, wiernymi uniwersalnej zasadzie, stworzonej przez starożytnych Greków i odtąd trwale wpisanej w dzieje cywilizacji zachodniej, brzmiącej w największych dziełach jej kultury, jak w najsłynniejszej powieści Alberta Camus: „Bracia moi, trzeba być tym, który zostaje!".

Więzienie Butyrki

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, STANISLAV KOZLOWSKIY

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Archiwum IPN.

eprasa.pl df5dd0fcf6

Aleksander Sochaczewski „Pożegnanie z Europą"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM X PAWILONU

Wywiad / Z dr. Markiem Klecelem, autorem książki „Sybir. Dzieje polskich zesłańców XVIII–XX w."

rozmawia Radosław Wojtas

Polskie ucieczki z białego piekła

RADOSŁAW WOJTAS: Czy było ziarno prawdy w tym, co rozgłaszał Rafał Fedorowicz – że Polacy chcą oderwać Syberię od Rosji?

DR MAREK KLECEL: W ten sposób Rafał Fedorowicz przedstawiał tzw. sprawę omską. Nie do końca jasne jest, czy był to bunt, który miał na celu przejęcie władzy w części Syberii, wyolbrzymiony jeszcze przez donosicieli, w tym Fedorowicza, czy po prostu kilku powstańców listopadowych uwięzionych w Omsku i Tobolsku chciało zorganizować zbiorową ucieczkę. Z całą pewnością chęć oderwania Syberii od Rosji to legendy, inspirowane zapewne przez carską władzę, która każdy, nawet pozorny opór uważała za spisek w rodzaju ruchów powstańczych. Ale Rosjanom do wymierzania straszliwych kar wystarczyły podejrzenia. Tak się zresztą zakończyła „sprawa omska".

Sześć tysięcy kijów dla organizatorów spisku – ks. Jana Sierocińskiego, Ksawerego Szokalskiego, Władysława Drużyłowskiego. Wyrok śmierci w męczarniach.

Niezwykle okrutny nawet jak na Rosjan. Taki sposób wykonywania chłosty nazywano zieloną uliczką, co nam może się kojarzyć ze ścieżkami zdrowia. Księdza Jana Sierocińskiego zatłukli na śmierć. Świadkowie mówili, że przy 4 tys. jeszcze oddychał, zaraz potem zmarł, ale pomimo zgonu wyrok spełniono do końca. Przywiązano go do sań, wleczono pomiędzy dwoma rzędami mężczyzn bijących go kijami. Ciało przyklejało

eprasa.pl df5dd0fcf6

się do kijów, odlatywało. Szokalskiego uratował polski lekarz, który po 5 tys. razów kazał wstrzymać egzekucję. Skazaniec trafił do szpitala, wyzdrowiał, po czym… dostał resztę batów. Przeżył, ale po czymś takim człowiek jest już w zasadzie wrakiem.

Powstanie zabajkalskie też było tylko próbą ucieczki?

Powstanie zabajkalskie jest jedynym zrywem, który można uznać za zorganizowany bunt, ale nadal najważniejszym jego założeniem była ucieczka na wschód – przez Chiny do Japonii.

Zbiorowe ucieczki często kończyły się w taki sposób, że na którymś etapie nie wytrzymywało najsłabsze ogniwo – ktoś się wystraszył albo dał się przekupić, doniósł na spiskowców. Mało kto miał tyle sprytu, umiejętności i szczęścia co hrabia Maurycy Beniowski.

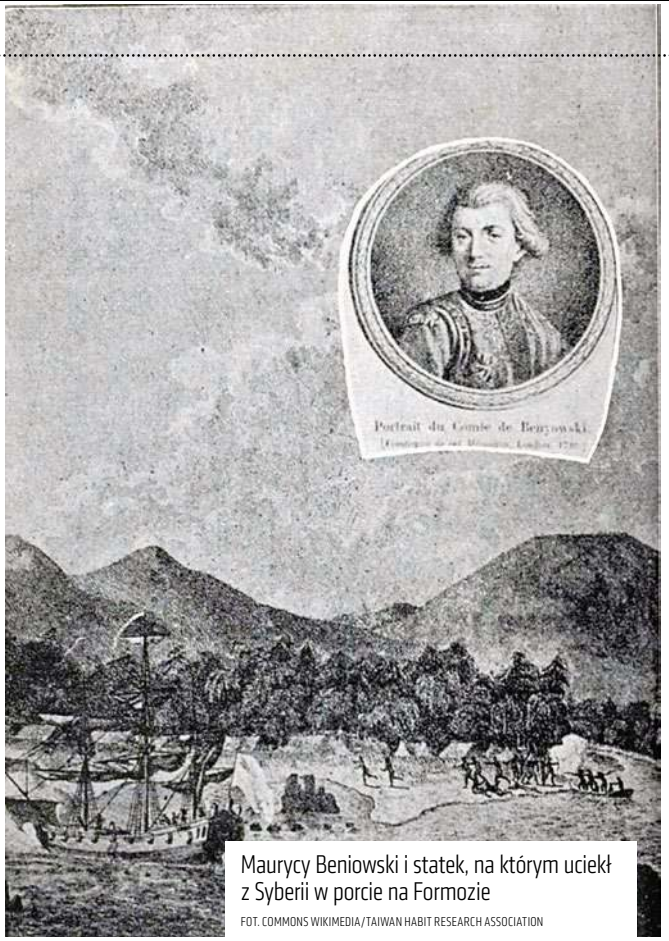

Maurycy Beniowski i statek, na którym uciekł z Syberii w porcie na Formozie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/TAIWAN HABIT RESEARCH ASSOCIATION

Beniowski to ewenement. To był typ wojskowego z krwi i kości. Dowódca, który wszystko zorganizował, potrafił zarządzać. Został legendą za życia. Wszczęcie buntu, porwanie rosyjskiego statku, szaleńcza ucieczka przez arktyczne morze nieznaną, okrężną drogą w stronę Alaski, królowanie na Madagaskarze, podróże do Ameryki… To wszystko Beniowski opisał dość szczegółowo w pamiętnikach. Gdy je opublikowano, uznano je za czystą fantazję. Dopiero wielki podróżnik James Cook siedem lat po Polaku przepłynął opisaną przez niego drogę i potwierdził, że Beniowski nie zmyślał. Hrabia Maurycy tak zagrał Rosjanom na nosie, że ścigali go do końca życia – stał się osobistym wrogiem carycy Katarzyny II.

Beniowskiemu pomogło też to, że był przetrzymywany na krańcach Azji. Z głębi Syberii, gdy do przebycia lądem były tysiące kilometrów w każdą stronę, ucieczka była znacznie trudniejsza. Większe szanse powodzenia miały samotne próby. Taki sposób wybrał np. powstaniec listopadowy Rufin Piotrowski. W swoich pamiętnikach zapisał, że doszedł do wniosku, iż tylko samotna ucieczka ma szanse powodzenia, bo drugi człowiek jest zawodny. Wszystko sobie przemyślał, zaplanował, przygotował się na tyle, na ile to było możliwe. Przyjął strategię udawania „ruskiego bradjagi", wędrowca podpierającego się kijem. Znał język na tyle dobrze, że w różnych rejonach Rosji mógł udawać kogoś innego. Silna była tam wówczas tradycja pątników wędrujących do różnych świętych miejsc. Piotrowski wcielał się i w te role. Przeszedł tysiące kilometrów, dotarł do Archangielska, ale został tam zdradzony przez kapitana statku, na którym miał odpłynąć na Zachód. Aresztowano go, ale jakimś cudem się wyłgał, przekonując, że jest nawiedzony. Doszedł do Petersburga, ostatecznie dotarł do Prus.

Jak wyglądał taki marsz przez Syberię?

Syberia była krainą kompletnie niezorganizowaną i chaotyczną. Przemierzaną przez konwoje zesłańców, czyli głównie kryminalistów, zamieszkaną przez garstkę tubylców. Można było się natknąć na grupy przestępców mordujących napotkanych ludzi. To była nieobliczalna kraina, ale jednocześnie, przy pewnej dawce szczęścia, dająca możliwość przemknięcia niezauważonym. Był to obszar bez żadnej kontroli. Murami, kratami i strażnikami były tysiące kilometrów oddzielające skazańców od cywilizowanego świata. W zasadzie nie do przebycia wiosną czy latem, gdy są roztopy i wszystko płynie.

Jedna z ucieczek była tak dramatyczna, że zainspirowała Lwa Tołstoja – który, nawiasem mówiąc, gardził Polakami – do napisania opowiadania „Za co?".

Mówimy teraz o historii Albiny i Wincentego Migurskich. On – powstaniec listopadowy zesłany na Syberię. Ona poszła za nim bez chwili zawahania, mimo że wówczas jeszcze nie była jego żoną. Pobrali się na Syberii. Urodziły im się tam dwie córki, które jednak niedługo nagle zmarły. Nie pozwolono im pogrzebać dzieci na prawosławnym cmentarzu. To wtedy zaplanowali swoją ucieczkę. On upozorował samobójstwo. Zostawił swoje rzeczy na brzegu rzeki i zaczął ukrywać się w specjalnie do tego celu przygotowanej skrytce w ich mieszkaniu. Wtedy Albina rozpoczęła starania o zgodę na wyjazd do Galicji. Kiedy ją otrzymała, Migurscy wykopali szczątki swoich dzieci i w dwóch trumienkach zapakowali je na wóz. Ukrył się na nim oczywiście także Wincenty. Mieli jednak pecha. Po kilku dniach podróży popsuł się ich wóz. Wtedy powożący nim Kozak odkrył obecność Migurskiego i doniósł o tym władzom.

Niestety, to historia bez szczęśliwego zakończenia.

Jedno im się udało – godnie pochowali swoje dzieci. Historia rodziny poruszyła nawet carskich urzędników, a już na pewno mieszkańców Saratowa, gdzie odkryto obecność Wincentego. To dlatego zezwolono na uroczysty pogrzeb szczątków ich dzieci. W ceremonii uczestniczył katolicki ksiądz, a kondukt był odprowadzany przez tłumy ludzi, na których los polskiej rodziny zrobił duże wrażenie. Jednak szczęśliwego zakończenia rzeczywiście nie było, czego nie

eprasa.pl df5dd0fcf6

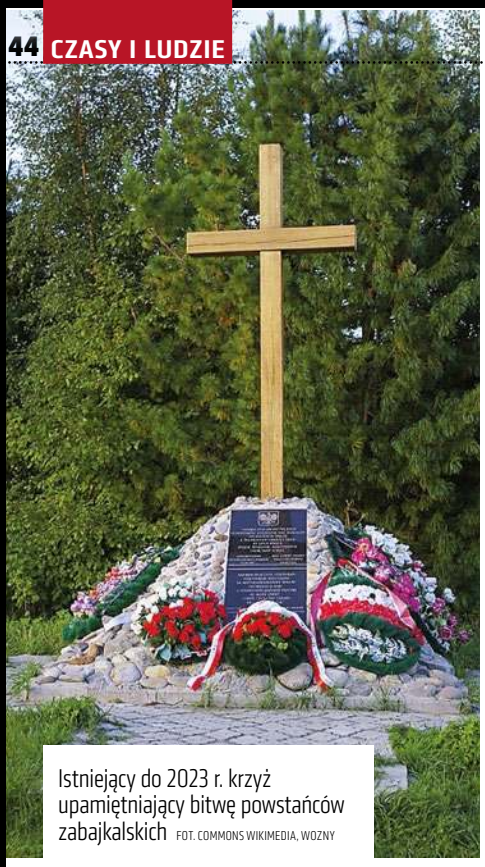

Istniejący do 2023 r. krzyż upamiętniający bitwę powstańców zabajkalskich FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WOZNY

dowiedzą się czytelnicy opowiadania Tołstoja. Migurscy musieli wrócić do Uralska. Jego zesłano aż za Bajkał, na najdalszą Syberię. Żona znów podążyła za mężem, ale szukali się półtora roku. Albina zmarła niedługo później, po urodzeniu kolejnego dziecka. Niestety, ono również odeszło kilka miesięcy później. Wincenty żył jeszcze 16 lat na zesłaniu i wtedy pozwolono mu wrócić do Wilna. Cztery lata później zmarł.

Podążanie kobiet za skazanymi mężami było częste?

Nie była to bardzo częsta praktyka, również dlatego, że często mężowie się na to nie zgadzali. To zawsze był dramat rodziny, zwłaszcza jeśli były dzieci, i wybór rozrywający serce – czy się rozstać czy narazić na katorgę, jechać na skazanie, zakładając, że prawdopodobnie się już z niego nie wróci.

Jaka była rola kobiet na Syberii?

Ogromna. I tych zesłanych, których było oczywiście znacznie mniej niż mężczyzn, i tych, które poszły tam za swoimi mężami czy narzeczonymi, i tych, które zostały w kraju i podczas nieobecności mężczyzn wzięły na siebie cały ciężar wychowania kolejnych pokoleń. Na Syberii kobiety stworzyły sieć pomocy charytatywnej. Najbardziej zasłużona jest na tym polu Róża Sobańska, zwana później „Różą Sybiru" i „Różą Wygnańców". Ona również poszła na Sybir dobrowolnie za swoim mężem. Miała koneksje, była córką Feliksa Łubieńskiego, właściciela Guzowa pod Warszawą, ministra sprawiedliwości w rządzie Królestwa Kongresowego. Nawiązała liczne kontakty z syberyjskimi ośrodkami zesłań Polaków. Spotykała ludzi skazywanych na różne rodzaje katorgi i tak zrodziła się inicjatywa niesienia pomocy. „Róża Sybiru" cały plan przygotowała wspólnie z przyjaciółką Ksawerą z Brzozowskich Grochowską i Teklą Bołsunowską. Te trzy kobiety stworzyły Komitet Opiekuńczy, zwany później pod nazwą Kompanii Syberyjskiej. Niosły pomoc rzeczową i materialną. Szczęśliwie carska poczta była dobrze zorganizowana i – o dziwo – przesyłki docierały, nie kradziono nawet pieniędzy.

Komitet działał legalnie?

Półlegalnie. Ksawera Grochowska, chcąc uniknąć podejrzeń władz rosyjskich, napisała list do samego cara Mikołaja I. Poprosiła o pozwolenie na prowadzenie działalności charytatywnej wśród polskich zesłańców. Odpowiedzi co prawda nie otrzymała, ale zakazu też nie. Kobiety uznały to więc za milczącą zgodę i przeszły do działania. Były bardzo sprytne, wielokrotnie przechytrzały carskie władze, które bardzo uważnie zaczęły im się przyglądać w czasie burzliwych wydarzeń Wiosny Ludów. Wzmocniono kontrolę korespondencji, utrudniano działalność komitetu.

Ale kobiety pomagały, nie tylko organizując wsparcie materialne. Paulina Wilczopolska, która powróciła z zesłania, wystąpiła z inicjatywą, by ogłosić nabór kobiet, które chciałyby wyjechać na Syberię i tam wejść w związki małżeńskie z zesłańcami. Celem było tworzenie rodzin syberyjskich, które mogłyby zachować polskość.

Znalazły się chętne?

Zgłosiło się kilkanaście kobiet. Były wśród nich i takie, które miały już mężów na Syberii i chciały do nich dołączyć. Sobańska ułatwiała podróż, opłacała ją.

Wspomniany już powstaniec listopadowy, zesłaniec syberyjski Wincenty Migurski, opisuje Syberię tak: „Dolina płaczu i obszerne więzienie, któremu tylko drzwi piekielnych i napisu na nich Dantego brakuje". Jak było w tej dolinie płaczu?

To oczywiście zależało od indywidualnych losów. Na Syberię trafiali ludzie za bardzo różne przestępstwa i byli bardzo różnie traktowani. Rosyjscy zesłańcy byli gównie kryminalistami, Polacy byli więźniami politycznymi. Na zsyłkę można było trafić za bunt czy zdradę. Zsyłani byli tam mordercy, a także niewypłacalni dłużnicy czy ludzie zalegający z podatkami. Syberia groziła też za takie przewiny jak nielegalny wyrąb lasu czy noszenie odzieży zakazanej przez Piotra I. Los ludzi skazanych na najcięższe roboty, np. w kopalniach, był nie do zniesienia. Spotkało to np. Piotra Wysockiego, przywódcę spisku podchorążych i marszu na Belweder. Przeszedł całą Syberię w najcięższych warunkach. Przebywał tam 23 lata. Szlak do Irkucka przeszedł zakuty w kajdany, tylko etapami wieziono go kibitką. Był brutalnie przesłuchiwany, odbierał kary cielesne, w tym tysiąc pałek przed szeregiem 500 żołnierzy. Trafił na najcięższe roboty w kopalni, które musiał wykonywać skuty w kajdany. Niektóre źródła mówią nawet o tym, że był przykuty do taczki. Po latach takich mąk pozwolono mu na osiedlenie się i ten etap jego niewoli upłynął we względnym spokoju. Bo pamiętajmy, że po odbyciu kary nie było amnestii, tylko przymusowe osiedlenie na tej nieludzkiej ziemi. Człowiek był przypisany do miejsca i pozostawał pod ciągłym nadzorem.

Niektórzy Polacy doskonale sobie radzili po osiedleniu. Zdarzały się nawet kariery finansowe i naukowe.

Tak, wielu z nich okazywało się bardzo przedsiębiorczymi osobami. W carskiej Rosji uznawano własność prywatną, nie niszczono jej. Przedsiębiorczym Polakom nie przeszkadzano także dlatego, że władzom zależało na kolonizowaniu Syberii. Wspomniany przed chwilą Piotr Wysocki po całym tym piekle, które przeszedł, potrafił się pozbierać i kiedy został przymusowo osiedlony, wymyślił sobie, że będzie produkował mydło. Stał się monopolistą na Syberii, rozprowadzał mydło wśród zesłańców. Wybitnym przedsiębiorcą był Alfons Koziełł-Poklewski. Dorobił się na dostawach dla wojska, a później

eprasa.pl df5dd0fcf6

podejmował się różnych biznesów – był właścicielem kopalni, gorzelni, młynów parowych. Zatrudniał przede wszystkim Polaków, dodajmy, że na dobrych warunkach finansowych. Pomagał finansowo zesłańcom w trudnej sytuacji finansowej. Kazimierz Zieleniewski miał gorzelnię, sieć browarów, handlował winem, a Zachary Cybulski, właściciel kopalni złota, został nawet prezydentem Tomska!

Kariery robili też polscy naukowcy. Ich działalność czasem wspierało państwo rosyjskie, które dopiero odkrywało bogactwa naturalne Syberii i było żywo zainteresowane prowadzeniem tam badań naukowych. Polscy inżynierowie budowali drogi, mosty i kolej transsyberyjską.

Byli jednak i tacy, którzy przegrywali już na starcie. Na przykład ci, którym odbierano nazwiska i godności. Kiedy Rosjanie posuwali się do takich kar?

To czekało ludzi, którzy szczególnie podpadli carskiemu państwu. Godności byli pozbawiani duchowni, którzy nie mogli na Syberii sprawować swojej kapłańskiej posługi. W rosyjskiej mentalności katolicyzm jest zamachem na prawosławną Rosję, a papież i księża zaliczają się do najgorszych wrogów. Czasem pozbawiano zesłańców godności szlacheckich. Dlaczego? Bo – paradoksalnie – carska Rosja była ustrojem… praworządnym. Oczywiście tak, jak

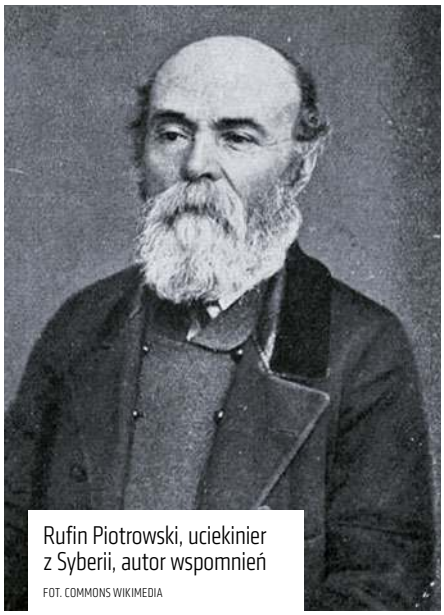

Rufin Piotrowski, uciekinier z Syberii, autor wspomnień

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

MAREK KLECEL
„SYBIR. DZIEJE POLSKICH ZESŁAŃCÓW XVIII–XX W."
BIAŁY KRUK 2024

oni to rozumieli. Kryminaliści nie mieli żadnych praw, ale warstwa szlachecka już tak. Nawet w realiach syberyjskich. Polacy, którzy szczycili się takim pochodzeniem, zachowywali swoje prawa i przywilej zabraniający stosowania wobec nich kar cielesnych. Nie można ich było traktować jak zwykłych kryminalistów. No chyba że pozbawiło się ich szlacheckiego tytułu. Taki los spotkał Romana Sanguszkę, który naraził się carowi do tego stopnia, że ten wydał dekret stwierdzający, iż książę Roman nie jest już księciem. Zakuli go w kajdany i szedł wśród kryminalistów prawie do Uralu. Dopiero tam Rosjanie z wyższych sfer zaczęli się za nim ujmować, pisać petycje do cara. Listy pisały też polskie środowiska, zwłaszcza kobiety. Ostatecznie uzyskano tyle, że Sanguszko mógł wsiąść na kibitkę i w niej pojechać na dalsze zesłanie. Kiedy praworządność wadziła, potrafiono sobie z nią poradzić.

Stalin o donosach pisał, że nie można ich lekceważyć, nawet gdyby było w nich tylko 5 proc. prawdy. Czy podobnie było wcześniej w carskiej Rosji?

Każdy był podejrzany. A podejrzenie to już wina. Jeden z filomatów, przyjaciel Mickiewicza Onufry Pietraszkiewicz, na początku zesłania miał jak na syberyjskie realia bardzo dobre warunki. Tacy jak on mieli lżejsze zesłania, pracowali w urzędach, administracji albo jako nauczyciele. Ale na Piatraszkiewicza padł cień podejrzenia, jakoby miał organizować spisek po powstaniu listopadowym, że zbiera polskich oficerów i chce z nimi uciekać z Syberii. Oskarżenia były zupełnie bezpodstawne, ale to nie przeszkodziło wysłać go daleko za Ural. W sumie spędził w Rosji 36 lat. Zabrali mu całą dorosłość, wreszcie wrócił do Wilna, gdzie zajął się gromadzeniem materiałów i wspomnień filomatów. Niedługo potem zmarł.

I tak miał szczęście, że o jego losach nie decydowano w Rosji sowieckiej. Carska Rosja była imperialna i okrutna, ale jakaś praworządność – na ich miarę i w ich rozumieniu – jednak wtedy była. W Związku Sowieckim panowała praworządność NKWD. Stworzono wtedy nowy system prawny, polityczny i gospodarczy. Związek Sowiecki potrzebował rąk do pracy, najlepiej bezpłatnych, a zatem potrzebował skazańców. Zasada prokuratora Andrieja Wyszynskiego, polegająca na tym, że najpoważniejszym dowodem było przyznanie się do winy, była bardzo wygodna. Wystarczyło tylko umieć wymusić przyznanie się, a Sowieci mieli na to wiele metod. Człowiek w Związku Sowieckim nie miał żadnych praw niezależnie od tego, czy był szarym obywatelem czy wysokim funkcjonariuszem. Na każdego był paragraf. Wystarczyło, że nie donosił, i już był podejrzany.

Czym jest Sybir dla polskiej tożsamości narodowej?

Może najpierw powiem, czym dla wielu sybiraków była Polska. Zabrzmi to patetycznie, ale dzięki silnemu patriotyzmowi wielu z nich przetrwało warunki dla nas niewyobrażalne. Do przetrwania motywowała ich nadzieja, jakaś desperacka wiara, że mogą kiedyś jeszcze wrócić do kraju. Zakładali, że niepodległość jest warunkiem zarówno wspólnotowego, jak i jednostkowego życia. Uważali, że niepodległość jest im, Polakom, po prostu potrzebna do życia. Bez tych wszystkich ruchów, konspiracji, powstań, prób, bez takiego nastawiania i wysiłku wielu pokoleń, by tę niepodległość odzyskać, nie byłoby 1918 r. i jej obrony w 1920 r. Zesłańcy syberyjscy mają swój udział w odzyskaniu niepodległości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr Marek Klecel
– doktor nauk humanistycznych w zakresie literatury polskiej, publicysta, redaktor. Autor książek: „Sybir. Dzieje polskich zesłańców XVIII–XX w.", „Polen zwischen Ost und West. Polnische Essays des 20. Jahrhunderts", „Pisarze Niepodległości. Szkice o ludziach i dziełach", „Czy to Polska właśnie? Publicystyka 1989–2022".

eprasa.pl df5dd0fcf6

W Koronie i na Litwie / Państwo zimnych stosów i jasełkowego diabła

Polskie czarownice

Jakub Ostromęcki

Na ziemiach polskich nigdy nie zapanowała gorączka polowań na czarownice. Dlaczego nasi zachodni sąsiedzi byli pod tym względem dużo bardziej zapalczywi?

W Polsce przedrozbiorowej czarownik lub czarownica to ktoś, kto za pomocą określonych rytuałów i zaklęć, nieraz przywołując istoty z zaświatów, starał się zmusić siły natury do działania zgodnie ze swoją wolą. Czarownicę szkoliła w demonicznym fachu inna czarownica, natomiast wiedźma, z reguły mniej szkodliwa dla otoczenia, miała zdolności przyrodzone. Czołowi europejscy intelektualiści uważali przez wieki, że kobieta, przez swoją budowę oraz jakieś tajemne wypełniające ją „fluidy", bardziej podatna jest na grzech i chętniej nadstawia ucha na podszepty szatana. Dlatego w Europie to czarownice – a nie czarownicy – częściej były prowadzone na stos. Litwa była w tej kwestii mniej mizoginistyczna niż Korona i reszta Europy – 40 proc. skazanych w Wielkim Księstwie to czarownicy.

Po 476 r. nieznająca uniwersytetów ciemna, barbarzyńska Europa, w której nawet parafialni księża byli na bakier z łaciną, a miasta były w zasadzie ufortyfikowanymi wsiami, łagodnie traktowała guślarki, wróżbitki, wiedźmy, babki i czarownice. Biskupi i opaci, w ślad za ojcami Kościoła, uznawali kontakty z demonami za wytwór fantazji lub omamy. Jeśli któraś grzeszna niewiasta za bardzo sobie folgowała, to wystarczyły baty, niedopuszczenie do Komunii Świętej, pokuta lub w najgorszym wypadku wygnanie. Tak było jeszcze w XIII w., gdy Europa wyszła już z mroków barbarzyństwa. Kościół polski działał w zgodzie z powszechnym, toteż u nas przez większość średniowiecza sto-

Kuchnia czarownicy według flamandzkiego malarza Davida Teniersa (1610–1690)

FOT. STAATLICHE KUNSTHALLE KARLSRUHE

eprasa.pl df5dd0fcf6

sowano podobny wymiar kar i upomnień wobec wiernych, którzy używali Hostii lub wody święconej po to, by – przykładowo – krowa się cieliła, a mąż odzyskał jurność. Czarownica epoki wczesnych Piastów będzie pędzić żywot podobny do swojej koleżanki po fachu z Francji, Rzeszy czy Italii. Niewiele więc o niej wiemy, bo i Kościół nie za bardzo się nią interesował.

Interwencja papieska

W 1326 r. papież Jan XXII – ten sam, który zgodził się na koronację królewską Łokietka – stwierdził, że czarowników karać należy tak, jak do tej pory karano heretyków. Jeśli uparcie trwać będą przy swoich niecnych działaniach, to pójdą na stos. Innocenty VIII jako pierwszy zwalczał czary za pomocą bulli drukowanej, tym samym mającej większy zasięg. Światłe umysły pełnego i późnego średniowiecza, wykształcone na uniwersytetach, znające dzieła antycznych filozofów, przekonane były od tej pory, że sekta czarowników i czcicieli szatana pragnie zniszczyć ludzkość i Kościół. Za elitami poszedł lud. Magów zaczęto traktować tak samo jak wcześniej waldensów, husytów, dulcynian czy lollardów. W 1487 r. ukazał się słynny „Młot na czarownice", który opisał tzw. zbiorczą koncepcję czarostwa z cyrografami, lataniem na miotle, sabatami, oddawaniem hołdu szatanowi.

Wojna przeciwko czarownicom rozgorzała jednak na dobre dopiero w epoce nowożytnej. Zadecydowało o tym kilka czynników. Nastała tzw. mała epoka lodowcowa, co z kolei przekładało się na kiepskie zbiory i głód. Szalały zarazy. Na Zachodzie w bólach rodził się kapitalizm, a to znaczyło, że skończyły się bezpieczne czasy średniowiecza, gdy cechy rzemieślnicze, pozwalając na mizerny wprawdzie zarobek, gwarantowały jednocześnie pewność zatrudnienia i zbytu na towary. Pojawili się niepewni swojego losu pracownicy najemni, a gościńce zapełniły się wyrugowanymi z ziemi chłopami łączącymi się w bandy rozbójnicze. To powodowało, że między sąsiadami pojawiała się zawiść, wybuchały swary, szukano kozła ofiarnego.

„Europejska rewolucja sądownictwa" z przełomu średniowiecza i nowożytności polegała na wzroście liczby zawodowych prawników, sędziów, często zależnych od rosnącej w siłę władzy centralnej, którzy przestępstwo czarostwa – skoro opisano je w świeckich kodeksach i papieskich bullach – traktowali tak samo jak obrazę majestatu, kradzież czy morderstwo. Jakkolwiek dziwnie to zabrzmi, procesy o czary są ubocznym powodem katechizacji i edukacji prawnej Europejczyków w XVI w. Łączenie magii z obrzędami chrześcijańskimi, czarowanie za pomocą fragmentów Ewangelii czy podkładanie Hostii w pościeli okazało się ciężkim grzechem i przestępstwem, a to musiało być surowo karane.

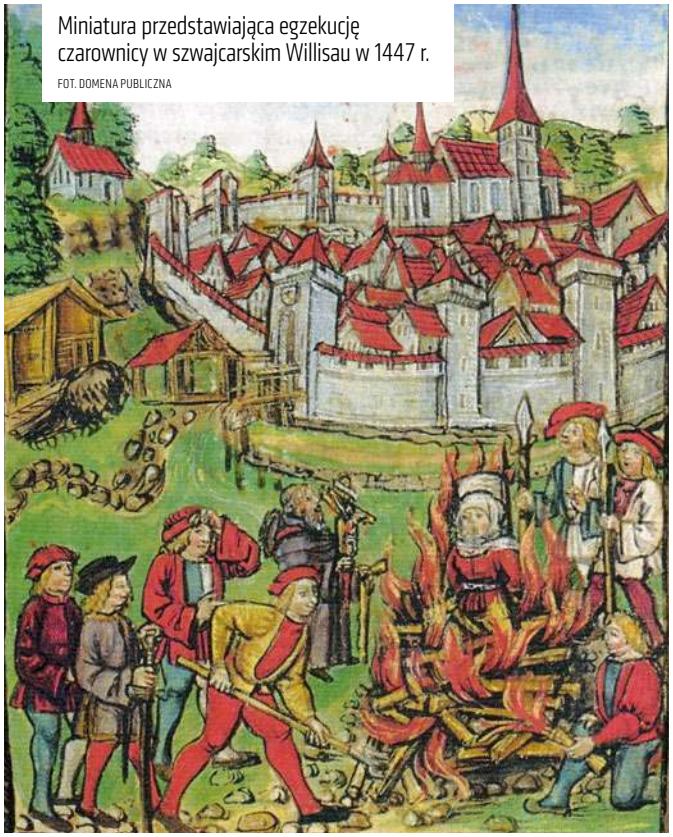

Miniatura przedstawiająca egzekucję czarownicy w szwajcarskim Willisau w 1447 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Najwięcej czarownic posyłano na stos tam, gdzie Kościół katolicki lub protestancki czuł się niepewnie, stąd np. w ultrakatolickiej Hiszpanii czy Portugalii ofiar było względnie mało, w Rzeszy czy we Francji zaś, gdzie toczyły się krwawe zmagania protestantyzmu i katolicyzmu, ofiary walki z czarami szły w tysiące.

Zadek diabła

Specyfiką Polski i Litwy było to, że nie wszystkie opisane wyżej plagi i przemiany wystąpiły u nas z równym natężeniem co na Zachodzie. Oziębienie klimatu odczuliśmy tak samo. Z przyczynami gospodarczymi było podobnie – procesy czarownic miały miejsce w tych miastach, które żyły z handlu ponadregionalnego, a zatem były podatne na zmiany koniunktury. Więcej było jednak różnic. Przeciętny mieszkaniec Korony, nie mówiąc już o Litwie, niezbyt się obawiał herezji. Na pewien czas zagościli u nas husyci, ale nie była to taka skala zagrożenia jak w Rzeszy. Nie czytano u nas dzieł zachodnich demonologów opisujących ze szczegółami sabaty i zakazane rytuały, rodzimi ilustratorzy nie kwapili się do portretowania czarownic adorujących zadek diabła czy ucztujących na Łysej Górze. „Młot na czarownice", w zmienionej, niepełnej wersji, wydano po polsku dopiero w 1614 r.

Niezbyt zainteresowana ściganiem czarownic była szlachta. Przeciętnemu posesjonatowi proces ten kojarzył się ze zmorą absolutum dominium. Szlachcic przypominał sobie o czarach tylko wtedy, gdy chciał się pozbyć z włości wyjątkowo złej i krnąbrnej chłopki. Nasze prawo opierało się w większości na zasadzie kontradyktoryjności, tzn. prywatnej skardze pokrzywdzonego, który wnosił sprawę do sądu. Nie ścigano więc czarownic na podstawie donosów. To z kolei powodowało, że nie występowały

eprasa.pl df5dd0fcf6

„Święty Wolfgang i diabeł". Obraz Michaela Pachera, ok. 1471–1475 FOT. DOMENA PUBLICZNA

u nas paniki obejmujące całe powiaty i masowe procesy czarownic, gdzie na placu miejskim mogło stanąć naraz kilkanaście nieszczęśnic. Mieszczanie, rzadziej szlachcice, skarżyli czarownice za maleficia, czyli takie zaklęcia i rytuały, które spowodowały konkretne szkody w mieniu i zdrowiu – zepsucie piwa, pomór bydła, impotencję lub kołtun. Mniej interesowały ich herezja czarostwa i kult diabła. Polska czarownica szkodziła konkretnemu człowiekowi, względnie sąsiadom, a nie monarsze czy całemu społeczeństwu.

Kondycja intelektualna polskiego kleru parafialnego była wciąż niska. Zdarzało się, że sami księża wykonywali praktyki magiczne w swoich parafiach. Czarownica z Zabłotowa z Rusi Halickiej zeznawała, że czyniła uroki na zlecenie księdza mającego spór ze szlachcicem, a Maryna Mazurkowa z Bochni, że uczyła się tajemnej sztuki na polu miejscowego kanonika i za jego wiedzą. Niejeden ksiądz handlował zaś fragmentami Pisma Świętego, które potem służyły jako magiczne artefakty. Większość duchownych grzmiała jednak z ambon przeciwko czarom, strasząc wiernych ogniem piekielnym i gniewem Bożym, który spopieli grzeszny kraj tak samo jak niegdyś Sodomę i Gomorę.

W XVI w. Kościół w Polsce utracił jednak kontrolę nad zwalczaniem czarownic – jego kompetencje przejęły sądy świeckie, głównie miejskie. Lud rozumiał walkę z czarami po swojemu, nie dopuszczając księży do postępowania. Wytworzyła się więc dziwna sytuacja, w której Kościół chciał mieć ciastko i zjeść ciastko. Duchowni rozpętali gorączkę walki z czarami i jednocześnie załamywali ręce nad sposobem ich zwalczania, na czele z wywodzącą się z czasów barbarzyńskich tzw. próbą zimnej wody. Polegała ona na rzucaniu związanej czarownicy do stawu lub rzeki. Jeśli zaczynała się topić i krztusić – była niewinna. Jeśli pływała – to korzystała z pomocy diabła. Owo zgorszenie panującym bezprawiem bolało głównie biskupów. Badająca ten temat Magdalena Pilaszek stwierdza: „Nasilenie prześladowań w dobie kontrreformacji nie było intencjonalnym działaniem Kościoła. Przeciwnie, hierarchia kościelna przekonana była, iż procesy o czary, prowadzone przez nieobeznanych z prawem małomiasteczkowych jurystów, urągają Bogu, bo osoby niekompetentne decydują, co czarami jest, a co nie, i torturują najczęściej niewinne kobiety". Na czele hierarchów upominających się o sprawiedliwość dla podsądnych stał biskup poznański Kazimierz Florian Czartoryski, a w XVIII w. biskup płocki Andrzej Stanisław Załuski.

Czarownica po polsku

W XV-wiecznej Polsce ściganie czarowników szło niemrawo, a stosy pozostawały zimne. Gdy Władysław Jagiełło szykował hufce do rozprawy z zakonem, w Krakowie niejaki Mikołaj, były kat, który przekwalifikował się na czarownika, został skazany za sprawą inkwizytora Piotra Kantora na wygnanie i konfiskatę mienia. W 1476 r. w Poznaniu już budowano stos dla Doroty z Zakrzewa, ale w ostatniej chwili poręczyli za nią jacyś znaczni mieszczenie, a sama czarownica pokajała się i została uwolniona. Sądy kościelne nie mogły skazywać na śmierć – czyniło to tzw. ramię świeckie, czyli sądy miejskie lub królewskie. W 1511 r. w Chwaliszewie koło Poznania świecki sąd miejski skazał na śmierć jakąś starowinkę za maleficia. Ta anonimowa kobieta była pierwszą skazaną na śmierć czarownicą w Koronie i na Litwie.

Apogeum przyszło późno. 45 proc. koronnych procesów o czary przypada na lata 1676–1725. To skutek wielkich opóźnień w katechizacji polskiego społeczeństwa – z jego pozytywnymi i negatywnymi skutkami. Najwięcej procesów w Koronie przeprowadzono w Wielkopolsce – ponad 37 proc. Na drugim miejscu znajdują się Prusy Królewskie z 21 proc. procesów. To znamienne, bo właśnie w miastach tych prowincji najchętniej czytano niemieckie kodeksy karne.

Jeden z bardziej nietypowych i krwawych procesów zdarzył się w 1736 r. w Humieńcu na Podolu, gdzie akurat szalała zaraza. Chłopi i część szlachty oskarżyli Michała Matkowskiego o to, że jest upiorem. Lud podburzał miejscowy batiuszka. Inna cześć panów braci protestowała – szlachcica wszak palić się nie godzi. Matkowski na stos jednak powędrował. Na budowę miejsca kaźni potrzeba było 20 wozów słomy i 40 wozów drewna. Skazańca obłożono świeżym gnojem, co miało tyleż go upokorzyć, ileż zatrzymać czynione przezeń uroki. Kaci na oczach zawiązali mu szmatę nasączoną dziegciem, a w uszy wetknęli kamienie i dopiero wtedy podpalili stos.

Przeciętna polska czarownica nie czytała demonicznych grymuarów, nie mamrotała w pradawnych językach i nie rysowała kabalistycznych kluczy, pentagramów i heksagramów – z tej prostej przyczyny, że przeważnie była analfabetką, służącą, lichwiarką, żoną rzemieślnika, chłopką. Agnieszka Goroska z wielkopolskiego Jędrzejewa rzucała uroki na jednego sąsiada, bo rzekomo chciał jej podprowadzić gęś, a na drugiego dlatego, że zaciągnął jej męża do transportu zboża do młyna, podczas gdy Goroski podobno bardziej był potrzebny w domu. Pochodząca z tego samego miasteczka Regina Pieczarzyna pokłóciła się ze szlachcicem o ziemię. Małgorzata Garbarka była winna komuś pieniądze,

eprasa.pl df5dd0fcf6

a Dorota Paluszka z Gniezna spierała się ze swoimi wierzycielami.

Zaklęcia rzucane przez rodzime czarownice wydają się groteskowe i prymitywne. Paluszka czarowała, podkładając lub podrzucając w ręku zwykły kamień wielkości kurzego jaja, zakopywała u sąsiadów sproszkowane truchła żaby, rzucała uroki, obcinając znienacka nielubianym kobietom włosy. Goroska zakopywała u wrogów kopyta, kości, ptasie gniazdo i żyto. Pieczarzyna podłożyła swojej ofierze piszczałki pod poduszkę, co miało wywołać ból głowy, do tego podrzucała jeszcze gdzieniegdzie zdechłe myszy i kość prosiaka. Czarownice z Doruchowa ukradkiem obsypywały ludzi sproszkowanym łajnem. Zabiegi te miały popsuć piwo, zarazić owce parchami, spowodować poronienie, opętanie lub chorobę – najczęściej kołtun. Ofiara uroku mogła też skrzeczeć jak żaba. Z kolei koper, kolendra i świńskie łajno podłożone pod poduszkę miały podobno sprowadzić głęboki sen.

Równie jasełkowy był diabeł, z którymi prowadzały się nasze czarownice. Nie przypominał on znanego z fresków i dzieł demonologów krwawego, umięśnionego potwora o koźlej fizjonomii i gigantycznym wężowym fallusie. Nosił się jak szlachcic, chłop lub cudzoziemiec pludrak, miał imię jak każdy inny mężczyzna, choć czasem się zmniejszał, by ukryć się za uchem. Znać go było czasem po kurzych łapach zamiast stóp. Zaściankowe, a także obrzydliwe były nasze sabaty. Przy stole przygrywał tam na skrzypkach znany z sąsiedztwa chłop, pastuch lub ciura, a ucztowano, jedząc łajno i pijąc mocz. Zofia Serdeczna z Jędrzejowa miała natomiast urządzić diabelskie wesele w chlewie. Łysa Góra mogła znajdować się gdziekolwiek i w większości nie była górą – tych zresztą na olbrzymich połaciach Korony próżno było szukać. Diabeł i sabat w polskich procesach pojawiają się jako dodatek do głównych zarzutów o maleficia, często w wyniku zadanych tortur. Te zaś polegały na kłuciu, miażdżeniu kończyn czy trzymaniu w niewygodnej pozycji.

Sprawa o czary nie musiała się kończyć na stosie. Tak było w Trembowli, gdzie Pelachja Chołowska, znana w okolicy guślarka, została oskarżona o wylanie diabelskiego ziela na podwórko sąsiadki, przez co miała zdechnąć jej krowa. Chołowska zarzekała się jednak, że owa ciecz to zwykłe pomyje, a nie żaden środek do czynienia maleficium. Złożyła przysięgę, zwolniono ją, ale jako guślarka musiała zapłacić grzywnę. Niesłusznie oskarżonych czarownic bronili czasem księża. W Płońsku w 1708 r. ks. Jan Waszkiewicz w czasie pogrzebu oskarżył miejscowych sędziów o spalenie niewinnych kobiet. Ławnik Walenty Urbańczyk poczuł się tym zarzutem urażony i szpetnie odpyskał księdzu, na co ten przerwał kazanie, podszedł do ławnika i – jak głosi źródło – „obił mu gębę".

Horror z Prądnika

Nie można jednak powiedzieć, że wszystkie czarownice i czarownicy karani byli bezpodstawnie. W 1737 r. krakowski szynkarz Bartłomiej Tabacznik zlecił czeladnikowi krawieckiemu Sebastianowi Porombeckiemu, aby ten udał się do wsi Prądnik – dziś jest to betonowa sypialnia w północnej części Krakowa – i odciął dyndającemu na szubienicy wisielcowi genitalia. Odrażająca zdobycz poddana odpowiednim rytuałom miała pomóc szynkarzowi w sprzedaży alkoholu. Obu profanatorów złapano, przyznali się do winy, nie wiemy jednak, jaka spotkała ich kara.

„Magiczny krąg", John William Waterhouse, 1886 r. FOT. TATE BRITAIN

Wojnę prostego ludu z czarownicami miały, według jednej z teorii, zakończyć wampiry i upiory. O rosnącej wierze w trupy mszczące się nocami na żywych informował nawet królewski „Monitor". Rozprawa z takim monstrum była prostsza i mniej krwawa niż z czarownicą. Zamiast wytaczać proces, wystarczyło wykopać trupa i przebić go kołkiem lub spalić, co ochoczo czyniono. Pilaszek stwierdza jednak, że dla zakończenia manii czarostwa istotniejsze były przemiany wśród elit. To właśnie podczas największego nasilenia procesów o czary na przełomie wieków XVII i XVIII elity Kościoła zaczęły wołać o opamiętanie, wskazując, że to nie stos i tortury mają bronić chrześcijan przed diabłem, ale indywidualna pobożność i znajomość dogmatów. Aby to osiągnąć, trzeba było wykształcić na nowo tysiące księży parafialnych – stan ten z grubsza udało się osiągnąć w drugiej połowie XVIII w.

W 1776 r., gdy amerykańscy koloniści rzucali wyzwanie staremu porządkowi, nasza konstytucja sejmowa, wspólny wysiłek wyższego duchowieństwa i szlachty, zakazała tortur i karania śmiercią za czary. To paradoks, bo choć Polska chyliła się ku upadkowi, to jej prawo stawało się coraz nowocześniejsze, usuwając zabobon i ciemnotę. Po 1776 r. zdarzały się oczywiście w niepodległej jeszcze przez kilkanaście lat Rzeczypospolitej samosądy. Powszechnie uważa się, że ostatnią czarownicę spalono na ziemiach polskich w 1811 r. w warmińskim Reszlu, pod zaborem pruskim. Barbara Zdunk, bo o niej mowa, nie była jednak czarownicą, lecz podpalaczką, wściekłą z powodu odrzucenia przez kochanka.

W Europie Zachodniej wytoczono 100 tys. (a być może nawet 200 tys.) procesów o czary. Z tego prawie połowa zakończyła się śmiercią oskarżonych. Nie wiemy, ile dokładnie odbyło się procesów w Koronie – Małgorzata Pilaszek dotarła do akt 867 procesów, z czego wyrokiem śmierci zakończyło się 309. Pilaszek i drugi badacz tego zagadnienia, Jacek Wijaczka, zgodnie twierdzą, że liczba 10 tys. ofiar podawana niegdyś przez Bohdana Baranowskiego jest zdecydowanie przesadzona. Tak czy inaczej, jest to skala o wiele mniejsza od tych znanych z Rzeszy czy z Francji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl df5dd0fcf6

Lata 30. XX w. / Czystka w sowieckiej bezpiece

Ścięte głowy katów wielkiego terroru

Mikołaj Iwanow

Stalinowska machina represji dopadła w końcu samych morderców z NKWD. Szczególnie skrupulatnie wyniszczeni zostali oprawcy polskiego pochodzenia

Rewolucja niczym bóg Saturn pożera swoje dzieci" – powiedział Georges Danton tuż po skazaniu go na ścięcie przez Trybunał Rewolucyjny. Kilka dni później, gdy Danton wieziony był wraz z 20 innymi skazanymi na miejsce kaźni, przejeżdżając koło domu Robespierre'a, dodał proroczo: „Maximilianie, czekam na ciebie, niedługo podążysz za mną". Już na szafocie, zwracając się do kata, powiedział: „Tylko nie zapomnij pokazać ludziom mojej głowy. Nie codziennie widuje się takie głowy".

Czy słowa opisujące los „dzieci Wielkiej Rewolucji Francuskiej" pasują również do tego, co stało się z „dziećmi Wielkiej Rewolucji Rosyjskiej"? Los większości przywódców rewolucji bolszewickiej – Trockiego, Kamieniewa, Zinowjewa, Bucharina, Tomskiego i wielu innych popleczników Lenina – jest dobrze znany. Zginęli oni z woli Stalina w wirze wielkiego terroru. Natomiast mniej znany jest los tysięcy organizatorów i wykonawców wielkiego terroru. Stalin również ich oskarżył o rozpętanie w kraju ludobójczej fali – rzekomo dokonali oni tego wbrew jego woli. O skali terroru świadczą liczby. O ile w 1936 r. w ZSRS rozstrzelano 1118 osób, o tyle już rok później stracono 353 tys. skazańców, w 1938 r. – 329 tys. Wykonawców zbrodniczych rozkazów Stalina i świadków jego własnych win postanowiono zniszczyć doszczętnie, by ukryć na zawsze prawdę o faktycznym inicjatorze tego ludobójstwa.

Gienrich Jagoda, szef NKWD (w środku), na budowie kanału Moskwa – Don

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl df5dd0fcf6

W 1938 r. rozstrzelano Gienricha Jagodę, szefa NKWD, pełniącego tę funkcję w latach 1934–1936. Dwa lata później, po sfingowanym procesie, zginął od kuli kata jego następca, główny „architekt" wielkiego terroru – Mikołaj Jeżow. Spośród 322 NKWD-zistów zajmujących od lipca 1934 r. do września 1938 r. kierownicze stanowiska na różnych szczeblach aparatu terroru aresztowano 241 osób (niemal trzy czwarte). Spośród 37 osób, które w 1935 r. posiadały stopień komisarza bezpieczeństwa państwa (generała NKWD), przeżyły tylko dwie. Były to więc totalne wyniszczenie starych kadr aparatu przemocy i zamiana ich na młodych „janczarów stalinizmu", absolutnie lojalnych wobec wodza i partii.

Polacy Dzierżyńskiego

Zupełnie osobny rozdział w historii wielkiego terroru stanowi los polskich NKWD-zistów. W pierwszych latach po rewolucji, gdy aparatem przemocy kierował Feliks Dzierżyński, stanowili oni do 12 proc. zatrudnionych w tym resorcie. Razem z Łotyszami byli oni swoistą gwardią Dzierżyńskiego. Charakter ich służby się nie zmienił, gdy kierownictwo nad komunistycznym aparatem przemocy po śmierci Dzierżyńskiego (w grudniu 1926 r.) przeszło w ręce innego Polaka – Wiaczesława Mienżyńskiego. Kierował on GPU-NKWD aż do swojej śmierci w 1934 r.

Jednym z najważniejszych elementów wielkiego terroru była tzw. operacja polska, która polegała na totalnym prześladowaniu Polaków, usunięciu ich ze wszystkich odpowiedzialnych stanowisk i rozstrzelaniu najbardziej aktywnych przedstawicieli narodu. W toku tej operacji wymordowano prawie 200 tys. Polaków. Dostępne źródła świadczą o tym, że nikt z Polaków zatrudnionych w NKWD nie przeżył „operacji polskiej" i „pojeżowskiej czystki" prowadzonej przez Ławrientija Berię.

Od czasów Dzierżyńskiego procentowy udział Polaków w sowieckich służbach specjalnych sukcesywnie się zmniejszał, ale przed rozpoczęciem wielkiego terroru Polacy wśród pracowników NKWD piastujących kierownicze stanowiska nadal stanowili niemały odsetek. W roku 1936 wynosił on 5,5 proc. W lipcu 1937 r. odsetek ten zmniejszył się do 3,5 proc., ale we wrześniu roku następnego Polaków pozostało już niewiele ponad 0,5 proc. W lipcu 1939 r. w NKWD nie było już żadnego rodaka Dzierżyńskiego.

Prawie wszyscy Polacy bolszewicy rozpoczęli pracę w kierownictwie GPU-NKWD w latach 1917–1923. Byli to poplecznicy „żelaznego Feliksa". W większości polscy NKWD-ziści byli przekonani, że dla zwycięstwa komunizmu dozwolone są wszelkie metody przymusu. Wśród pracowników aparatu bezpieczeństwa średniego i niższego szczebla również reprezentowane było nowe pokolenie sowieckich Polaków, skierowanych do służb przez partyjne i komsomolskie organizacje w okresie realizacji polityki tworzenia polskiej autonomii socjalistycznej. Nie brakowało wśród NKWD-istów także zdrajców z II RP – byłych współpracowników polskich służb specjalnych, którzy przeszli na stronę bolszewików. Nieprzypadkowo polski wydział kontrwywiadowczy NKWD, a także wywiad wojskowy Armii Czerwonej składały się prawie wyłącznie z samych Polaków, skoro II RP traktowano jako głównego potencjalnego agresora, zdolnego zagrozić istnieniu władzy bolszewickiej.

Najwyższy stopniem Polak w NKWD – Stanisław Redens – stał na czele NKWD Kazachstanu i wyglądał na nietykalnego. Był blisko, i to na stopie rodzinnej, samego Stalina (jego żoną była siostra Nadieżdy Allilujewej, żony Stalina), ale przyjaźnił się też z Feliksem Dzierżyńskim. Romuald Pilar (von Pilchau) stał z kolei na czele obwodowego NKWD w Saratowie. Jego zastępcą w tym mieście był również Polak w stopniu generalskim – Ignacy Sosnowski (Dobrzyński). Ten były polski szpieg przyjęty został do GPU jeszcze w 1920 r. na podstawie decyzji samego Lenina. Szefem NKWD w obwodzie kalinińskim był natomiast Wiaczesław Dombrowski, a Stanisław Pintal kierował regionalnym NKWD w południowym Kazachstanie.

Z tych pięciorga najwyższych rangą NKWD-zistów jedynie Stanisław Redens dożył do 1940 r. Reszta została rozstrzelana jeszcze w roku 1937 w ramach „operacji polskiej". W typowo stalinowskim stylu Ignacego Sosnowskiego zrobiono rezydentem II Oddziału Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, wiceszefem POW na cały Związek Sowiecki. Pilar z Dombrowskim i Pintalem mieli rzekomo wchodzić w skład ścisłego kierownictwa POW. Kolej na Redensa przyszła po upadku Jeżowa, z którym łączyły go bliskie stosunki. W czasie śledztwa przyznał się do szpiegostwa na rzecz Polski, ale

Budynek na Łubiance, który był siedzibą NKWD FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl df5dd0fcf6

Proces Sawinkowa w Moskwie. Za stołem sędziowskim siedzi pod ścianą Wiaczesław Mienżyński

FOT. DOMENA PUBLICZNA

główne oskarżenie przeciwko niemu polegało na rzekomym rozpoczęciu wraz z Jeżowem spisku antypartyjnego i antypaństwowego.

Śmierć z książki telefonicznej

Stanisław Redens złożył w czasie śledztwa obszerne zeznania, pokazujące całą metodykę przestępstw stalinowskich wobec Polaków. We własnoręcznie sporządzonych zeznaniach napisał: „W czasie operacji w okręgu moskiewskim aresztowano 2,5 tys. lub 2,7 tys. Polaków. W tym czasie operacja nabrała takich rozmiarów, że listy skazanych na śmierć zaczęły spływać w ogromnej ilości i wtedy jeszcze bardziej uproszczono rozpatrywanie tych spraw, zaczęli rozdawać naczelnikom oddziałów listy z tysiącami nazwisk i naczelnicy oddziałów jednoosobowo decydowali o losie aresztowanych, a Jeżow, nie czytając ich, podpisywał gotowe protokoły i to samo, niestety, robił Wyszyński. Po moim wyjeździe do Kazachstanu Żakowski prowadził jawnie przestępczą działalność w tych sprawach, on przez dwa miesiące aresztował 12,5 tys. osób, przy czym aresztowania przeprowadzano przy pomocy książki telefonicznej, byle było nazwisko tylko podobne do polskiego…”.

Znamienne jest to, że aresztowani kierownicy z NKWD prawie natychmiast zaczynali współpracować ze śledczymi, przyznając się do wszystkiego, czego od nich wymagano. Doskonale znali przecież reguły tej zabójczej gry, ponieważ jeszcze niedawno sami występowali w roli oskarżycieli. Rozumieli, że stawianie oporu nie ma żadnego sensu. Stanisław Redens podczas osobistej konfrontacji ze swym niedawnym szefem Mikołajem Jeżowem posłusznie oświadczył, że został przez niego wciągnięty w spisek antysowiecki. Co zresztą Jeżow natychmiast potwierdził. Jedynie Ignacy Sosnowski przez prawie trzy miesiące, na początku śledztwa, próbował trzymać się twardo i wszystkiemu zaprzeczał. Prawdopodobnie przedłużyło mu to nieco życie.

Aresztowani kierownicy z NKWD prawie natychmiast zaczynali współpracować ze śledczymi, przyznając się do wszystkiego

Represje antypolskie w NKWD objęły swym zasięgiem również wydział kontrwywiadowczy działający przeciwko Polsce, a także wywiad wojskowy (Wydział Wywiadowczy Armii Czerwonej, poprzednik słynnego GRU). W jednostkach tych na stanowiskach operacyjnych pracowali prawie sami Polacy, w większości byli to współpracownicy polskiego wywiadu, którzy zdradzili ojczyznę i przeszli na stronę ZSRS.

Aby rzekomy spisek w ich wykonaniu wyglądał możliwie wiarygodnie, na jego czele postawiono jednego z bliskich popleczników Dzierżyńskiego. Mieczysław Łoganowski pełnił w 1920 r., w czasie marszu Tuchaczewskiego na Warszawę i krótkotrwałego istnienia „Polskiej Socjalistycznej Republiki Rad”, funkcję czerwonego komisarza okręgu białostockiego. W latach 1922–1924 Łoganowski piastował stanowisko półoficjalnego rezydenta GPU w Warszawie i budował zręby działalności sowieckiego wywiadu w II RP. Następnie zrobił błyskotliwą karierę w sowieckiej dyplomacji. Przerwało ją nagłe aresztowanie, do którego doszło w maju 1937 r.

Drugą ważną osobą zatrzymaną w związku z wykryciem tego spisku był inny bliski współpracownik Dzierżyńskiego – Jan Olski (prawdziwe nazwisko Kulikowski), były szef Czeka Białorusi, który w latach 1927–1930 stał na czele całej służby kontrwywiadowczej GPU-NKWD. Aresztowano również i dołączono do spisku wielu funkcjonariuszy operacyjnych, którzy koordynowali w NKWD i wywiadzie wojskowym działalność wywiadowczą przeciwko Polsce. Po krótkim śledztwie rozstrzelano funkcjonariuszy o m.in. następujących nazwiskach: Staszewski, Messing, Żbikowski, Janiszewski, Sędzikowski, Barański, Bortnowski. Oskarżono ich o „kompletne sparaliżowanie naszej kontrwywiadowczej działalności przeciwko Polsce, o umożliwienie bezkarnej działalności polskiego wywiadu w ZSRS, ułatwienie przeniknięcia i legalizacji polskiej agentury na terenie ZSRS i w różnorodnych placówkach życia gospodarczego kraju”. Obwiniono ich także o „zagarnięcie i sparaliżowanie całej pracy wywiadowczej NKWD i wywiadu RKKA [Armii Czerwonej] przeciwko Polsce, szerokie i konsekwentne dezinformowanie nas i wykorzystanie naszego wywiadu za granicą w celu dostarczenia polskiemu wywiadowi potrzebnych informacji dotyczących innych państw i w celu działań antysowieckich na arenie międzynarodowej”.

Polacy na najwyższych stanowiskach w NKWD byli bez wątpienia oddanymi wykonawcami tzw. woli partii, co w rzeczywistości oznaczało wolę Stalina. Byli to ludzie z rękami po łokcie unurzanymi

eprasa.pl df5dd0fcf6

we krwi, również polskiej. Przypomnijmy, że to Stanisław Redens był jednym z pomysłodawców wykrycia rzekomego spisku POW (Polskiej Organizacji Wojskowej) na Ukrainie, na początku lat 30. Natomiast Pilar, Pintal i Sosnowski byli weteranami walk bolszewików przeciwko polskiej niepodległości, pracownikami GPU-NKWD z prawie 20-letnim stażem.

Zacinająca się machina

W roku 1938 cały ogromny kraj zaczynał się już powoli dławić terrorem. Ze wszystkich stron na adres Komitetu Centralnego partii przychodziły tysiące skarg, listów, błagań o pomoc, nadchodziły też informacje o straszliwych nadużyciach ze strony NKWD. Terror powoli zaczynał przerastać plany Stalina, zaczynał żyć własnym, wymykającym się spod kontroli życiem. Wszechwładza NKWD mogła w końcu zagrozić kierowniczej roli partii i Stalin doskonale to rozumiał.

Wódz ZSRS niewątpliwie był świadom skali kłamstw i nadużyć, na których bazował wielki terror. To w końcu on sam był głównym inicjatorem i inżynierem tej machiny represji. Na jego biurko codziennie trafiały dziesiątki protokołów przesłuchań aresztowanych, donosów i sprawozdań NKWD. O dziwo, w odróżnieniu od swych podwładnych – Jeżowa i Wyszyńskiego, którzy nie czytając listy nazwisk, podpisywali dziennie tysiące wyroków śmierci – Stalin zapoznawał się ze szczegółami śledztw, własnoręcznie kierował niektóre dochodzenia na „właściwe" tory, pouczał NKW-zistów, a czasem nawet wykazywał „wielkoduszność", wyciągając niektórych skazańców z cel śmierci. Będąc pragmatykiem, Stalin od początku 1938 r. zaczął powoli ograniczać wielki terror, który już wypełnił swoje główne zadanie – zmiażdżył wszelką (prawdziwą i potencjalną) opozycję wobec jego władzy.

Doskonale zorientowany w wyjątkowej niepopularności wielkiej czystki w społeczeństwie sowieckim Stalin wykonał doskonale przemyślany krok – znalazł kozła ofiarnego tych wszystkich straszliwych przestępstw popełnianych przez ludzi w mundurach NKWD.

Czystka w aparacie terroru miała jeden główny cel – zdjęcie ze Stalina odpowiedzialności za wielki terror i zrzucenie jej na bezpośrednich realizatorów represji. Był to logiczny krok na drodze do jeszcze większego umocnienia stalinowskiego systemu władzy, do utwardzenia totalnej kontroli partii nad społeczeństwem i do przywrócenia nadzoru partii nad swymi służbami.

Przy czym oskarżenia Stalina pod adresem NKWD i jego kierownictwa nie były zupełnie bezpodstawne. Represje na tak szeroką skale ujawniły nieudolność samego aparatu represji. NKWD z wielkim trudem uporał się z rozpętaniem i podtrzymaniem terroru. Brakowało więzień, łagrów, wagonów przystosowanych do transportu więźniów, paliwa dla samochodów oprawców. Kolej z wielkimi trudnościami wykonywała zadania zlecone przez Jeżowa. Tylko w 1938 r. trzeba było przetransportować nawet milion więźniów. To zadanie było dla chronicznie niewydolnej kolei sowieckiej niemal ponad jej siły. Niekiedy z powodu braku środków odraczano przeprowadzenie operacji represyjnych, a nawet wykonanie kary śmierci. W efekcie Stalinowska machina terroru niemal się zacięła.

Na decyzję Stalina o zatrzymaniu represji wpływ miała zmieniająca się sytuacja międzynarodowa – wzrost potęgi Niemiec hitlerowskich i wyczuwalna bliskość nowej wielkiej wojny. Po zawarciu we wrześniu 1938 r. porozumienia monachijskiego między Wielką Brytanią, Francją, Niemcami i Włochami Związek Sowiecki znalazł się w sytuacji izolacji międzynarodowej. Głos Kremla w obronie Czechosłowacji nie został usłyszany na arenie międzynarodowej, a propozycje przyjścia z militarną pomocą Czechom i Słowakom odebrano w Londynie i Paryżu jako pusty gest, niemający oparcia w istniejących realiach.

Pojawiły się pomysły na zbliżenie z Polską, która również nie była zaproszona do Monachium. Czy były one realne? Mimo ostrej reakcji rządu sowieckiego na przyłączenie Zaolzia do Polski na Kremlu zaczęto wyraźnie dążyć do polepszenia stosunków ze swym największym zachodnim sąsiadem. Stalin bał się bowiem sojuszu niemiecko-polskiego wycelowanego w Moskwę. U progu nowej wielkiej wojny przedłużanie wielkiego terroru, który coraz bardziej paraliżował państwo Stalina, stało się przeciwskuteczne.

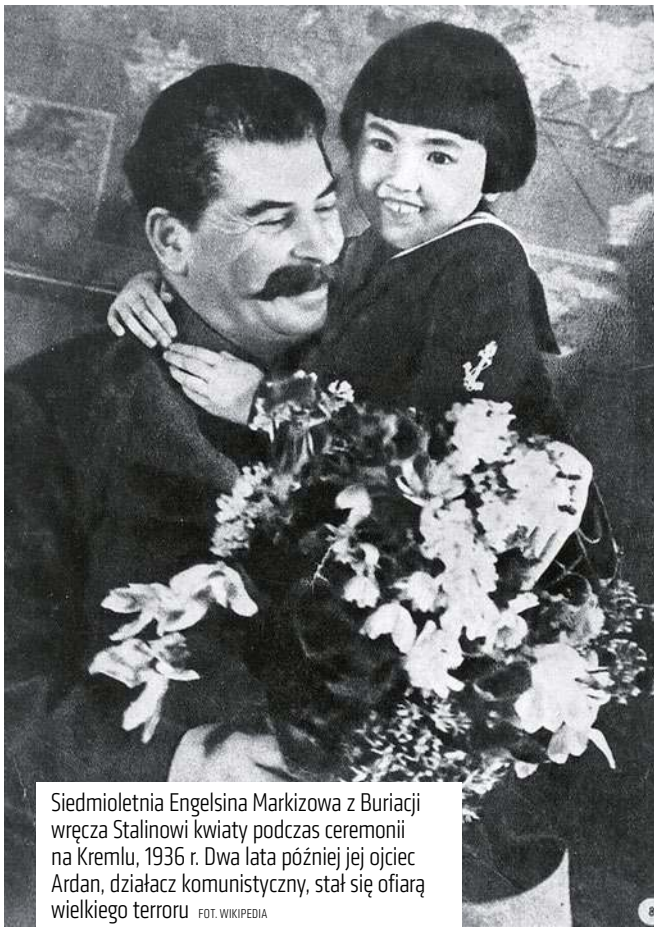

Siedmioletnia Engelsina Markizowa z Buriacji wręcza Stalinowi kwiaty podczas ceremonii na Kremlu, 1936 r. Dwa lata później jej ojciec Ardan, działacz komunistyczny, stał się ofiarą wielkiego terroru FOT. WIKIPEDIA

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl df5dd0fcf6

Starożytność / Dzień powszedni egipskiego chłopa

W cieniu piramid

Piramidy w Gizie FOT. WIKIPEDIA

Łukasz Czarnecki

W znoju stawiali monumentalne budowle na chwałę faraonów. Dzięki archeologom i patologom możemy zajrzeć do ich domostw i zrozumieć, co ich zabijało

Egipscy bogowie pobłogosławili ojczyznę swoich wyznawców szczególnym położeniem geograficznym. Państwo faraonów powstało wzdłuż biegu życiodajnego Nilu i na nim opierało swój byt. Szczególnie dobrze widać to było w Górnym Egipcie, gdzie osady ludzkie rozsiadły się w pasie o szerokości zaledwie 3 km, ściśle przylegającym do nilowego koryta. W Egipcie Dolnym, czyli w leżącej na północy Delcie, było już trochę lepiej, bo rzeka, zbliżając się do Morza Śródziemnego, rozgałęziała się, tworząc szeroką sieć strumieni i bagnisk. Jednakże i tu wystarczyło odwrócić się plecami do Nilu i ruszyć na spacer, by jeszcze tego samego dnia znaleźć się na pustyni.

Sami mieszkańcy Egiptu swój kraj nazywali Kemet, czyli Czarna Ziemia. Miano to wynikało z kolejnej specyficznej właściwości ich ojczyzny – corocznych wylewów Nilu, w trakcie których znaczna część państwa znikała pod wodą. To, co w innych rejonach świata uznawano za katastrofę, tu stanowiło błogosławieństwo. Mętna nilowa woda wypłukiwała z gleby szkodzącą roślinom sól i nawoziła pola uprawne gęstym, pełnym mikroelementów mułem, który doskonale je użyźniał, sprawiając, że ze wszystkich znanych ludziom antyku krain to właśnie Egipt cieszył się najobfitszymi plonami. Zboże stanowiło prawdziwe bogactwo kraju faraonów i pozostało nim nawet wtedy, gdy rządy tych boskich władców przeminęły, a ich ojczyzna znalazła się pod panowaniem rzymskim. Nad Nilem rosła pszenica, która płynąc szerokim strumieniem do Rzymu, umożliwiała cesarzom rozdawanie za darmo chleba wiecznie głodnym rzeszom biedoty. Niestety, rzeka była kapryśna i bywało, że wylew się spóźniał, był zbyt skromny lub wody stały na polach za długo. We wszystkich tych przypadkach Egipcjanom groził głód. Dlatego też kapłani pilnie obserwowali i notowali wyniki pomiarów dokonywanych za pomocą nilometrów. Porównując je z zapiskami ze świątynnych archiwów, słudzy bogów byli w stanie przewidzieć humory Nilu.

Wieprze „odkurzacze”

Gdy mówimy o Kemet, najczęściej przychodzi nam na myśl świat egipskich elit. Jest to w pełni zrozumiałe, w końcu faraonowie zostawili po sobie naprawdę

eprasa.pl df5dd0fcf6

monumentalne dziedzictwo, a wyniosłe gmachy świątyń, zachowane teksty religijne oraz plastyczne wyobrażenia tajemniczych bogów wzbudzają fascynację pradawną religią Egipcjan – jej urokowi ulegali już Grecy i Rzymianie. Jednakże 90 proc. mieszkańców kraju nad Nilem stanowili chłopi, nieustannie orzący nawożoną nilowym mułem ziemię. Ich życie było ciężkie, wypełnione harówką i krótkie – przeciętna długość życia wynosiła 19 lat! Znajdowane mumie wskazują ponadto, że owe niepełne dwie dekady były czasem wypełnionym wszelkiej maści bolesnymi dolegliwościami.

Rolnicy pozostawali niepiśmienni, więc zdecydowana większość tego, co mieli do powiedzenia na temat swej egzystencji, nie zachowała się do naszych czasów. Na szczęście w wioskach rezydowali urzędowi skrybowie, którzy prowadzili notatki na temat codzienności, a także pod dyktando swoich klientów pisali listy. Elity od czasu do czasu też napisały coś na temat ludu; wreszcie z pomocą współczesnemu historykowi przychodzi archeologia. Wiele zmieniło się od czasów, gdy badacze starożytności interesowali się tylko grobowcami władców, pałacami i świątyniami. Dziś równie wielką uwagą cieszą się ślady codziennego życia zwykłych ludzi.

Naszą znajomość z prostym, ciężko zarabiającym na chleb Egipcjaninem zacząć powinniśmy od odwiedzin w jego domu. Choć żywot chłopów w Kemet był wypełniony znojem, to przynajmniej o mieszkanie za bardzo nie musieli się martwić – większość z nich stać było na całkiem przyzwoity metraż. Trudno jednak, by sytuacja wyglądała inaczej, skoro materiału budowlanego było pod dostatkiem, do wznoszenia pospolitych domostw używano bowiem cegieł wykonanych z nilowego mułu. Wystarczyło zakasać rękawy tuniki, zwołać kilku krewnych lub sąsiadów i brać się do budowy.

Przeciętny egipski dom z okresu Nowego Państwa składał się z czterech pokoi i miał ok. 40 mkw. Z reguły konstrukcja powstawała na planie kwadratu lub prostokąta, nie było korytarzy i w związku z tym mieszkańcy bezpośrednio przemieszczali się między pokojami. Całość nakrywano dachem sporządzonym z gałęzi. Normą był półmrok, ponieważ okna były bardzo niewielkie.

Pierwsza izba domu stanowiła odpowiednik dzisiejszego salonu, tu gospodarz podejmował gości. Serce domu biło jednak w drugim pokoju. Tu znajdowało się podwyższenie, na którym członkowie rodziny nocą rozkładali swoje posłania. Codzienne życie familii skupiało się właśnie w tym pokoju, a brali w nim udział zarówno żywi, jak i martwi jej członkowie. Na jednej ze ścian malowano tzw. ślepe wrota pozwalające duchom zmarłych wracać do krewnych, ponadto przechowywano tu też posążek antenata, któremu jego potomkowie oddawali cześć przez składanie mu ofiar. Pewną osobliwością jest to, że kultowy posążek w trakcie swego istnienia wielokrotnie zmieniał tożsamość – gdy kolejni przodkowie byli zapominani przez młodsze generacje, następowało utożsamienie figurki z osobą bliższą żyjącym na osi czasu.

W trzecim pokoju rzemieślnicy zwykle sytuowali swoje warsztaty, a wyprodukowane w nich przedmioty wystawiali do sprzedaży bezpośrednio przed wejściem do domu. Ostatnim pomieszczeniem była kuchnia, jako że znajdowało się tu palenisko – nie instalowano dachu, by dym mógł swobodnie ulatywać na zewnątrz. W kraju, w którym prawie nigdy nie padało, rozwiązanie takie nasuwało się samo.

Czterdzieści metrów kwadratowych to mniej więcej wielkość współczesnego polskiego mieszkania w bloku. Egipskie domostwo było jednak o wiele bardziej zatłoczone, a na metrażu dziś zajmowanym przez góra cztery osoby mogło być tam ściśniętych nawet kilkunastu lokatorów. Rodziny w Kemet były wielopokoleniowe. Razem mieszkali rodzice, dzieci (najczęściej gromadka), dziadkowie, jeśli jeszcze żyli, a także zwierzęta gospodarskie. Po chacie egipskiego chłopa biegały gęsi, kozy, trzymano też często psy mające pilnować obejścia, a niektórzy mieli i świnie. Mięso tych ostatnich nie cieszyło się jednak uznaniem. Głównym przeznaczeniem wieprzy była służba w charakterze żywego odkurzacza pożerającego odpadki. Dodajmy do tego jeszcze koty, które jako zwierzęta święte chodziły wszędzie i robiły, co im się zachciało, a otrzymamy obraz całkowitego chaosu.

Ciężka praca, marna płaca

Przeważająca większość Egipcjan w pocie czoła uprawiała ziemię. Od czasu do czasu mieszkańcy wiosek nad Nilem wzywani byli też do udziału w projektach budowlanych swych władców. Generalnie jednak lwia część aktywności zawodowej skupiała się wokół dbania o pola. Po każdorazowym wylewie rzeki trzeba było na nowo wytyczać jej granice i oczyszczać kanały nawadniające z zalegającego w niej mułu. Jeśli jednak ktoś nie miał ochoty spędzić całego życia na roli, to otwierały się przed nim pewne perspektywy. O tym, czym mógł się zająć zwyczajny człowiek z ludu, dowiadujemy się z zachowanego tekstu dydaktycznego „Satyra na zawody". Napisany został on w formie pouczeń udzielanych przez doświadczonego urzędnika swemu synowi. Narrator obrazowo przedstawia różne

Relief z grobu w Tebach pokazujący egipskich chłopów podczas prac polowych, XIV w. p.n.e. FOT.WIKIPEDIA

eprasa.pl df5dd0fcf6

Nil pomiędzy Luksorem i Asuanem
FOT. WIKIPEDIA

rodzaje wykonywanych w Kemet zawodów, przy każdym z nich podkreślając liczne wiążące się z nim niedogodności. Prawdopodobnie ten utwór literacki stanowił lekturę dla zgłębiających tajniki pisma uczniów szkół kształcących przyszłych pisarzy i miał ich zmotywować do pilniejszej nauki.

Co zatem znajdziemy w owej wyliczance fachów niegodnych szacunku? Autor „Satyry..." wziął na cel choćby praczy. Tak, praczy, bo w przeciwieństwie do innych kultur praniem w Egipcie zajmowali się mężczyźni (już Herodot twierdził, że Egipcjanie wszystko robili na odwrót niż reszta świata). Osobliwość ta wynikała z realiów – brudne ubrania czyszczono w Nilu, a w odmętach świętej rzeki czaiły się krokodyle. Co prawda, potworne gady również otaczał nimb świętości, ale przeważająca większość mieszkańców Kemet, jeśli tylko miała wybór, wolała nie obcować zbytnio z tą konkretną sferą sacrum. Pracz musiał być zatem silnym, czujnym i odważnym mężczyzną, który ryzykując życie, brodził po płyciźnie. Narrator naszej szkolnej lektury wyraźnie zresztą podkreśla, że wykonującym ten fach grozi ciągłe niebezpieczeństwo ze strony głodnych gadów.

Inną robotę, do której wziąć mógł się chłop egipski, stanowiło rybołówstwo. Po Nilu nieustannie pływały łodzie obsadzone przez rybaków. Jeden z nich mącił wodę kijem, a drugi zarzucał sieci. Potem wspólnie wyciągali połów i zaczynali całą operację od początku. Praca ta również była niezwykle trudna, ale jeśli ktoś był właścicielem łodzi, to mógł się na niej dorobić.

W czasach Nowego Państwa przed ludźmi gotowymi podjąć ryzyko i chcącymi zakosztować wojennych przygód otwierała się także kariera wojskowa, gdyż Kemet utrzymywało już wtedy stałą armię. Zawód żołnierza wiązał się oczywiście z niebezpieczeństwem odniesienia ran lub utraty życia, i to nie tylko na polu walki – oddziały zbrojne wysłano często jako eskorty misji wydobywczych mających sprowadzić nad Nil złoto lub inne szczególnie cenne surowce z pustynnych kopalń. Z zachowanych zapisków wiemy, że śmiertelność wśród członków takich ekspedycji była zatrważająca i mogła wynosić nawet połowę biorących w niej udział osób! Warto też wiedzieć, że wojacy faraonów przechodzili morderczy trening, w którego skład wchodziły choćby marsze na ogromne odległości i długodystansowe biegi.

Egipski wojownik walczył zasadniczo bez żadnego opancerzenia, odziany w krótką spódniczkę i skórzany kilt. Jego jedyną ochroną przed wrogimi ciosami była tarcza. O wiele większe szanse dożycia końca służby mieli łucznicy. Wojska Nowego Państwa wyposażone były już w łuki kompozytowe, przejęte od azjatyckich najeźdźców nękających Kemet w poprzednich wiekach. Miały one duży zasięg, umożliwiający znaczne przetrzebienie przeciwnika jeszcze przed rozpoczęciem walki twarzą w twarz.

Mimo wszelkich niedogodności, które niosło ze sobą wojenne rzemiosło, miało ono jedną niezaprzeczalną zaletę. Weterani armii faraona jako jedyni w Egipcie objęci byli systemem emerytalnym! Po odsłużeniu przepisowej liczby lat żołnierze przechodzący w stan spoczynku otrzymywali na własność działki, dzięki którym mogli się odtąd utrzymywać. Jeśli wojak doczekał się jeszcze dzieci, które za jego życia osiągnęły dorosłość, to mógł już wygodnie osiąść na laurach, gdyż zobowiązani przez egipskie prawo do opieki nad rodzicami synowie brali całą rolniczą robotę na własne barki.

Ktoś bardziej ambitny mógł też dołączyć do kleru. W wielkich świątyniach pracowały całe zastępy kapłanów, z których większość wykonywała bardzo prozaiczne czynności, jak dbanie o czystość przybytku czy – w przypadku wyjątkowych szczęśliwców – dźwiganie na swych barkach w trakcie procesji wizerunków bogów.

Oczywiście w Egipcie istniało wiele różnorakich zawodów, nie tylko te wymienione powyżej. Sęk w tym, że mimo ich mnogości perspektywy chłopa, który chciał się przekwalifikować, były raczej marne. Większość wyspecjalizowanych miejsc pracy okupowana była z pokolenia na pokolenie przez członków tej samej rodziny, a stanowiska przechodziły z ojca na syna. Prosty rolnik, nawet gdyby chciał zostać garncarzem lub rzeźnikiem, miał niewielkie na to szanse, jeśli wśród jego krewnych nie było takiego rzemieślnika. Jeszcze gorzej wyglądała sytuacja tych, którzy pragnęliby zdobyć wykształcenie – skrybowie zazdrośnie strzegli swojej pozycji. W Kemet nie istniało państwowe szkolnictwo dostępne dla wszystkich, w efekcie pisać i czytać umiało tylko 0,1 proc. populacji! Stąd urzędowy pisarz stanowił tak niezbędny element każdej społeczności i mógł srogo sobie liczyć za swe usługi. Nie bez powodu, gdy oglądamy zachowany posąg lub malunek przedstawiający skrybę, prawie zawsze widzimy przed sobą człowieka otyłego.

W jakiej formie egipski pracownik odbierał wypłatę? W kraju faraonów nie wykształcił się system monetarny. Pensje wypłacano w zbożu, chlebie i piwie, czyli podstawowych produktach

eprasa.pl df5dd0fcf6

spożywczych. Powszechnie stosowaną jednostkę obrachunkową stanowił jeden deben miedzi, czyli 92 g kruszcu. Komplikowało to wymianę towarów, ułatwiając za to działalność nieuczciwym kupcom odmierzającym zapłatę za pomocą sfałszowanych odważników.

Szlachetne zdrowie...

Stare przysłowie mówi, że jesteś tym, co jesz. Dieta egipskiego chłopa była wyjątkowo monotonna i składała się w głównej mierze z produktów zbożowych. Jej podstawę stanowiły chleb oraz piwo, uzupełniane warzywami uprawianymi w przydomowym ogródku, a także – jeśli ktoś miał kozy – serem i mlekiem. Mięsa, stanowiącego pokarm zamożnych, większość populacji nie jadała w ogóle, za źródło białka zwierzęcego mając ryby. Co odważniejsze i silniejsze jednostki mogły jednak polować (w Kemet nie istniało pojęcie kłusownictwa).

Piwo pijali w Egipcie wszyscy, nawet dzieci. Powód był prozaiczny – silnie zanieczyszczona nilowa woda nie nadawała się do spożycia bez przegotowania i przefiltrowania. Dopiero przepuszczona przez aparaturę browarniczą przestawała być trucizną. Ujawniał się tu kolejny paradoks Kemet. Życiodajny Nil był zarazem przekleństwem. Brodzący w trakcie pracy w wodzie i błocie chłopi masowo zarażali się pasożytami żyjącymi w mętnych nurtach świętej rzeki. Badania zachowanych do naszych czasów mumii wykazują, że przeważająca część populacji kraju faraonów cierpiała na schistosomatozę. Źródłem zakażeń były żyjące w nadrzecznych mokradłach ślimaki. Wywołujące schorzenie pasożyty przenosiły się z mięczaków na ludzi, stając się przyczyną anemii, zakażenia dróg moczowych i osłabienia odporności. Często znajdywane w mumiach są też ślady riszty – pasożyta powodującego wrzody na nogach.

Codzienność w Kemet stanowiły problemy dentystyczne. O ile z powodu braku rafinowanego cukru w diecie próchnica prawie nie występowała, o tyle powszechne były uszkodzenia uzębienia spowodowane jego

Życiodajny Nil był zarazem przekleństwem. Brodzący w trakcie pracy w wodzie i błocie chłopi masowo zarażali się pasożytami

starciem. Znalezienie w Egipcie kogoś z nienaruszonymi zębami zakrawałoby na cud, a powód tej plagi jest banalnie prosty. Jak wspomnieliśmy, Egipcjanie żywili się głównie chlebem, a niestety w trakcie mielenia zboża na żarnach do mąki dostawał się piasek, a nawet drobne kamienie! W efekcie powstałe z niej bochenki ścierały szkliwo, a nawet można było złamać sobie na nich ząb. Odsłonięcie miazgi zęba, prędzej czy później dotykające z powodu takiej diety każdego poddanego faraonów, prowadziło do powstawania ropni. Medycy co prawda umieli je nacinać i wysuszać, ale powodowany przez owe zmiany ból często był traktowany jako zwykła część życia, co doprowadzić mogło do katastrofalnych konsekwencji w postaci dostania się ropy w głąb kości lub zatrucia przez nią mózgu, co kończyło się śmiercią.

Przedstawione problemy zdrowotne stanowią tylko niewielki wycinek tego, z czym borykali się egipscy chłopi. W obliczu całej masy chorób, które ich dotykały, ekstremalnie krótka średnia długość życia mieszkańców Kemet przestaje dziwić, zwłaszcza że niewielu z nich miało dostęp do opieki medycznej z prawdziwego zdarzenia. Tymi, którzy posiadali odpowiednią wiedzę w tej dziedzinie, byli w przeważającej mierze kapłani srodze sobie liczący za usługi – ceną terapii mogło być nawet ufundowanie nowej kaplicy! Przeciętny Egipcjanin leczył się u znachora lub znachorki, choć funkcjonowali też świeccy medycy, ale podobnie jak w przypadku tych świątynnych srogo sobie liczyli za pomoc. Przynajmniej pod jednym względem egipscy chłopi nie musieli się martwić – w ich czasach bardzo dobrze radzono już sobie ze złamaniami. Uczeni badający znalezione mumie odkryli w nich ślady po profesjonalnie złożonych kościach, które zrosły się tak dobrze, że tylko oko wytrawnego patologa było w stanie je wychwycić.

Jak widać, życie w starożytnym Egipcie było dla większości jego populacji pełne bólu i znoju. Dlatego gdy w trakcie egzotycznej wycieczki podziwiać będziemy piramidy, pomyślmy o tych ludziach z przeszłości, którzy tak łatwo giną w ich cieniu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

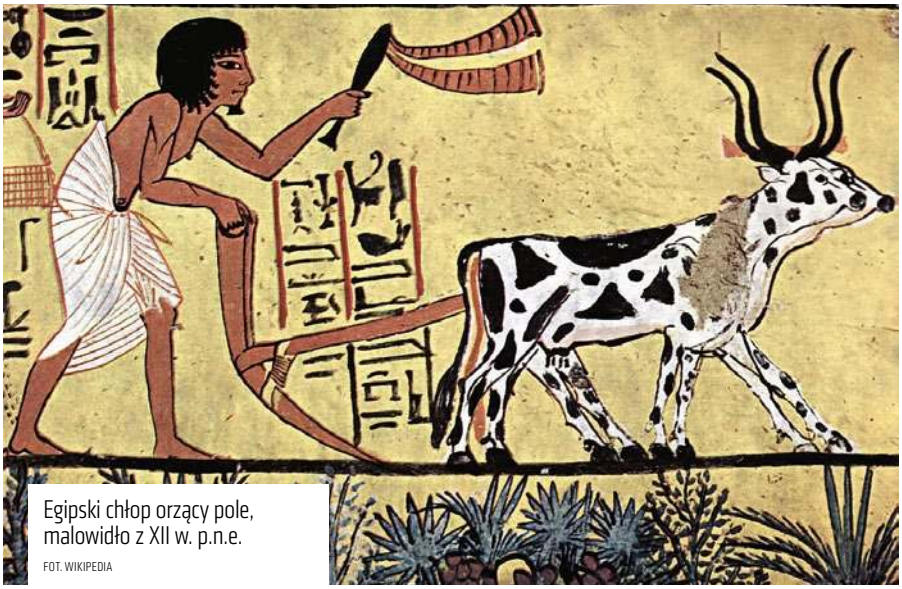

Egipski chłop orzący pole, malowidło z XII w. p.n.e.

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl df5dd0fcf6

1939–1945 / Kinematografia dla „podludzi”

Filmowe gwiazdy okupacyjnej nocy

Piotr Kitrasiewicz

W czasie wojny odbyły się premiery kilku polskich filmów, co miało wytworzyć wrażenie, że „poddani” Hansa Franka nie są dyskryminowani pod względem kulturalnym. Hitem kin przeznaczonych dla Polaków był w GG „Testament profesora Wilczura”

Jesienią 1939 r., po zainstalowaniu administracji niemieckiej na podbitych terenach II RP, Hitler oznajmił jednoznacznie swoim współpracownikom: żadnej kultury dla Polaków! Wolą wodza III Rzeszy było, aby słowiańska „niższa rasa” całkowicie skupiła się na prostej pracy fizycznej na rzecz okupanta. W związku z tym – żadnych kin ani teatrów. Żadnych muzeów ani galerii sztuki. Jednak dla władz Generalnego Gubernatorstwa z Hansem Frankiem na czele dyrektywa ta okazała się nieco kłopotliwa. Woleli bowiem, żeby zniewolony przez nich naród korzystał z rozrywek, chodził do kin, teatrzyków rewiowych oraz na imprezy taneczne, zamiast nudzić się i jeszcze bardziej „spiskować” przeciwko okupantowi. W wyniku rozmów na ten temat z Himmlerem i Göringiem, a także z samym Hitlerem Frank i ministrowie z jego rezydującego w Krakowie „rządu” otrzymali zgodę na uruchomienie kin dla Polaków i wyświetlanie w nich „mało wartościowych” filmów, głównie niemieckich oraz takich, które ukazywałyby potęgę sił zbrojnych Rzeszy.

„Złota maska”, wyświetlana od września 1940 r., cieszyła się sporym powodzeniem polskiej publiczności

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

W praktyce jednak zalecenia tego nie przestrzegano do końca. Wprawdzie kina dla miejscowej ludności w okupowanej Polsce (z wyłączeniem Żydów, którym zakazano wchodzenia do kin) zalała istna powódź niemieckich produkcji – sporadycznie pokazywano także filmy włoskie, hiszpańskie i węgierskie – ale ich repertuar nie różnił się tak bardzo od tego, co pokazywano w samych Niemczech. Wyświetlono nawet w polskich kinach dwa wybitne filmy Georga Wilhelma Pabsta: „Komediantów” i „Paracelsusa”. Wyjątkiem były antypolski „Heimkehr” (żeby nie prowokować Polaków) oraz niektóre tytuły antyangielskie.

W pewnych przypadkach nastąpiło nawet swoiste odwrócenie ról. W 1944 r. na ekrany polskich kin wszedł niemiecki „Titanic”, którego nie zdecydowano się wprowadzić na ekrany Rzeszy, bo sceny paniki pasażerów na tonącym statku za bardzo mogły kojarzyć się Niemcom z paniką, której doznawali w wyniku bombardowań alianckich. Tak przynajmniej uznał Goebbels. Przy milczącej zgodzie Hitlera urzędnicy aparatu administracyjnego Generalnego Guber-

eprasa.pl df5dd0fcf6

natorstwa zezwolili na wprowadzenie na ekrany również kilku filmów przedwojennej polskiej produkcji oraz tych, które nie doczekały się premiery ze względu na wybuch wojny.

„Zapomniana melodia”

Próbę reaktywowania polskiej kinematografii podjął Jan Fethke, reżyser i scenarzysta, syn Polki i Niemca z Opolszczyzny (biegle mówił i pisał po polsku, niemiecku, francusku oraz w esperanto), który już na początku okupacji otrzymał status Reichsdeutscha. Przed wojną zasłynął jako współreżyser i współautor scenariusza uroczej komedii muzycznej „Zapomniana melodia”, jednej z najlepszych, które wydała nasza kinematografia tamtych lat. Po przeżyciach wojennych (podczas realizacji filmu dla bawarskiej wytwórni został aresztowany przez gestapo i skazany na cztery lata ciężkich robót) przyjął obywatelstwo polskie i nakręcił m.in. komedie socrealistyczne „Irena do domu” oraz „Sprawa do załatwienia”. Pod koniec lat 50. wyjechał do Berlina Zachodniego, gdzie współpracował z Fritzem Langiem przy realizacji „Tysiąca oczu doktora Mabuse”, mrocznego dramatu sensacyjnego opartego na wątkach jednej z powieści Fethkego napisanej w esperanto w latach 20.

Fethke usiłował namówić niemieckie władze do wydania zgody na wznowienie pracy niektórych polskich przedwojennych wytwórni i wydawało mu się, że jest na dobrej drodze. Na początku okupacji, w wywiadzie dla gadzinowego „Nowego Kuriera Warszawskiego”, kreślił pełen optymizmu obraz przyszłości polskiej kinematografii pod niemieckim protektoratem. „Warunki mamy. Trzeba tylko pracy, pracy, pracy” – mówił w euforii Jan (Johann) Fethke, licząc być może, że to właśnie jemu przypadnie rola kierownika dziesiątej muzy w GG. Jednak po konsultacji na ten temat władz okupacyjnych z Berlinem spotkał się z odmową. Polakom odmówiono prawa do tworzenia filmów. Po kilku miesiącach sytuacja zmieniła się o tyle, że Niemcy wyrazili zgodę na wprowadzenie na ekrany filmów gotowych, które nie doczekały się premiery, oraz na dokończenie prac nad produkcjami przerwanymi przez wojnę.

Dymsza rozbawiał

Pierwszym takim obrazem był „Sportowiec mimo woli”, z Adolfem Dymszą w roli tytułowej. Wszedł on na ekrany krakowskich kin dla Polaków 31 maja 1940 r., a następnie trafił do innych miast, takich jak Warszawa, Radom, Kielce i Lublin. Zdjęcia rozpoczęto jeszcze w lutym 1939 r., kiedy to reżyser Mieczysław Krawicz wyjechał wraz z ekipą do Zakopanego, gdzie odbywały się właśnie mistrzostwa świata w narciarstwie klasycznym. W tytułowej roli obsadzono Adolfa Dymszę, dla którego scenariusz napisał specjalnie Marek Libkow, właściciel wytwórni Libkow-Film. Nazwisko króla polskich komików oraz scenariusz oparty na konwencji pomyłek gwarantowały sukces, jeśli nie artystyczny, to przynajmniej komercyjny. Producenci zapewnili filmowi szeroką reklamę, a Polska Agencja Telegraficzna napisała o nim:

„Fabularną miksturę »Sportowca...« przyrządzono ze sprawdzonych składników, gwarantujących powodzenie u widowni. Są więc zabawne nieporozumienia, wątek miłosny i humorystyczne zapętlenia intrygi, które w ostatniej chwili znajdują szczęśliwie rozwiązanie”.

Prym na ekranie wiódł Dymsza, a towarzyszyli mu Aleksander Żabczyński, Ina Benita, Ludwik Sempoliński, Helena Buczyńska, Józef Orwid, Mieczysława Ćwiklińska i inni. Także aktor teatralny i rewiowy Wojciech Ruszkowski, w którym zakochała się Benita, porzucając męża, operatora Stanisława Lipińskiego. Muzycznym przebojem obrazu była piosenka „Na cześć młodości wszyscy razem”, z muzyką Henryka Warsa i słowami Ludwika Starskiego, a sam film wprost tryskał radością i optymizmem, chociaż niektóre aktorskie popisy Dymszy okazały się jak zwykle trywialne, żeby nie powiedzieć – prostackie, a humor momentami brzmiał po prostu głupkowato. Film zawierał ujęcia pokrytych śniegiem Tatr, a część zdjęć nakręcono na Kasprowym Wierchu oraz w jadącej na szczyt kolejce linowej. Zdjęcia atelierowe oraz prace laboratoryjne (montaż, udźwiękowienie itp.) trwały do późnej wiosny, premierę zaplanowano na koniec września...

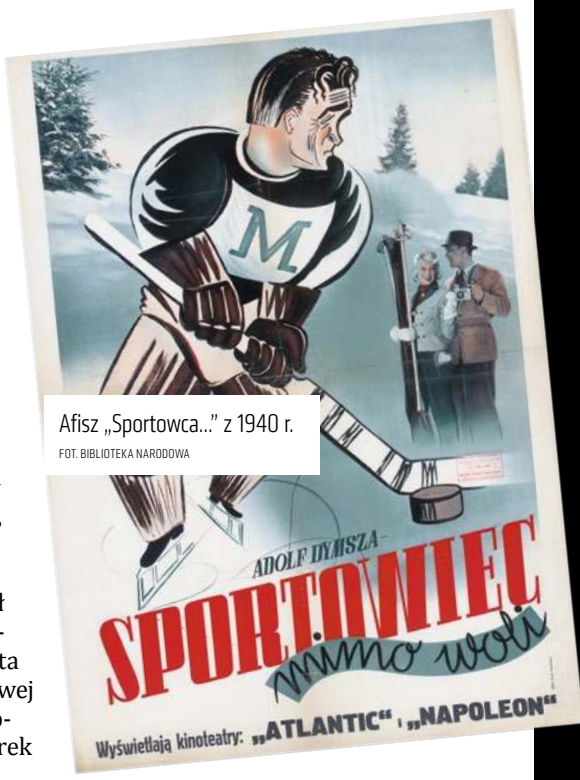

Afisz „Sportowca...” z 1940 r.
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Film wszedł na ekrany dopiero późną wiosną roku 1940. Pomimo propagowania wśród Polaków hasła „Tylko świnie siedzą w kinie” „Sportowiec mimo woli” stał się przebojem okupacyjnego rynku filmowego. Wykreowany przez Krawicza i jego ekipę wesoły i beztroski nastrój udzielał się publiczności, której na co dzień daleko było do śmiechu. Jednak dzięki magii ekranu widzowie mogli zapomnieć na półtorej godziny o okupacyjnej grozie panującej na zewnątrz budynku kina. Na słupach afiszowych reklamy tego filmu sąsiadowały z obwieszczeniami o zakładnikach i egzekucjach oraz z zarządzeniami okupanta, co wytwarzało silny dysonans emocjonalny.

Znajome twarze, swojskie kąciki

Kolejnym filmem Mieczysława Krawicza, który wszedł na ekrany podczas okupacji, była komedyjka

eprasa.pl df5dd0fcf6

„Ja tu rządzę", jedno z najsłabszych dzieł w dorobku tego reżysera. I w nim gwiazdą była jego ulubiona aktorka Ina Benita, a partnerowali jej m.in. Zbigniew Rakowiecki, Mieczysława Ćwiklińska, Władysław Grabowski i Józef Orwid. Scenariusz powstał na podstawie powieści Wincentego Rapackiego (syna) „Pani majstrowa" oraz sztuki tego samego autora pt. „Ja tu rządzę". Fabuła scenariusza została osnuta wokół losu młodego, rozhulanego paniczyka, hrabiego Lulewicza pracującego w… zakładzie szewskim. Arystokrata zatrudnił się w nim, by zostać czeladnikiem, na złość matce, która nie chciała dać mu funduszy na założenie teatrzyku muzycznego. A terminując – oczywiście anonimowo – u szewca Kopytkiewicza, zakochał się w jego córce…

Tandetne komedyjki Rapackiego stały się podstawą kiczowatego scenariusza, którego nie udźwignęli ani aktorzy, ani reżyser. Film miał premierę 6 grudnia 1941 r. i nie wzbudził entuzjazmu. Nawet anonimowy recenzent „Nowego Kuriera Warszawskiego", zwykle chwalącego nowe filmy w okupacyjnych kinach, pisał o „nieumiejętnej reżyserii" oraz fabule pełnej „naiwności i przejaskrawień". Jak dodał jednak: „Miłym urozmaiceniem akcji jest podkład muzyczny w postaci melodyjnych piosenek w wykonaniu chóru Dana, który w filmie tym występuje w całym swoim zespole […], nie jest to film pierwszorzędny, nie można go zaliczyć do szlagierów, ale przecież od czasu do czasu miło jest popatrzeć na coś swojskiego".

Ostatnie słowo odnosiło się do rodzimych filmów, o które recenzent ośmielił się upomnieć, stwierdzając: „Filmy produkcji polskiej widujemy obecnie na ekranie bardzo rzadko, więc chociaż te, co idą, nie są nadzwyczajne, witamy je z przyjemnością. Widzimy w nich znajome twarze, znajome kąty i kąciki Warszawy, no i przez dwie godziny żyjemy wspomnieniami naszego przedwojennego życia. Czyżby nie można pokazać publiczności warszawskiej więcej obrazów z rodzimej produkcji, która przecież w ostatnich latach wyprodukowała sporo dobrych filmów?".

Hitem kin przeznaczonych dla Polaków był w GG „Testament profesora Wilczura"

FOT. BIBLIOTEKA JAGIELLOŃSKA

Ostatnie zdanie było już ewidentnym kłamstwem i próbą wprowadzenia w błąd czytelników, gdyż recenzent nie mógł nie wiedzieć, że żadna „rodzima produkcja" nie istniała podczas okupacji, a nieliczne polskie nowe filmy powstały tuż przed wojną. Niemcy jednak chcieli podtrzymywać ułudę (głównie na użytek zagranicy), że życie w GG toczy się pod okupacją Wielkiej Rzeszy w sposób cywilizowany, Polakom nie dzieje się krzywda, a nawet – podobnie jak Czesi w Protektoracie Czech i Moraw – mogą oni produkować własne filmy.

Melodramaty z happy endem

Mający u Niemców pewne względy Jan Fethke zmontował i udźwiękowił dwa filmy, których nie zdążył ukończyć przed 1 września 1939 r. Pierwszy z nich to „Złota maska", oparty na wątkach dwóch powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza: tytułowej „Złotej maski" oraz „Wysokich progów". Film był melodramatem z popularnym w przedwojennym kinie polskim wątkiem mezaliansu. Opowiadał o związku małżeńskim aktoreczki (córki rzeźnika) z tytułowej rewii z przystojnym ziemianinem z hrabiowskim tytułem. Z czasem relacje pomiędzy żoną a mężem popsuły się wskutek zdrad tego ostatniego. Magda zdecydowała się odejść od Ksawerego i wrócić pod ojcowski dach, ale mocno urażony w swojej rodzicielskiej ambicji Antoni Nieczaj, który nie zaakceptował samodzielności córki i jej związku z arystokratą, kazał jej iść precz. Pozostawiona sama sobie młoda kobieta była bliska samobójstwa, ale…wszystko skończyło się dobrze.

Happy end, profesjonalna realizacja Fethkego, scenariusz jego autorstwa zręcznie łączący wątki obu powieści Dołęgi-Mostowicza, a także swojskie twarze przedwojennych gwiazd ekranu (wystąpili m.in. Lidia Wysocka, Aleksander Żabczyński, Mieczysława Ćwiklińska) sprawiły, że film – wyświetlany od 14 września 1940 r. – cieszył się sporym powodzeniem u polskiej publiczności.

Podobne zainteresowanie wzbudził kolejny melodramat Fethkego, mający premierę 31 października tego samego roku. Nosił tytuł „Przez łzy do szczęścia", a jego scenariusz był oryginalnym, autorskim dziełem reżysera. Tym razem wątek miłości lekarza i sławnej aktorki został pogłębiony o psychologiczne tło sierocińca w małym miasteczku, pod którego dachem rozgrywa się większość fabuły. Rozdarcie uczuciowe pomiędzy zakochanymi wywołuje nie „ten drugi" czy „druga", lecz dzieciarnia, spora grupa podopiecznych doktora Mankiewicza, z którą nie chce się rozstać. Aktorka z kolei nie zamierza porzucić swojej kariery i zamieszkać na prowincji. Znowu fabuła ociera się o ciężką, bliską śmierci chorobę, lecz podobnie jak w „Złotej masce" i w tym filmie zwycięża tytułowe „szczę-

eprasa.pl df5dd0fcf6

ście". Trzeba przyznać Janowi Fethkemu, że wszystkie komplikacje psychologiczne i społeczne, którym poddawał swoich bohaterów, potrafił w finale wyprostowywać i wygładzać, przez co jego fabuły kończyły się nieczęstym w polskim melodramacie happy endem.

W tytułowych kochanków wcielili się Irena Malkiewicz-Domańska i Franciszek Brodniewicz, a obok nich wystąpili Tamara Wiszniewska, Józef Orwid i Mieczysława Ćwiklińska. Brawurowo zagrali mali aktorzy – mieszkańcy sierocińca.

Antypolskiego filmu „Heimkehr" wyjątkowo nie włączono do repertuaru polskich kin, żeby nie prowokować Polaków FOT. NAC

Pokłosie „Znachora"

Okupacyjnym przebojem kin przeznaczonych dla ludności polskiej był „Testament profesora Wilczura", czyli kontynuacja wątków zawartych w filmach Michała Waszyńskiego „Znachor" (1937) i „Profesor Wilczur" (1938), opartych na powieściach Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. Tym razem nie była to ekranowa adaptacja powieści, bo w książkowym wydaniu Dołęga-Mostowicz zakończył losy bohatera jego śmiercią w „Profesorze Wilczurze". Napisał jednak oryginalny scenariusz ukazujący dzieje niektórych postaci z poprzednich tytułów, tworząc także rolę dla siebie. Pojawił się w filmie w drugorzędnej roli Autora, obejmując także kierownictwo artystyczne produkcji. Niestety, nie wiemy, jak pisarz sprawdził się jako aktor, ponieważ kopie filmu, jak również jego negatyw się nie zachowały. A wielka szkoda, gdyż byłby to jedyny obraz ukazujący „żywego" Dołęgę-Mostowicza – twórca „Kariery Nikodema Dyzmy" zginął bowiem 20 września 1939 r. w Kutach na pograniczu polsko-rumuńskim od sowieckich kul jako żołnierz WP.

Scenarzysta poprowadził dalej wątek, opierając się na postaci Jemioła, filozofa włóczęgi, który stał się bezpośrednim sprawcą amnezji Rafała Wilczura w „Znachorze", a w „Profesorze Wilczurze" został jego współpracownikiem. Rolę Jemioła kontynuował Jacek Woszczerowicz, ponadto wystąpili znani z poprzednich części Józef Węgrzyn (prof. Dobraniecki) i Mieczysława Ćwiklińska (Szkopkowa). W głównych rolach kobiecych wystąpiły tym razem Tamara Wiszniewska i Helena Grossówna. Film wyreżyserował Leonard Buczkowski, który w przedwojennej kinematografii zasłynął wprowadzeniem na ekran wątków lotniczych i morskich (np. w „Gwiaździstej eskadrze" i „Rapsodii Bałtyku"), co miało promować wyposażenie sił zbrojnych II RP w samoloty bojowe i wodnopłatowce jako nowoczesne i nieustępujące Zachodowi.

Buczkowski zakończył realizację „Testamentu profesora Wilczura" latem 1939 r. Gdy wybuchła wojna, film nie był jeszcze gotowy do pokazu. Trzeba było dokończyć montaż i udźwiękowić materiał. „Testament profesora Wilczura" wszedł na ekrany kin przeznaczonych dla Polaków 27 stycznia 1942 r. i stał się największym okupacyjnym hitem. Przed kasami ustawiały się kolejki, a „koniki" oferowały bilety po paskarskich cenach. Niestety, film zaginął tuż po wojnie. Z nielicznych zachowanych zdjęć nie możemy rzecz jasna powiedzieć niczego o poziomie artystycznym całości.

Ryzykowna aluzja

Najlepsze swoje filmy Leonard Buczkowski nakręcił w okresie powojennym. Był najbardziej obiecującym twórcą filmowym z tych, którzy przeżyli wojnę i z powodzeniem kontynuowali karierę w kraju po roku 1945. Pod jego reżyserską batutą powstały znane do dzisiaj cenione obrazy: „Zakazane piosenki" (1946), „Skarb" (1948), „Przygoda na Mariensztacie" (1953), „Orzeł" (1958), „Przerwany lot" (1964), „Marysia i Napoleon" (1966) i inne. Jednak podczas okupacji nakręcił on kilka krótkometrażówek dla Niemców. Nie były to filmy propagujące „nowy ład" na ziemiach zagarniętych przez hitlerowców i nie powstały na zlecenie funkcjonariuszy aparatu administracyjnego Generalnego Gubernatorstwa. Buczkowski zrealizował je na zamówienie firm handlowych, reklamując ich produkty. Po wojnie stanął z tego powodu przed Komisją Weryfikacyjną Związków Realizatorów Filmowych, która wymierzyła mu karę raczej symboliczną: zabroniono mu podpisania własnym nazwiskiem filmu „Skarb". Do dzisiaj w oryginalnej czołówce tej uroczej komedii o perypetiach młodych małżonków w podnoszącej się z gruzów Warszawie widnieje przy funkcji reżysera pseudonim Marian Leonard, złożony z imion Buczkowskiego.

Warto jednak zaznaczyć, że w jednej z reklamówek nakręconych dla Niemców reżyser dokonał ryzykownej aluzji. Pokazał mianowicie furmanki chłopskie wiozące zboże w kierunku zachodzącego słońca. Czyli na zachód, a więc – do Rzeszy. Wiadomo było, że Niemcy wywożą polskie ziarno i płody rolne do swojego kraju, podczas gdy ludność okupowanej Polski cierpi głód, nikt jednak – rzecz jasna – nie ukazał tego na ekranie. Ale okupanci nie poznali się na ekranowej aluzji i całe szczęście, bo metaforyczna scena w krótkometrażówce Buczkowskiego mogła zakończyć się dla niego tragicznie – w najlepszym razie osadzeniem w obozie koncentracyjnym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl df5dd0fcf6

1941–1945 / Od Bukowiny do Francji

Ukraińcy w Babim Jarze i Chatyniu

Memoriał w spacyfikowanej wsi Chatyń

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ACCA 1983

Arkadiusz Karbowiak

Działacze wywodzący się z melnykowskiej frakcji OUN byli członkami kolaboracyjnej jednostki, która dokonywała zbrodni. Pod koniec wojny zwrócili się we Francji przeciw Niemcom

Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej doprowadził do aktywizacji podziemnych struktur obu odłamów OUN (menlykowców i banderowców). Taka sytuacja miała miejsce m.in. w Bukowinie. Tamtejszymi strukturami melnykowskiego skrzydła OUN kierował Petro Wojnowski, były porucznik armii rumuńskiej (Bukowina Północna do 1940 r. należała do Rumunii). Wojnowski stworzył grupę partyzancką liczącą ok. 20 osób. Do momentu opuszczenia rejonu wyżnickiego przez Armię Czerwoną przeprowadziła ona kilkanaście drobnych akcji sabotażowo-dywersyjnych wymierzonych w Sowietów. 5 lipca 1941 r. wzmocniony o kolejne 20 osób oddział Wojnowskiego zaatakował we wsi Milijewe mieszkających tam Żydów, postrzeganych przez ukraińskich konspiratorów jako zwolenników władz bolszewickich. W masakrze zginęło 118 osób. Próba powtórzenia podobnej akcji we wsi Ispas spotkała się ze sprzeciwem naczelnika wsi. Do antyżydowskich operacji melnykowców doszło natomiast w co najmniej ośmiu bukowińskich wsiach, m.in. w Boriwcach (45 ofiar) i Kyseliwie (54 zabitych).

Wojnowski nie brał w nich udziału, a 6 lipca wrócił do Czerniowiec, gdzie rozpoczął werbunek do melnykowskich struktur paramilitarnych. OUN-owcy podjęli w tej kwestii rozmowy z Niemcami oraz Rumunami, mając świadomość,

eprasa.pl df5dd0fcf6

że ci ostatni, przejmując Bukowinę, nie będą tolerować – co zresztą sygnalizowali – działalności na swym terytorium ugrupowań nacjonalistów ukraińskich. Dlatego kierownictwo OUN-M zdecydowało się na umiejscowienie swych członków w tzw. grupach pochodnych, które na terenach Ukrainy miały budować struktury państwowe. Z formalnego punktu widzenia była to podróż w jedną stronę, władze rumuńskie pozbawiły bowiem opuszczających Bukowinę OUN-owców obywatelstwa, co uniemożliwiało im w przyszłości legalny powrót.

Wojnowski zebrał wokół siebie 100 ochotników, którzy 3 sierpnia wyruszyli pieszo do Śniatynia. Dotarli tam także inni bukowińscy ochotnicy. Ich liczba była na tyle duża, że dawała możliwość stworzenia 500-osobowego Kurenia Bukowińskiego (w większości nieuzbrojonego), pod dowództwem sotnyka Petra Wojnowskiego. Członkowie kurenia – studenci, a także ludzie świata nauki, nauczyciele, artyści, agronomowie, lekarze, studenci, chłopi i robotnicy – przemieszczali się na wschód przez Kamieniec Podolski, Żmerynkę, Winnicę, Żytomierz, Berdyczów aż do Kijowa. W napotkanych miejscowościach budowali ukraińskie struktury administracyjno-policyjne, pozostawiając w nich swoich ludzi.

Obok bukowińców podobną jednostkę, nazywaną Kureniem Kijowskim, stworzył kpt. Petro Zachwaliński, były oficer armii URL, późniejszy komendant policji ukraińskiej w Kijowie. Po dotarciu do Kijowa ten liczący ok. 700 ludzi oddział połączył się z przybyłym tam nieco później Kureniem Bukowińskim. To właśnie z jego szeregów wywodzili się pierwsi członkowie policji ukraińskiej w Kijowie. Siły ukraińskie wzmocnili przybyli do ukraińskiej stolicy w listopadzie 1941 r. Galicjanie, zwiększając liczebność kurenia do 1,5–1,7 tys. osób.

Horror w Babim Jarze

Tuż po zajęciu miasta w dniach 29–30 września Niemcy dokonali w Babim Jarze masakry ponad 33 tys. Żydów. Od lat trwa dyskusja nad prawdopodobnym udziałem w tej zbrodni członków

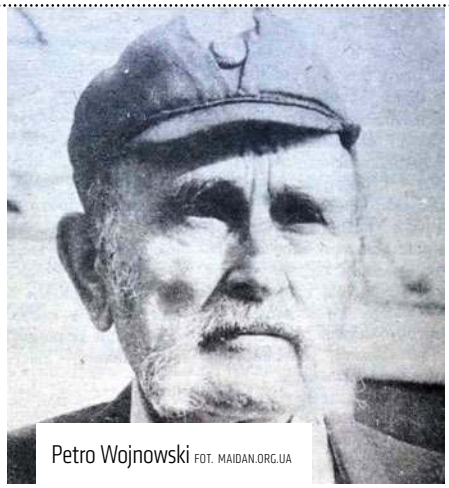

Petro Wojnowski FOT. MAIDAN.ORG.UA

Kurenia Bukowińskiego. Nie sposób wykluczyć ani potwierdzić ewentualnego uczestnictwa kurenia w masakrze. Nie ulega natomiast wątpliwości, że na miejscu zbrodni byli obecni ukraińscy policjanci (wykonywali oni zadania pomocnicze, głównymi egzekutorami byli bowiem Niemcy z Einsatzkommando 4a i 45. batalionu policji). Potwierdzają to nie tylko relacje żydowskie, lecz także OUN-owskie. Przykładowo policjantem skierowanym do pilnowania rzeczy po zamordowanych był melnykowiec Roman Bida (dzięki temu udało mu się uratować żydowską kobietę wraz z dzieckiem). Obecny na miejscu był też Stepan Fedak, pełniący funkcję tłumacza, który w 1921 r. przeprowadził we Lwowie zamach na Józefa Piłsudskiego.

W połowie listopada 1941 r. zakończyła się pokojowa koegzystencja niemiecko-ukraińska. 17 listopada Niemcy zdelegalizowali kijowską Ukraińską Radę Narodową. Później dokonali masowych aresztowań uczestników manifestacji pod Bazarem, upamiętniającej żołnierzy biorących udział w II Kampanii Zimowej armii URL w 1921 r. Zatrzymano ok. 200 osób, z których kilkadziesiąt rozstrzelano, m.in. Jurija Oriszczenkę, burmistrza Żytomierza. 12 grudnia doszło do aresztowania członków redakcji „Nowego Słowa," a redaktor naczelny, Iwan Rohacz, choć początkowo zwolniony, został – po ponownym aresztowaniu – stracony ze swoimi współpracownikami. Jego los podzielili znana poetka oraz działaczka OUN-M Ołena Teliha, aresztowana 9 lutego 1942 r., oraz wspomniany Roman Bida. Wszyscy oni znaleźli się w grupie ok. 1 tys. melnykowców straconych przez Niemców w czasie drugiej wojny światowej.

Pomimo represji wielu działaczy OUN-M, w tym również członków Kurenia Bukowińskiego, wstąpiło w szeregi tworzących się batalionów policyjnych Schutzmannschaft, które podporządkowane były Orpo – niemieckiej policji porządkowej. Pierwszą jednostką tego typu powstałą w Kijowie był 115. batalion Schuma. Składał się on z jeńców sowieckich pochodzenia ukraińskiego, a także z byłych członków rozwiązanego Kurenia Bukowińskiego (choć wielu z nich, jak choćby Petro Wojnowski, nie zdecydowało się na dołączenie do jego szeregów).

W styczniu/lutym 1942 r. schutzmani zostali odziani w mundury armii litewskiej oraz wyposażeni w broń sowieckiego pochodzenia. Zabroniono im natomiast noszenia żółtoniebieskich opasek oraz nakazano usunięcie początkowo akceptowanych trójzębów. Zamiast nich przydzielono im białe opaski, na których wypisane były numery przydzielone poszczególnym funkcjonariuszom. W maju/czerwcu 1942 r. do batalionu wstąpiła liczna grupa młodych Ukraińców z roczników 1924 i 1925, skierowanych początkowo do pracy przymusowej w Niemczech. Jednostka liczyła 350 ludzi. 27 sierpnia wieczorem schutzmani opuścili Kijów i 30 sierpnia dotarli do Mińska, by dwa dni później trafić do obozu szkoleniowego w Melicie, kilkanaście kilometrów od miasta. Rozpoczął się proces intensywnego szkolenia. Dopiero w grudniu i styczniu ochotnicy podpisali roczne kontrakty służby w policji oraz złożyli przysięgę.

Krzyż Zasługi Legionu Bukowińskiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl df5dd0fcf6

Ofiary zbrodni w Babim Jarze
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JOHANNES HÄHLE

Nieco wcześniej władze niemieckie dokonały w batalionie czystki politycznej. Aresztowano lub usunięto oficerów i podoficerów pochodzących z Galicji i Bukowiny, w sporej części będących członkami OUN-M. Pomimo tego organizacja zachowała w jednostce pewne wpływy. OUN-owcy górowali nad swymi rodakami ze wschodniej Ukrainy poziomem wykształcenia. Rotacje personalne w batalionie spowodowały, że stanowiska dowódcze w batalionie objęli byli oficerowie Armii Czerwonej. Nie zawsze jednak – mimo deklarowania ukraińskości – byli oni z pochodzenia Ukraińcami. Na przykład pierwszy dowódca 115. batalionu Schuma był sowieckim oficerem, Rosjaninem z Kubania o nazwisku Dimitriew. Aby wydostać się z obozu jenieckiego i wstąpić do policji ukraińskiej, przedstawiał się jako Ukrainiec o nazwisku Dmytrenko z Zaporoża, więzień łagrów, gdzie spędzić miał rzekomo 12 lat.

Batalionowi pod jego dowództwem przydzielono jako rejon działania miasto Słonim i okolice. Schutzmanów skierowano do pilnowania obiektów o charakterze strategicznym i gospodarczym. Obowiązki wartownicze wypełniały na ogół dwie kompanie. Jedna z nich, pozostająca w rezerwie, zawsze była w pełnej gotowości, by po otrzymaniu zgłoszenia o pojawieniu się partyzantów wyruszyć do walki z nimi.

Skala strat ponoszonych nawet podczas dużych akcji antypartyzanckich – takich jak choćby przeprowadzona na Nowogródczyźnie od 11 lipca do 13 sierpnia 1943 r. operacja „Hermann" – była relatywnie niewielka. Obok 115. batalionu uczestniczył w niej siostrzany ukraiński batalion 118. Schuma. Powstał on latem 1942 r., a jego zaczynem była złożona w 75 proc. z Galicjan i bukowińców trzecia kompania 115. batalionu, która stała się następnie pierwszą kompanią 118. batalionu. Kompania ta, wraz ze złożoną ze wschodniaków trzecią kompanią, stanowiły w latach 1943–1944 swoiste batalionowe „mord komando" (druga kompania odpowiedzialna za sprawy logistyczne zazwyczaj nie brała udziału w akcjach). Niemieckim dowódcą jednostki był Erich Körner, major Schutzpolizei, a ukraińskim mjr Konstanty Smowski – były oficer kontraktowy Wojska Polskiego oraz armii URL. Podobnie jak w przypadku 115. batalionu także tutaj jeszcze przed przyjazdem na Białoruś Niemcy dokonali aresztowań melnykowców.

Masakra w Chatyniu

118. batalion od stycznia 1943 r. uczestniczył w akcjach antypartyzanckich połączonych z egzekucjami osób podejrzewanych o pomoc partyzantom. Takie operacje przeprowadzono w Czmelewiczach, Katelach, Zarzeczu, Dalkowicach. Najbardziej krwawą akcją ukraińskich policjantów ze 118. batalionu była pacyfikacja białoruskiej wsi Chatyń. 22 marca 1943 r. partyzanci z oddziału „Mściciele", dowodzonego przez por. Morozowa, dokonali zasadzki na dwa plutony pierwszej kompanii 118. batalionu Schuma. W jednym z samochodów jechał kapitan Schutzpolizei, dowódca pierwszej kompanii Hans Woellke, mistrz olimpijski w pchnięciu kulą (Berlin, 1936). Poległ on wraz trzema ukraińskimi schutzmanami. Sowieci wycofali się do Chatynia, gdzie zwarły się z nimi wezwane na pomoc 118. batalionowi posiłki w postaci 100-osobowego pododdziału z SS-Sonderbatalion Dirlewanger. Walka we wsi zakończona została mordem na 149 mieszkańcach, w tym 75 dzieciach, których spalono w stodole.

Do zamkniętych tam ludzi strzelał z karabinu maszynowego Hrihorij Wasiura, były porucznik Armii Czerwonej, szef sztabu batalionu. Pomimo udziału w tej zbrodni Wasiura po zakończeniu wojny zdecydował się powrócić do ZSRS. Odbył w łagrze karę pozbawienia wolności za kolaborację z wrogiem, po czym stał się przykładnym sowieckim obywatelem. Czując się w latach 80. chyba zbyt pewnie, zaczął się natarczywie domagać nadania mu jakiegoś odznaczenia wojennego, co skłoniło sowieckie organy bezpieczeństwa do bliższego zainteresowania się tą postacią. W konsekwencji przeprowadzonego śledztwa został on rozpoznany jako jeden z głównych sprawców pacyfikacji Chatynia, skazany na śmierć i stracony w 1987 r. w wieku 72 lat. Podzielił tym samym los swego

eprasa.pl df5dd0fcf6

podkomendnego por. Wasilija Mieleszki, dowódcy plutonu pierwszej kompanii, który również został rozpoznany jako zbrodniarz z Chatynia i stanął przed sądem (został stracony w 1976 r.).

Zarówno 115., jak i 118. batalion aż do lata 1944 r. prowadziły działalność pacyfikacyjno-antypartyzancką na terytorium Generalnego Okręgu Białorusi. Do opuszczenia Komistariatu Rzeszy Wschód zmusiła ich dopiero sowiecka ofensywa. Obie jednostki przemieszczono do Prus Wschodnich, zmieniając jednocześnie ich numerację. Batalionowi 115. przydzielono numer 62, a 118. – Numer 63 i włączono je ostatecznie do nowo powstałej 30. Waffen-Grenadier-Division der SS (russische Nr. 2).

We Francji przeciw Niemcom

Dywizja został przeniesiona do Francji i skierowana do walki z francuskim ruchem oporu. 17 sierpnia 1944 r. z Iławy wyruszyły transporty, które dotarły do alzackiego Strasburga. Stamtąd 19 sierpnia 115/62 batalion przemieścił się do Besançon, a potem do koszar w miejscowości Valdahon. Dzień później przybył tam batalion 118/63. O ile Ukraińcy rozumieli konieczność walki z sowiecką partyzantką, o tyle nie widzieli sensu konfrontacji z francuskimi Maquis. Dlatego ukraińska kadra dowódcza batalionu postanowiła nawiązać kontakty z miejscowym niekomunistycznym ruchem oporu.

Nocą 27 sierpnia 1944 r. Ukraińcy rozpoczęli operację przejścia na stronę Francuzów. Niemiecki personel – 11 żołnierzy i oficerów – wyeliminowała specjalnie wybrana 15-osobowa grupa uderzeniowa pod wodzą por. Łuki Fedoriwa. Następnie 464 ukraińskich esesmanów opuściło koszary i zdezerterowało. Byłych policjantów przyjęto w szeregi FFI – Forces françaises de l'Intérieur (Francuskie Siły Wewnętrzne). Jednostce, w której służyli, nadano nazwę 2. Ukraiński Batalion FFI (nieformalnie jego członkowie nazywali go batalionem im. Tarasa Szewczenki), a dowódcą został mjr Victor Petit. 31 sierpnia 1944 r. Ukraińcy zorganizowali pod Gonsans zasadzkę na niemiecki konwój, w wyniku

O ile Ukraińcy rozumieli konieczność walki z partyzantką sowiecką, o tyle nie rozumieli sensu konfrontacji z francuską partyzantką Maquis

której poległo ośmiu Niemców. Kolejną operacją bojową był szturm na miasto Pontarlier. 5 września 1944 r. zdobyli je strzelcy z 3. Algierskiej Dywizji Piechoty, wspierani przez Ukraińców. Podczas niezbyt intensywnych starć w mieście zginął ukraiński żołnierz. Znacznie bardziej krwawe żniwo przyniosły zmagania mające miejsce tego samego dnia w okolicy Chaux-lès-Passavant. Zginęło tam sześciu ukraińskich ochotników (siódmym wymienianym poległym był Francuz Luis Bez), a pięciu kolejnych odniosło ciężkie rany. W sumie podczas sierpniowych i wrześniowych walk w 1944 r. w strukturach FFI poległo 10 Ukraińców, a 11 zostało rannych.

Informacje o walczących o wyzwolenie Burgundii ukraińskich partyzantach kolaborantach dotarły do kierownictwa sowieckiej misji wojskowej we Francji. Jej delegacja pojawiła się na uroczystościach pogrzebowych poległych Ukraińców, gdzie namawiała byłych schutzmanów do powrotu do ZSRS. Jednocześnie poprzez naciski polityczne Sowietom udało się skłonić władze francuskie do rozbrojenia ukraińskiego batalionu i skierowania jego żołnierzy do Marsylii celem repatriacji.

Francuscy oficerowie łącznikowi, mając świadomość, jaki los po powrocie do „ojczyzny proletariatu" stanie się udziałem ich ukraińskich towarzyszy broni, zaprowadzili ich do biura werbunkowego Légion étrangère. Na wstąpienie do Legii Cudzoziemskiej zdecydowało się 230 Ukraińców, natomiast 116, głównie pochodzących z Ukrainy Naddnieprzańskiej, postanowiło wrócić do ZSRS. Legioniści po przeszkoleniu w Algierii w bazie Sidi Bel-Abes w marcu 1945 r. trafili na front i brali udział w zdobywaniu Karlsruhe. Po zakończeniu drugiej wojny światowej kontynuowali służbę w Legii Cudzoziemskiej w Wietnamie i w Algierii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Боляновський А. ***„Українські, військові формування в збройних силах Німеччини (1939–1945)";*** *Дерейко І.І. Діяльність,* ***„115/62-го українського батальйону шуцманшафту на теренах Білорусі та Франції в 1942-1944";*** *Дуда А., Старик В. Буковинський* ***„Курінь в боях за українську державність: 1918–1941–1944";*** *Rudling P.A.* ***„Terror and Local Collaboration in Occupied Belarus: The case of Schutzmannschaft Battalion 118. Part Two. War Criminality";*** *Rudling P.A.* ***„Terror and Local Collaboration in Occupied Belarus: The case of Schutzmannschaft Battalion 118. Part One: Background".***

Ukraińscy żołnierze 115. batalionu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl df5dd0fcf6

1913–1985 / Barbara Toporska

Żona swojego męża

Krzysztof Masłoń

W kwestii poglądów była absolutnie bezkompromisowa. Andrzej Bobkowski uważał nawet, że Toporska w swoim antybolszewizmie przewyższała autora „Kontry", i nazywał ją „torpedą"

Przez długie lata ta wybitna postać emigracji polskiej w kraju była w ogóle nieznana, a gdy wreszcie nazwisko jej przebiło się do opinii publicznej, postrzegano ją niemal wyłącznie jako towarzyszkę życia pisarza Józefa Mackiewicza. A przecież była autorką interesujących powieści, wierszy, wielu tekstów publicystycznych, do tego jeszcze malowała.

Pod tym względem sporo się zmieniło, choć zastanawia następujący fragment niedawno opublikowanego szkicu „Barbara Toporska jako pisarka nowoczesna" Pauliny Subocz-Białek i Ireneusza Staronia („Nowy Napis" nr 19/2023): „Barbara Toporska była obok Marii Czapskiej, Evy Hoffman, Stefanii Kossowskiej, Janiny Kowalskiej, Danuty Mostwin, Herminii Naglerowej, Beaty Obertyńskiej, Józefy Radzymińskiej, Zofii Romanowiczowej, Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej czy Stefanii Zahorskiej jedną z najważniejszych pisarek polskiej dwudziestowiecznej emigracji".

Zapewne tak było, niemniej ta litania nazwisk uświadamia nade wszystko to, że literatura emigracyjna wciąż pozostaje nierozpoznaną, a w tak licznym towarzystwie małe są szanse, by dowieść postawionej przez autorów szkicu tezy wskazującej Toporską jako „twórczynię eksperymentalnej prozy psychologicznej oraz oryginalną kobiecą myślicielkę, eseistkę i publicystkę, postać o niezwykle wyrazistej, a zarazem różnorodnej dykcji, ponadto bardzo uważną obserwa-

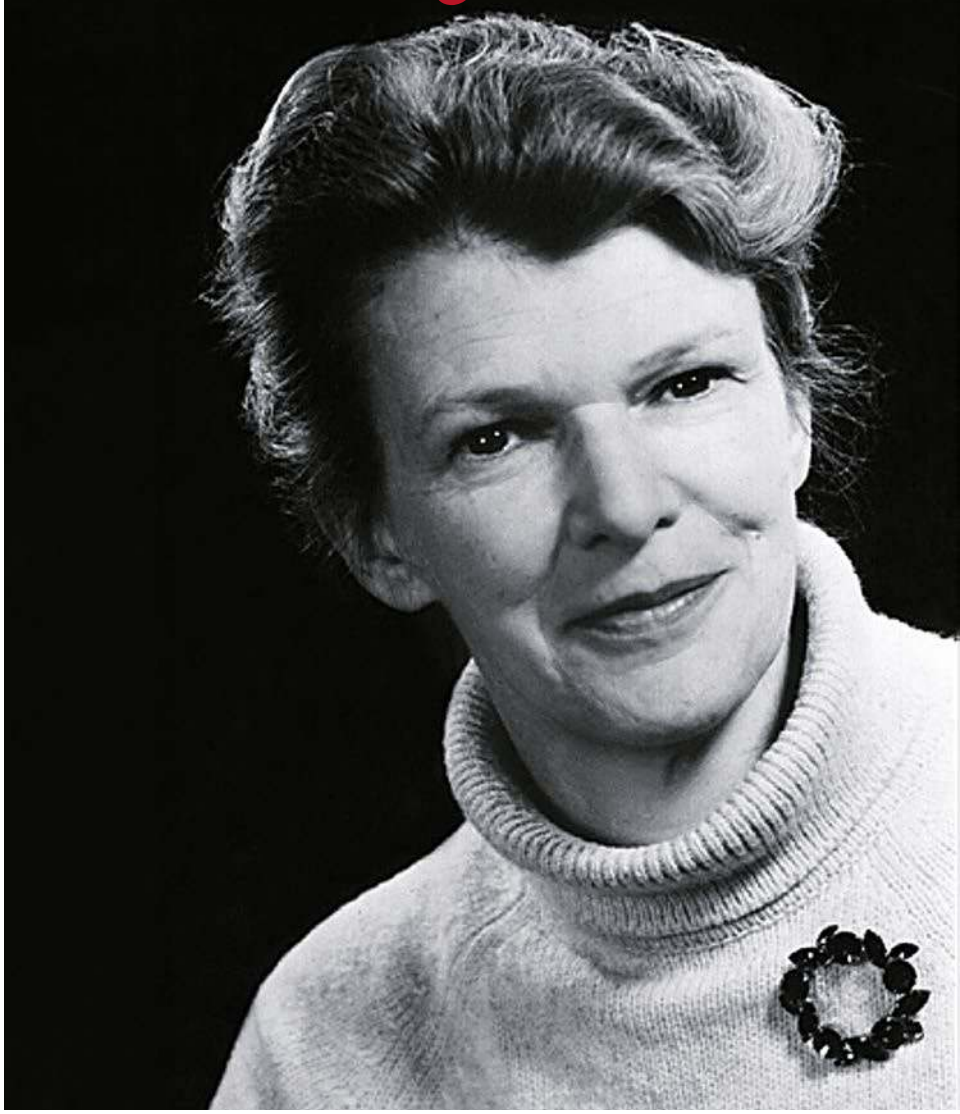

FOT. MUZEUM POLSKIE W RAPPERSWILU

eprasa.pl df5dd0fcf6

torkę i komentatorkę życia społecznego pierwszej i drugiej połowy XX wieku". To ostatnie jest bezdyskusyjne, jeśli jednak chodzi o ocenę wychodzącej spod pióra Barbary Toporskiej prozy i poezji, to nie zawsze była ona pochlebna.

Maria Danilewicz-Zielińska w swoich „Szkicach o literaturze emigracyjnej" poświęciła pisarce niewielką i cierpką notę:

„Ciętą publicystką, doświadczoną prelegentką radiową jest Barbara Toporska, autorka nierównej, obfitującej w dobre fragmenty powieści »Siostry« (»Biblioteka Kultury« 1966) [ta »nierówna« książka uznana została przez Akademię Literacką »Wiadomości« za najlepszą z wydanych w 1966 r. – przyp. K.M.] i tomu opowiadań »Na Wschód od dzisiaj« [naprawdę to dwie powieści: »Poczwarka i motyle« i »Martwe zwierciadło« – przyp. K.M.]. Jej violon d'Ingres jest poezja, warta poznania, choć budząca poważne zastrzeżenia krytyków specjalistów, oskarżających autorkę »Athene noctua« (1973) o sentymentalizm w gatunku reprezentowanym lepiej przez Stanisława Balińskiego i Zofię Bohdanowiczową:

W drodze pytają mnie dobrzy ludzie
Skąd wracam i skąd pochodzę
Jak się nazywa moja ojczyzna?
Mówię czasami: Polska, czasem mówię: Wilno
Czasem mówię: Litwa, albo Wschód i Północ
A jeśli nie chcę kłamać mówię Pięć Pietuchów
Najczęściej jednak tylko się uśmiecham
Wyjmuję papierosa i proszę o ognia.
Bo mojej ojczyzny nie ma
Bo mojej ojczyzny nic i nikt nie wskrzesi
Ale jak to wytłumaczyć w pociągu czy w autobusie?

(„Powrót w Athene noctua", s. 56–57)

Zarówno w prozie, jak i w wierszach Toporskiej nostalgia dochodzi do głosu w formie otwartej, niezaszyfrowanej, jak to się zdarza zazwyczaj w utworach emigracyjnych. Utracony raj dzieciństwa występuje w formie skondensowanej; rekwizyty dzieciństwa – lalki, misie, koty – urastają do symboli najdoskonalszej z ojczyzn; Siostry (Anisia i Pola) umierają przedwcześnie, ale ponad małżeńskie uwikłania ich życiorysów, ponad raka Poli i śmierć Anisi w katastrofie samolotowej wybija się przekleństwo niezdolności przystosowania się do obczyzny, choć – czego autorka nie tai – dzieciństwo nie było jednym pasmem pogodnych przeżyć".

Józef Mackiewicz i Barbara Toporska FOT. MUZEUM POLSKIE W RAPPERSWILU

Z całą pewnością był to osąd niesprawiedliwy, wydaje się zresztą, że dzieło pisarskie Barbary Toporskiej wciąż czeka na odkrycie i – kto wie? – może właśnie teraz nadszedł na to stosowny czas.

Na dobre i na złe

Barbara Toporska na świat przyszła w Warszawie, do liceum uczęszczała w Poznaniu, studiowała też polonistykę na tamtejszym uniwersytecie. W 1934 r. przeniosła się do Wilna, gdzie – pracując w redakcji „Słowa" – poznała Józefa Mackiewicza, z którym miała się związać na całe życie.

Włodzimierz Bolecki w „Ptaszniku z Wilna. O Józefie Mackiewiczu" w odpowiednim przypisie powiadomił: „Nie znalazłem informacji, kiedy i w jakim obrządku Mackiewicz i Toporska zawarli związek małżeński. Ślub z Toporską mógł był się odbyć w innym obrządku niż rzymskokatolicki, ponieważ w końcu lat trzydziestych Mackiewicz – jak sam napisał – przeszedł na prawosławie".

„Wedle przepisów – dociekał Grzegorz Eberhardt w »Pisarzu dla dorosłych. Opowieści o Józefie Mackiewiczu« – pełnoprawnym członkiem Kościoła prawosławnego stawało się po dwóch latach przynależności do niego. Po tym czasie mógłby zawrzeć ślub z p. Barbarą. Jak sam stwierdza, na prawosławie przeszedł dopiero w 1939 r. Po dwóch latach, rzec można, nie było już jakby atmosfery do zawierania ślubów, do wesel […].

Jedynym »dowodem« – jak informuje siostrzeniec Mackiewicza, Kazimierz Orłoś – na to, jakoby Józef i Barbara byli formalnym związkiem, jest zapis, jakiego miał on dokonać w książce meldunkowej polskiego ośrodka w Rzymie, w 1945. Wówczas to, nie chcąc komplikować sytuacji (np. oddzielnej kwatery), miał ich wpisać jako małżeństwo".

Zresztą „nawet gdyby p. Józef i p. Barbara nie byli formalnym związkiem – pisze dalej Eberhardt – w świetle ich półwiecznego pożycia, jego przebiegu, stałości – muszę uznać ich związek za małżeństwo.

Zwłaszcza że uczuciowo, a więc wedle najważniejszego kryterium, było to jak najbardziej wzorowe małżeństwo. Na dobre i na złe. Na czas sukcesów i czas klęski. Na czas nagród i czas nagonki. I wreszcie na czas biedy, biedy często godnej nazwy »nędza«.

Najważniejsze – oni tak chcieli. Tak siebie tytułowali. Per »mąż«, »żona«. Więc i co więcej można tu dodać…?".

Zdzisław A. Siemaszko tak ją wspominał: „Barbarę Toporską, przystojną i błyskotliwą warszawiankę, i Józefa Mackiewicza poznajomił w r. 1933 Piotr Kownacki, przedstawiając go: »Józef Ponury, Wielki Książę Litewski« [zdaniem Grzegorza Eberhardta Mackiewiczowie poznali się dopiero w roku 1935 – przyp. K.M.]. Taki był początek tej wielkiej i trwałej miłości. Barbara wcześnie doceniła literacki talent męża i dbała przede wszystkim o to, żeby miał znośne warunki do pisania. Kupili dom w letniskowej miejscowości Czarny Bór, o kilkanaście kilometrów na południe od Wilna, na skraju Puszczy Rudnickiej".

Karol Zbyszewski w 1985 r. pisał: „Młodość wojenna, monotonia kąta Wileńszczyzny, zwichnęły Józia. Pił

eprasa.pl df5dd0fcf6

bez opamiętania, lenił się, brodiażył. Był po drodze do zmarnowania. Na szczęście zjawiła się z poznańskiego Barbara Toporska. Została jego drugą z kolei żoną i przerobiła go, uratowała. Kupili (za jej pieniądze) dom w Czarnym Borze. Józio się ustatkował, zaczął jeździć, latać po całej Polsce, pisać reportaże. Dobre, coraz lepsze, doskonałe".

Na zasiłku

Pracowali razem w „Słowie", a po klęsce wrześniowej w „Gazecie Codziennej" wychodzącej już w litewskim Wilnie. Toporska napisze wtedy: „Nazwano nas krajowcami, gdyż reprezentujemy interesy mieszkańców tego kraju […]. Broniliśmy przed wojną interesów obywateli tej ziemi przed przerostami centralistycznej administracji. Staliśmy na straży zarówno spraw Polaków tutejszych, jak i Białorusinów, jak i Litwinów. Dziś ci ostatni nie potrzebują naszej pieczy. W ten sposób w imię tej samej krajowości chcemy dziś bronić w pierwszym rzędzie interesów Polaków tutejszych". To jednak okaże się zadaniem ponad siły, a 15 czerwca 1940 r. do Wilna wkroczyła Armia Czerwona.

W maju 1944 r. Mackiewiczowie, w obawie przed drugą sowiecką okupacją, przedostają się do Warszawy. Tu wydają trzy numery pisma „Alarm", w których – negując politykę Rządu Rzeczypospolitej na Uchodźstwie – dowodzą, że klęska Niemiec na froncie wschodnim oznaczać będzie koniec nadziei na niepodległość wielu państw, w tym Polski, znajdą się one bowiem pod faktycznym zaborem Sowietów.

Tuż przed wybuchem powstania opuszczają Warszawę, by jesienią dotrzeć do Krakowa, skąd w styczniu 1945 r., wraz z Tatarami uciekającymi przed sowieckimi wojskami, wyjeżdżają przez Pragę do Wiednia. Miesiąc później są już we Włoszech, przedostając się do

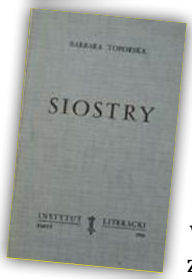

II Korpusu gen. Andersa. Toporska została sekretarzem „Orła Białego", z którego to stanowiska redakcyjnego zrezygnowała po tym, gdy pismo odmówiło wszelkich publikacji Józefa Mackiewicza pomawianego o kolaborację.

W 1947 r. Mackiewiczowie wyjechali do Londynu, w latach 1953–1955 mieszkali w Brighton, a w roku 1955 przenieśli się na stałe do Monachium. „Przez wszystkie lata pobytu na emigracji – cytuję Włodzimierza Boleckiego – jedynym źródłem utrzymania małżeństwa Mackiewiczów była praca literacka. Szansę Mackiewicza na pracę w Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, której siedzibą było Monachium, udaremnił dyrektor rozgłośni, Jan Nowak. To samo spotkało żonę Mackiewicza, Barbarę Toporską. Przed wyjazdem do Anglii, jeszcze w Mediolanie, Barbara Mackiewiczowa dorabiała na życie szydełkowaniem, później rozmaitymi pracami redaktorskimi. W styczniu 1952 r. Mackiewiczowa, mieszkając w Londynie, zaczęła pracę dla Voice of America (radiostacja znajdowała się wówczas w Nowym Jorku). Praca jej polegała na pisaniu tzw. skryptów dla sekcji polskiej VoA […]. Harmonia skończyła się w styczniu 1963 roku, gdy Barbara Mackiewiczowa zachorowała na raka. Wówczas Voice of America, jako instytucja, odmówiła jej wszelkiej pomocy, nawet w formie wypłacenia zaliczki. Gdy po długim pobycie w szpitalu i operacji Mackiewiczowa w styczniu 1964 r. wróciła do pracy, okazało się, że bez uprzedzenia zmniejszono jej zarobki do 70 dolarów miesięcznie". Czesław Miłosz w „Końcu Wielkiego Xięstwa" pisał: „Mackiewicz i jego żona, Barbara Toporska, też pióro znakomite, żyli w skrajnym ubóstwie. Muszę zgodzić się z tym, co Mackiewicz pisze w jednym z listów, że w porównaniu z nimi Gombrowiczowi znakomicie się powodziło".

Sytuacja życiowa pisarskiej pary stała się znośna dopiero po odejściu z Radia Wolna Europa Jana Nowaka, który nie zgadzał się nawet na wymienianie w audycjach nazwiska Józefa Mackiewicza. Pomogło też przybycie do Monachium z zagranicy emigracyjnego prezydenta Litwy, Stasysa Łozorajtisa. Tak to wydarzenie wspominał w 2003 r. na łamach „Rzeczpospolitej" Włodzimierz Odojewski:

„Łozorajtis był przyjmowany przez ówczesnego premiera bawarskiego Straussa […]. Honorowy gość zapytany przez gospodarzy, co by jeszcze sobie życzył w czasie swej wizyty zobaczyć, miał odpowiedzieć, że życzyłby sobie odwiedzić mieszkającego w Monachium kuzyna, polskiego pisarza, a więc tym samym popędził tę całą rządową obstawiającą go gromadę na dawne dalekie przedmieście na Windeck str 21 i – wywołał nieomal szok […].

Po wizycie Łozorajtisa, ileś tygodni podobno, odpowiedni urzędnicy administracji »Freistadt Bayern« gimnastykowali się na zlecenie premiera, jak pomóc polskiemu pisarzowi tak dobrze politycznie skoligaconemu, nie dało się nic więcej zrobić, jak wciągnąć go na listę… tak zwanej pomocy humanitarnej dla ludzi wykolejonych, włóczęgów, »bdachlose«, czyli bezdomnych: odpowiedni urząd pokrywa w takim wypadku koszta mieszkania, jeżeli takie jest, a nie tylko daszek z worka i gazet za śmietnikiem, do pewnej sumy zwraca za telefony, jeżeli dana osoba takowy posiada (!), przydziela kupony na odzież (określoną ilość dwa razy na rok), przede wszystkim bony na żywność, asygnuje także niewielki »taschengeld«, czyli kieszonkowe. I również zapewnia bezpłatną opiekę lekarską. W sumie niewiele, w przypadku Mackiewiczów bardzo wiele, zwłaszcza to ostatnie, ubezpieczenie bowiem stało się dla nich wprost darem niebios – Barbara Toporska była chora na raka".

Jeśli zaś chodzi o współpracę Józefa Mackiewicza z RWE, która za sprawą m.in. Włodzimierza Odojewskiego wreszcie została odblokowana, to warto zacytować uwagę poczynioną w tej kwestii przez Grzegorza Eberhardta: „[...] Mackiewicz, otrzymując pomoc jako »obdachlose«, nie mógł mieć żadnego innego źródła utrzymania (straciłby wtedy ów zasiłek).

eprasa.pl df5dd0fcf6

Tak więc honorarium, jakie powinien otrzymać od RWE, rozkładane było na wypłaty kilku pracowników Radia, i ci wręczali gotówkę Odojewskiemu, którą ten z kolei przekazywał autorowi…".

Trójlistnej mowy pacierz

Pisarski dorobek Barbary Toporskiej, oprócz już wymienionych tutaj tytułów, obejmuje powieści „Spójrz wstecz, Ajonie" (1981) i „Na mlecznej drodze" (1982), tom „Droga Pani…" (1984) zawierający teksty i jej, i Józefa Mackiewicza, opublikowane po jej śmierci listy, a także „Pamiętniki" Karola Wędziagolskiego, wydane w Londynie w 1972 r. Tę ostatnią książkę Toporska napisała – cytuję jej bibliografię – „na podstawie zbioru esejów, przeplatanych wspomnieniami, układając z tego pamiętnik chronologiczny, przeplatany dokonanym przez siebie wyborem najciekawszych, jej zdaniem, refleksji publicystycznych na temat bolszewickiej rewolucji, przekładając »wędziagolski« na polski, i uzupełniając relację odnośnikami. Na jej życzenie jej nazwisko nie zostało uwidocznione na książce, ponieważ wydawca nie chciał zwlekać z drukiem w oczekiwaniu na konieczną jej zdaniem autoryzację autora wspomnień".

W nie zawsze sprawiedliwym, ale jakże ciekawym szkicu „Polityka polska wobec Białorusinów" („Wiadomości" 1962, nr 34) przypominała Toporska: „Ludzie są wszyscy tacy sami, a różnice narodowe są fikcją. Nacjonalizm jest odmową traktowania innych w sposób, w jaki samemu chce się być traktowanym". Tymczasem pisała: „Teza polska brzmi: kwestię ukraińską stworzyli (nam na złość) Niemcy i Austriacy, kwestię litewską (nam na złość) Niemcy i bolszewicy, nacjonalizm białoruski był także sztucznie budzony przez Niemców (w latach 1916–1918), a później bolszewików. Też nam na złość. Równie dobrze można powiedzieć, że Grecy istnieją na złość Turkom".

Podobnie jak jej życiowy partner stała się, niech będzie, że tylko duchową, obywatelką Wielkiego Xięstwa Litewskiego, patriotką tego – jakby to ujął Zbigniew Herbert – „królestwa bez kresu i miasta popiołów". A w wierszu „Dialog" pisała:

Matko, Litwo. Ciebie moje wiersze
nie ucieszą. Krew i gniew przypomną.
Sen sierść zjeży, zaskomli. Upiór zewrze się
z widmem.
Każ cieniom zejść ze sceny! I błogosław cierpliwym
na win niepamięć, klęsk nienadaremność
trójlistnej mowy pacierz o ojczyznę jedną.

Słyszę:
„Czas goi ale nie zbliża.
Nie uładzi was już jeden cmentarz
nie zbrata brzemię wspólnego krzyża.
Bądź wola Twoja… Po co pamiętasz?".

Matko Litwo. Ta modlitwa znaczy
dla mnie bursztyny na twojej szyi.
Książęcy kołpak. Haftowany stanik.
Płaszcz na sobolach. Perłę w toczenicy.
Powracających tętent pogoni!…
Mińsk – Kowno – Wilno w wieńcu zielonym
I krew arterii – wieloplemienność.

„Ród ostał tutaj" gniewnie mi przeczysz.
Wieśniaczą drwiną, palcem sękatym
dziurawisz chlewy, świdrujesz świrno:
„Dziś kołchoźnicze, jutro podzielą
synowie moi. Ty prawem jakim?".

Tęsknoty.
Nad rzekami Babilonu
tameśmy majaczyli dziecinne sady, sosny
tameśmy siedzieli i płakali
wypominając niebieski Niemen
wypominając Wilię i Dźwinę…
To nic.
To dużo.
To wszystko.

Miara wolności i godności

W 1960 r. pisała w „Kulturze": „Dla mnie komunizm jest zły, bo jest NIEPRAWDĄ. Jest nieprawdą, która siłą zagradza ludziom drogę do poznania Prawdy […]. Stosunek do prawdy jest, moim zdaniem, najbardziej adekwatną miarą wolności i godności. Człowiek wolny ma prawo dociekania prawdy w każdej dziedzinie".

I ostrzegała („Wiadomości" 1960, nr 42): „Czasy Oświeconego Analfabetyzmu minęły bezpowrotnie. Wstąpiliśmy w okres Piśmiennej Ciemnoty. Analfabeta, wyekwipowany w swój chłopski rozum, potrafi reagować jak Homo Sapiens. Dzisiejsze masy czytelnicze nie potrafią".

„Gdy p. Barbara umarła – czytamy w książce Grzegorza Eberhardta – w miejscowym, parafialnym kościele katolickim odbyła się msza w jej intencji. Powiadomiony o jej śmierci papież Jan Paweł II [zdaniem Tadeusza Nowakowskiego admirator twórczości Józefa Mackiewicza – przyp. K.M.] delegował na mszę swojego przedstawiciela, profesora liturgii wyższego seminarium wiedeńskiego. Doktor Fajer pamięta panikę miejscowych księży, nagle niezbyt pewnych poprawności swych zachowań.

Ja zapamiętam gest Papieża, konkretny znak Jego uznania i akceptacji tych dwojga ludzi. Podobno strasznych wrogów Kościoła!".

A w kaplicy cmentarnej w mowie pogrzebowej ks. dr Bonifacy Miązek powiedział:

„Barbara Toporska była pisarzem bezkompromisowym. Pisała o sprawach trudnych, o ludziach ściganych pożarami wojen, o bohaterach i płazach pod ciśnieniem wydarzeń, o wyrzuconych na obce brzegi po wielkim potopie. Barbara Toporska była pisarzem odważnym. Mimo osobistych cierpień spowodowanych chorobą raka i kilkoma operacjami, mimo świadomości porażenia śmiercią rzucała się w wir emigracyjnego życia, nawoływała do jedności w walce o wolną Polskę, piętnowała błędy i polityczny marazm, zmęczonym dodawała optymizmu. Jej publicystyka (od roku 1945 do 1980 bibliografia Jej wystąpień publicystycznych dochodzi liczby 130) jest świadectwem pasji patriotycznej, ale również świadomej pasji pisarza uwikłanego w sprawy życia, w historię swojego narodu".

Rzeczywiście, zmarła była w swoich poglądach bezkompromisowa. Tak jak jej mąż, który pytany o zawód, odpowiadał: „antykomunista". Andrzej Bobkowski uważał nawet, że Toporska w swoim antybolszewizmie przewyższała autora „Kontry", i nazywał ją „torpedą".

31 stycznia 1985 r. w Monachium umiera Józef Mackiewicz. Niecałe pięć miesięcy później w Oberaudorf w Bawarii zmarła Barbara Toporska. Prochy obojga spoczęły w Londynie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl df5dd0fcf6

Objęcie władzy przez Arthura Greisera (z prawej) w Kraju Warty.
FOT. NAC

Książka miesiąca / Sąsiedzi przeciw Polakom

Okupanci i my

Okupację niemiecką najczęściej kojarzy się z ziemiami Generalnego Gubernatorstwa, gdyż najbardziej wryły się w pamięć miejsca takie jak Palmiry, katownia gestapowska przy alei Szucha, obozy koncentracyjne oraz zagłady Majdanek i Treblinka. I wydarzenia takie jak powstanie warszawskie czy zamach na Franza Kutscherę. Los Polaków na ziemiach włączonych do Niemiec jest mniej obecny w świadomości historycznej. A tam właśnie rozpoczęła się eksterminacja polskiej elity. Na Pomorzu zamordowano jesienią 1939 r. 23–24 tys. Polaków, a Lasy Piaśnickie stały się „pomorskim Katyniem". Na masową skalę zabijano lub zsyłano do obozów, gdzie umierali, katolickich księży.

Profesor Chwalba opisuje ponure realia życia w Wielkopolsce, na Pomorzu i na Górnym Śląsku. Można je streścić w słowach: dyskryminacja, segregacja rasowa i germanizacja. Polacy i Żydzi zostali pozbawieni ochrony prawnej, a o winie i karze decydowały nie sądy, lecz policja. Niemcy nakazali, by Polacy zdejmowali na ich widok czapki z głów, a jazda na rowerze wymagała zezwolenia. Wprowadzono nawet zakaz sprzedaży zabawek dla polskich dzieci. Najgorsza sytuacja panowała w Kraju Warty, gdzie wiele dzieci nie chodziło do szkół – oczywiście niemieckich. Ale już na Pomorzu uczyło się 80 proc. dzieci, a na Górnym Śląsku istniał obowiązek szkolny. Autor pisze o Niemieckiej Liście Narodowej, tzw. volksliście, stwierdzając, że dla wielu Polaków był to wybór między niemieckim obozem koncentracyjnym a wysłaniem na front wschodni. Niemcy nie mieli zaufania do Polaków zaliczonych do III i IV grupy. Jak stwierdza prof. Chwalba, niejednokrotnie folksdojcze byli patriotami, dalej czuli się Polakami, a tylko maskowali swe pochodzenie i poglądy.

Litewska okupacja Wilna i Wileńszczyzny (1939–1940) miała nieporównywalnie łagodniejsze oblicze od niemieckiej i sowieckiej, nie było masowych zsyłek do obozów ani rozstrzeliwań. Polskość była jednak tępiona, w myśl – częściowo prawdziwego – przekonania, że Polacy na Wileńszczyźnie to spolonizowani Litwini. Władze litewskie chciały więc zmusić ich do powrotu do korzeni, by stali się Litwinami. Ale poza wyjątkami Polacy nie mieli na to ochoty. Istniały polskie teatry, działała polska prasa – oczywiście ostro cenzurowana. Ale doszło również do strajku szkolnego przeciw lituanizacji.

Słowacka okupacja Spisza i Orawy (1939–1945) także nie miała zbyt drastycznego charakteru. Słowacy uważali bowiem górali spiskich i orawskich za „swoich". To jednak oznaczało usunięcie języka polskiego ze szkół i zakaz używania w kościele polskich książeczek do nabożeństwa. Do przyjęcia tożsamości słowackiej przyczyniały się poprawa warunków bytu, dobre zaopatrzenie w żywność i niskie podatki. Jak pisze autor, to własne dlatego część mieszkańców Orawy i Spisza o nieskonkretyzowanej tożsamości stała się Słowakami. ©℗

Tomasz Stańczyk

ANDRZEJ CHWALBA
„POLSKA KRWAWI, POLSKA WALCZY. JAK ŻYŁO SIĘ POD OKUPACJĄ 1939–1945"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

eprasa.pl df5dd0fcf6

Wojna rozbitków

W 1742 r. do wybrzeży Ameryki Południowej dobiły dwie przerażająco wyglądające łodzie. Najpierw, w styczniu, u brzegów Brazylii pojawił się chałupniczo przerobiony 15-metrowy barkas, na którego pokładzie znajdowało się 30 krańcowo wycieńczonych ludzi. Byli to brytyjscy marynarze, którzy rok wcześniej rozbili się u wybrzeży Chile. Opowiadali miejscowym nieprawdopodobnie brzmiące historie o walce z żywiołem w Cieśninie Drake'a, o zatonięciu swojego okrętu HMS „Wager" i wreszcie o przeklętej wyspie, z której cudem udało im się wydostać oraz przepłynąć tysiące kilometrów – przez Cieśninę Magellana – do wybrzeży Brazylii.

Pół roku później inna rozpadająca się łódź dobiła do wybrzeży Ameryki Południowej, tym razem po drugiej stronie kontynentu – w Chile. Na jej pokładzie było tylko trzech ludzi, ale wyglądali podobnie żałośnie jak ich koledzy, którym udało się dobić do brazylijskich brzegów. Z ich opowieści wynikało jednak, że marynarze z barkasu nie byli żadnymi bohaterami, lecz buntownikami. Właśnie rozpoczynała się zacięta walka sądowa, której przyglądać się miała cała Wielka Brytania.

David Grann drobiazgowo odtworzył w swojej książce historię wyprawy dowodzonej przez lorda George'a Ansona. W sierpniu 1740 r. sześć brytyjskich okrętów wyruszyło na Pacyfik, by nękać Hiszpanów i grabić ich galeony wypełnione złotem i srebrem. Rzeczywistość okazała się jednak wyjątkowo brutalna. To, co przez kolejne pół roku działo się z okrętami tej eskadry, kazało niejednemu marynarzowi podejrzewać, że wisi nad nimi wszystkimi klątwa. Okręty trapione były awariami, wpadały na skały, a ich załogi padały jak muchy. Po kilku miesiącach na większości okrętów przy życiu pozostała mniej niż połowa ludzi. Najgorsza była choroba, z powodu której chybotały się zęby, dziąsła krwawiły, pojawiała się opuchlizna, wypadały włosy, a ciała marynarzy wydzielały nieprawdopodobny odór. Lekarze nie byli w stanie uporać się z jej skutkami i również oni sami ginęli. Dopiero po wielu dekadach odkryto, że szkorbut wywoływany jest brakiem witaminy C i bardzo łatwo jest wyleczyć chorych.

„Sprawa Wagera" to doskonała rekomendacja dla wszystkich, którzy uwielbiają mocne opowieści o walce o życie na krańcach świata. ©℗ ***Piotr Włoczyk***

DAVID GRANN
„SPRAWA WAGERA"
WAB

Patrząc na Wschód

Ośrodek Studiów Wschodnich bardzo wiele zawdzięcza prof. Stanisławowi Swianiewiczowi, świetnemu sowietologowi, ocalałemu ze zbrodni katyńskiej. To właśnie on zaraził Marka Karpia, twórcę OSW, ideą powołania instytucji analizującej nasze sąsiedztwo na kierunku wschodnim.

OSW od ponad trzech dekad przybliża Polakom Wschód, ale przede wszystkim dostarcza rządzącym Polską narzędzi do lepszego rozumienia naszych sąsiadów. Dostajemy do rąk ciekawą historię twórcy OSW, a także środowiska analityków zajmujących się Wschodem. ©℗ ***(p.w.)***

ANDRZEJ BRZEZIECKI
„ZMIERZYĆ ARSZYNEM"
ZNAK

WOJCIECH GÓRECKI
„WIECZNE PAŃSTWO. OPOWIEŚĆ O KAZACHSTANIE"
CZARNE

W CIENIU ROSJI

Autor zna się jak mało kto na Kaukazie i „post-Sowietach". Jego podróż po Kazachstanie to okazja do przypomnienia trudnej historii regionu, która wpływa na polityczne układy oraz tożsamość współczesnych Kazachów. Jak sami siebie postrzegają? Czy widzą dla swego kraju szansę niezależny od Rosji i Chin byt? Autor przemierza Wielki Step, rozmawia z ludźmi i przywołuje ich wspomnienia sprzed lat. ©℗ ***(a.s.)***

JOANNA SIEDLECKA
„MAHATMA WITKAC"
FRONDA

ZAWSZE NIEPOKORNY

Stanisław Ignacy Witkiewicz należy do artystów, którzy wciąż budzą silne, a czasem skrajne emocje. Zachwyt, a niekiedy kontrowersje wywołują jego twórczość i życie prywatne. Autorka pokazuje go z perspektywy osób żyjących aż do czasów niedawnych. Obecne wydanie wzbogacono o nowe rozdziały i fotografie. ©℗ ***(a.s.)***

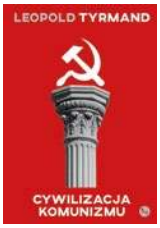

LEOPOLD TYRMAND
„CYWILIZACJA KOMUNIZMU"
WYDAWNICTWO MG

WIDMO KOMUNIZMU

„Przybyłem do Ameryki bronić jej przed nią samą" – mawiał Leopold Tyrmand. Po przyjeździe do Ameryki z niedowierzaniem stwierdził, że wszystko, co odrzucało go w komunistycznym ustroju, jest na Zachodzie przyjmowane z naiwną egzaltacją. W książce tej dokładnie wyjaśnia, dlaczego komunizm to najgorsza plaga, jaka kiedykolwiek spotkała ludzkość. ©℗ ***(a.s.)***

eprasa.pl df5dd0fcf6

Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Za wszelką cenę

W roku 1939 Polska nie miała „rządu pojednania narodowego", ponad politycznymi podziałami, jak w roku 1920. Była to jedna z głównych przyczyn tak strasznej klęski naszego narodu w drugiej wojnie światowej. Dla każdej normalnej władzy zbliżająca się nieuchronnie wojna byłaby powodem, by wyciszyć spory z opozycją i skupić się na wspólnym przygotowaniu do obrony ojczyzny. Dla Rydza, Becka, Mościckiego i pomniejszych Sławojów przeciwnie – wojna była okazją, by jeszcze mocniej opozycję atakować, kazać jej być cicho i nie przeszkadzać, bo kto w obliczu wojny krytykuje rządzących piłsudczyków, ten jest zdrajcą Polski.

Maciej Rataj, jeden z najwspanialszych polityków Polski międzywojennej, zapisał, że jeszcze 5 września, gdy domagał się rządu jedności narodowej, usłyszał od płk. Wendy, zaufanego Rydza: „Nie zamierzamy się z nikim dzielić zwycięstwem". Zwycięstwa, jak wiemy, nie było, była klęska – ale nawet ona nie zmniejszyła zapiekłości, z którą sanatorzy trzymali się stołków. Melchior Wańkowicz w listopadzie i grudniu 1939 r. dotarł do internowanych w Rumunii przywódców i przeprowadził z nimi wywiady, zawarte potem w tomie „Strzępy epopei". Usłyszał to samo, co Rataj od Wendy: tylko my, tylko nam Opatrzność powierzyła Polskę i nie zamierzamy nikomu ustępować. Na wiosnę bez wątpienia koalicja wygra i wrócimy do Warszawy u boku Anglików i Francuzów.

Anglicy i Francuzi mieli znacznie lepsze wyczucie polskich nastrojów niż sami Polacy – wiedzieli, że ucieczka oficjeli, zwłaszcza Rydza (cywilom można było wybaczyć, Naczelnemu Wodzowi – zwłaszcza tak się przez lata puszczającemu – nigdy), zredukowała poparcie dla sanacji praktycznie do niej samej. Że w kraju ludzie powtarzają sobie wiersz Hemara o podchodzących nocami pod okna Śmigłego-Rydza duchach żołnierzy, których posłał w bój bez broni, a sam umknął. Alianci postarali się zatem – tu ich dyplomacja działała równolegle do niemieckiej – żeby prominentów II RP zatrzymano w Rumunii. A gdy Mościcki wskazał na swoje miejsce Wieniawę-Długoszowskiego, adiutanta Piłsudskiego i arcypiłsudczyka, uznali, że po tak bezczelnym zagraniu ze strony skompromitowanej sanacji, ignorując to i narzucając Polsce powolnego sobie Sikorskiego, będą mieli Polaków po swojej stronie. Nie mylili się. Wahadło ruszyło w drugą stronę, zaczęła się zemsta na prawdziwych i domniemanych członkach sanacyjnej sitwy, zsyłanie ich na Wyspę Węży, srożenie się „Izia" Modelskiego… Aż alianci uznali, że skoro wyznaczyli Polsce Sikorskiego, to mogą wyznaczyć i Bieruta. A z podzielonymi, skłóconymi Polakami liczyć się w swoich rokowaniach nie muszą – po to zresztą przecież potrzebowali Sikorskiego, żeby zabezpieczyć się ze strony polskiej przed jakąkolwiek akcją antysowiecką.

> **Anglicy i Francuzi mieli znacznie lepsze wyczucie polskich nastrojów niż sami Polacy – wiedzieli, że ucieczka oficjeli, zwłaszcza Rydza, zredukowała poparcie dla sanacji praktycznie do niej samej**

Wszystko to zostało zapomniane, tak jak większość naszej historii. A szkoda, bo nietrudno zobaczyć w dzisiejszej zajadłości triumfującego politycznego plemienia tej samej, sanacyjnej postawy: Polska jest nasza i niczyja inna, żadne wybory, żadna opinia publiczna, żadne decyzje nie mogą tego zmienić – a jeśliby nawet zmieniły, będą to zmiany nieważne, niemające moralnej legitymacji, i my się nigdy na nie nie zgodzimy – tak jak się nie zgadzali i konspirowali piłsudczycy dopóty, dopóki nie wymarli.

Pogróżki, że jeśli będziemy się opierać jedynie słusznej władzy, to przyjdzie przywrócić tu ład jakaś „siła zewnętrzna", już zresztą padły. ©℗

eprasa.pl df5dd0fcf6

Piotr Semka

/ Felieton

„Carter, ratuj nas!”

Jimmy Carter jako pierwszy w historii prezydent USA dożył 100. urodzin. Jest on obecnie jednym z pięciu wciąż żyjących byłych prezydentów USA. Oprócz niego żyją jeszcze Bill Clinton, George W. Bush, Barack Obama i walczący właśnie o powrót do Białego Domu Donald Trump.

Na tle tych eksprezydentów Jimmy Carter to prawdziwy matuzal. Amerykanie zapamiętali go jako hodowcę orzeszków ziemnych z Georgii, który umiał wspiąć się na sam szczyt. Już jego ojciec hodował ten przysmak. Producenci fistaszków zapewne wykorzystają długowieczność Cartera do reklamowania swojego produktu: orzeszki przedłużają życie!

Dla mnie prezydentura Cartera to przyjemne wspomnienie czasów, gdy pierwsze symptomy kryzysu komunizmu zaczęło zauważać nawet tak małe dziecko jak ja.

W 1976 r., gdy Carter wygrał wybory, miałem 11 lat i nowy prezydent od razu mi się spodobał. Po pierwsze, zyskiwał na tle Geralda Forda. Poprzednik Cartera był wyznawcą cynicznej linii amerykańskiej dyplomacji z epoki Henry'ego Kissingera, która uznawała bez zastrzeżeń sowiecką dominację nad połową Europy. Ford upadł tak nisko, że na jednym z wieców zdarzyło mu się przekonywać wyborców o polskich korzeniach, iż PRL to normalne, niepodległe państwo.

Carter wprowadził do polityki USA nowy ton. Jako głęboko wierzący baptysta traktował bardzo serio kwestię wolności praktyk religijnych w Związku Sowieckim i w krajach obozu komunistycznego. Już samo to wystarczyło, by zdobył w mojej rodzinie wiele punktów. Jego poprzednik mówił wiele o odprężeniu i odsunięciu wizji globalnego konfliktu atomowego, ale znacznie mniej o wartościach. Carter nie był wojowniczo nastawiony wobec Kremla, choć twardo przypominał komunistom o prawach człowieka i obywatela. Nieprzypadkowo powstała w 1977 r. w Polsce – w czasie jego kadencji – pierwsza jawna prawicowa formacja opozycyjna, która przyjęła nazwę Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Ekipa Edwarda Gierka bała się tego hasła. Zgodziła się na wydrukowanie pełnego tekstu Aktu końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, gdzie zapisano te prawa, jedynie w niskonakładowym tygodniku „Forum”. Mimo to nasi dysydenci kopiowali ten akt podpisany przez władze Polski Ludowej i powoływali się niego przed urzędami PRL.

Pamiętam, jak 29 grudnia 1977 r. Carter odwiedził Warszawę. Opowiadano wówczas, że z tłumu zebranego na trasie przejazdu gościa zza Atlantyku w Alejach Ujazdowskich krzyczano: „Carter, ratuj nas!”. W mojej szkole podstawowej powtarzano w końcu 1979 r. „krzepiącą ducha” rymowankę: „Jeden Polak jest papieżem, drugi stoi przy Carterze (to o Zbigniewie Brzezińskim), trzeci przed Breżniewem klęczy (to o Edwardzie Gierku) – reszta się w kolejkach męczy”.

Zbigniew Brzeziński – ów „Polak „stojący przy Carterze” – budził wyjątkową satysfakcję u Polaków nad Wisłą. Cieszono się, że wreszcie w Białym Domu znalazł się ktoś, kto rozumie perfidię Sowietów i nie daje się złapać na pokojowe frazesy. Pamiętam, jak z kolegami oglądaliśmy z wypiekami na twarzy zdjęcie Brzezińskiego na granicy Pakistanu i Afganistanu okupowanego przez ZSRS. Ubrany w nonszalancką wojskową parkę „Zbig” mierzył z karabinu maszynowego w stronę Sowietów, a kąśliwy podpis w komunistycznym tygodniku głosił: „Niebezpieczne zabawy”.

Carter miał też oczywiście sporo słabości. Był bezradny wobec porwania w Teheranie pracowników ambasady i przetrzymywania ich ponad rok w niewoli.

W 1980 r. Carter przegrał wybory z Ronaldem Reaganem. Wielu Amerykanów powtarzało potem, że klęskę zgotowali mu prezenterzy czołowych dzienników telewizyjnych w USA. Przez ponad rok zawsze kończyli przegląd wiadomości frazą: „Dziś kolejny dzień niewoli naszych dyplomatów w Teheranie”. Na tle silnego Reagana Carter jawił się jako mięczak.

Ale bez determinacji Cartera, by głośno mówić o gwałceniu praw człowieka i wolności religijnej w cieniu imperium sierpa i młota, nie byłoby wolnościowej krucjaty Reagana.

Dwieście lat, Panie Prezydencie! ©℗

eprasa.pl df5dd0fcf6

7 grudnia 1941 r. / Trauma na Hawajach

Pawilon muzealny nad wrakiem USS „Arizona"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, US NAVY

Czarne łzy „Arizony"

Piotr Włoczyk z Honolulu

To była największa strata w historii US Navy. Niemal połowa wszystkich ofiar ataku na Pearl Harbor zginęła na tym jednym okręcie

Trzeba się dobrze przyjrzeć, by je zauważyć. „Łzy »Arizony«" nazywane są czarnymi, ale na powierzchni morza tak naprawdę zobaczymy nie ciemne plamy, ale różnokolorowe. Dopiero na zdjęcia podwodnych, robionych przy okazji kolejnych badań wraku, widać, jak w górę wznoszą się co jakiś czas czarne kropelki, które wyglądają w tej scenerii bardzo symbolicznie. USS „Arizona" od ponad 80 lat codziennie wypuszcza z siebie kilka litrów tych „łez" – okręt tuż przed zatopieniem został bowiem zatankowany do pełna i szacuje się, że w jego zbiornikach wciąż znajduje się ponad 200 ton ropy.

USS „Arizona" Memorial w Pearl Harbor. Stoję w miejscu niemal świętym dla milionów Amerykanów. Pod moimi stopami znajduje się masowy grób, w którym spoczywają szczątki ponad 900 członków załogi tego pancernika. To największa pojedyncza strata w historii US Navy. Nigdy wcześniej ani później na jednym amerykańskim okręcie wojennym nie zginęło tylu ludzi. Skalę tej tragedii najlepiej ilustruje prosty fakt: na Arizonie zginęła niemal połowa wszystkich ofiar japońskiego ataku na Pearl Harbor (w sumie 7 grudnia 1941 r. śmierć poniosło ok. 2,4 tys. Amerykanów).

W 1962 r. nad wrakiem zbudowana została biała betonowa konstrukcja, z której oglądać możemy z bliska „Arizonę". Ponad powierzchnię wody wystaje tylko kilka elementów okrętu. Największym z nich jest ogromna barbeta – cylindryczna podstawa jednej z czterech wież artyleryjskich pancernika. Tuż przy betonowej konstrukcji, po której chodzimy, z wraku wystaje pozostałość po maszcie, w który wetknięty został nowy maszt z wielką amerykańską flagą powiewającą nad tym cmentarzem wojennym.

Betonowa konstrukcja została zbudowana w poprzek wraku, bliżej części rufowej. Ten fragment kadłuba jest w stosunkowo dobrym stanie. Zupełnie inaczej wygląda dziób okrętu, gdzie doszło do detonacji, która zabiła prawie całą załogę. Dzięki pracom badaczy, którzy skanowali wrak przy użyciu różnych technik, wiemy, że dziób okrętu wygląda jak rozerwana puszka. Potężny pancerz rozwarstwił się i kompletnie zapadł wraz z pierwszą wieżą artyleryjską.

Do wraku „Arizony" pielgrzymuje każdy amerykański prezydent. USS „Arizona" Memorial co roku odwiedzają blisko 2 mln ludzi – cena biletu dla nikogo nie jest problemem, bo to zaledwie jeden dolar. Goście przewożeni są promem US Navy obsługiwanym przez młodych marynarzy w śnieżnobiałych mundurach. Choć służba przez cały dzień musi

eprasa.pl df5dd0fcf6

stać się w końcu rutynowa, to swoim zachowaniem pokazują oni, że biorą udział w czymś ogromnie symbolicznym, dbają też o to, by każdy gość rozumiał, jak ważne jest to miejsce.

Betonowa struktura nad wrakiem ma kształt łuku – jego najniższe miejsce wypada dokładnie na środku „Arizony". Symbolizować to ma najtrudniejszy moment wojny. Jednak im dalej od środka, tym bardziej konstrukcja wznosi się, tak samo jak zwiększała się przewaga USA nad Japonią. W ostatniej części tej budowli znajduje się wielka marmurowa tablica z nazwiskami 1177 poległych członków załogi „Arizony". Od razu w oczy rzucają się swojsko brzmiące nazwiska: Orzech, Pawlowski, Nowosacki, Ziembicki…

Pearl Harbor to wciąż aktywna baza US Navy i to właśnie tu mieści się dowództwo Floty Pacyfiku. Rozglądając się dookoła, nietrudno stwierdzić, że to kawałek raju na ziemi. Lazurowa woda, fantazyjnie powyginane palmy i inne tropikalne drzewa, a w tle widać zielone góry spowite chmurami. Patrząc na ten sielankowy krajobraz, możemy sobie wyobrazić, jakimi szczęściarzami musieli się czuć marynarze z „Arizony", którzy trafili na ten okręt ze wszystkich zakątków Ameryki.

USS „Arizona" na tle Nowego Jorku

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ROBERT ENRIQUE MULLER

Idealne trafienie

Tuż przed godz. 8 w niedzielę 7 grudnia 1941 r. załoga „Arizony" przygotowywała się do rozpoczęcia kolejnego rutynowego dnia. Na okręcie przebywało w tamtym momencie niemal 1,3 tys. marynarzy.

Dwudziestosześcioletni wówczas Leland Howard Burk wspominał w 2002 r., rok przed śmiercią, że on i jego koledzy właśnie skończyli śniadanie, gdy na okręcie wszczęto alarm i wezwano wszystkich członków załogi do zajęcia stanowisk bojowych. „Arizona" stała zacumowana w tzw. Alei Pancerników przy Wyspie Ford, znajdującej się pośrodku zatoki. Przy jej brzegach stały w dwóch rzędach m.in.: USS „Maryland", „Nevada", „Tennessee", „West Virginia", „Oklahoma" i „Arizona". Co ciekawe, dwa miesiące wcześniej „Oklahoma" uderzyła w „Arizonę", wybijając w niej sporą dziurę. Pancernik dopiero co został naprawiony i miał kontynuować ćwiczenia, które teraz, wobec zaognienia relacji z Japonią, były szczególnie istotne.

„Bombardowanie zaczęło się ok. godz. 8. Byłem właśnie w dolnym przedziale amunicyjnym […]. Moim stanowiskiem bojowym były 14-calowe działa [największe na okręcie, w sumie było ich 12 – przyp. red.]. Gdy rozpoczął się alarm, byłem na swoim stanowisku – stałem przy dopychaczu, którym dobijaliśmy w lufie pociski" – wspominał Burk.

> „Słysząc huki, zbiegliśmy razem z kolegami na dół i gdy tylko otworzyłem drzwi… **po prostu nie mogłem uwierzyć własnym oczom"**

Większość marynarzy służących na „Arizonie" nie widziała początku ataku, ponieważ zajmowali się swoimi obowiązkami pod pokładem. Lepszą perspektywę miał Steve Krawczyk, z którym rozmawiałem o tym w 2013 r. Krawczyk służył jako mechanik w przylegającej do portu bazie bombowców Hickam Field.

„W ten piękny niedzielny poranek akurat wybierałem się na mszę świętą, która zaczynała się o godz. 8. Do kościółka miałem dosłownie kilka kroków. O godz. 7.55 byłem jeszcze na trzecim piętrze koszar i przygotowywałem się do zejścia na dół, gdy wraz z innymi kolegami usłyszałem potworny huk eksplozji. Popatrzyliśmy na siebie wszyscy zdziwieni, pytając się nawzajem: »Skąd się wziął taki huk w niedzielny poranek?«. Pierwszą myślą było, że to marynarka prowadziła ćwiczenia, ale z drugiej strony... to była przecież niedziela! Chwilę potem koszarami znów wstrząsnął huk. Potem kolejny. I jeszcze jeden. Wtedy zorientowałem się, że coś jest strasznie nie tak – wspominał Steve Krawczyk. – Wtedy jeszcze nie wszczęto alarmu, ale słysząc huki, zbiegliśmy razem z kolegami na dół i gdy tylko otworzyłem drzwi... po prostu nie mogłem

eprasa.pl df5dd0fcf6

uwierzyć własnym oczom. Przede mną, nade mną, obok mnie z ogłuszającym rykiem przelatywały samoloty z wymalowanymi wschodzącymi słońcami na bokach i na skrzydłach. Latały tak nisko, że widzieliśmy twarze pilotów. W tej samej chwili doszło do mnie, że właśnie w ten sposób zaczyna się dla nas wojna".

Ponieważ nigdzie nie było widać amerykańskich lotniskowców, które ćwiczyły akurat na pełnym morzu, japońscy piloci na cel wzięli przede wszystkim największe okręty, w tym „Arizonę".

Pierwsze upadające bomby wznieciły pożary, ale nie były to dla okrętu śmiertelne rany. Przez prawie kwadrans załoga „Arizony" gasiła ogień i starała się powstrzymać japońskie samoloty ogniem karabinów maszynowych i działek przeciwlotniczych. O godz. 8.10 ich walka została brutalnie przerwana. Japoński samolot zrzucił z wysokości ok. 3 km bombę ważącą 700–800 kg. Trafiła ona w najgorsze – dla załogi okrętu – miejsce. Bomba przebiła się przez pięć pokładów i zatrzymała się w pomieszczeniu, w którym składowane były amunicja i proch. Moment ten pokazano bardzo sugestywnie w filmie „Pearl Harbor" z 2001 r.: bomba uderzyła tuż przy wieży artyleryjskiej nr 2, minęła pomieszczenia kuchni okrętowej i wleciała między olbrzymie pociski do 14-calowych dział. Kucharz, który zajrzał przez dziurę i zobaczył ten widok, zaczął się żegnać z życiem...

Bomba spowodowała eksplozję ok. 500 ton materiałów wybuchowych. Widać to na filmie nagranym przez kamerzystę, który stał niecały kilometr dalej. Na nagraniu widać, jak przednia część okrętu ważącego 35 tys. ton poderwana zostaje ponad wodę na wysokość ok. 10 metrów, a dziób i centralna część okrętu znikają w kuli ognia i dymu.

Pearl Harbor, zdjęcie z kabiny japońskiego bombowca

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, US NAVY

Ostatnie chwile „Arizony"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATIONAL ARCHIVES AND RECORDS ADMINISTRATION

Płonące morze

„Dostaliśmy rozkaz natychmiastowej ewakuacji z wieży, by gasić ogień. Gdy wyszedłem, zobaczyłem na pokładzie chłopaków leżących wszędzie dookoła, jęczących i błagających o pomoc. Większość była bez ubrań. Albo zostały one zdmuchnięte, albo były wypalone. Pomagałem przenieść niektórych rannych. Ich ciało przylepiało się do rąk… – wspominał Leland Howard Burk. – Wsadzaliśmy ich do łódek, które podpływały, by ewakuować ludzi. Zmontowaliśmy ekipę strażacką. Okręt tonął. Pamiętam, jak powiedziałem do komandora podporucznika Fuqua: »Komandorze, nie ma sensu gasić pożaru«. Dostaliśmy od niego rozkaz opuszczenia okrętu. Rzuciliśmy tratwy ratunkowe i wskoczyliśmy na nie. W tym momencie okręt był już tak zanurzony, że wystarczyło zrobić na nie krok. Zaczęliśmy płynąć na wyspę Ford. Powierzchnia wody była pokryta ropą, jej część płonęła. Gdy płynęliśmy, słyszałem wołania tonących, niektórzy dawali już za wygraną i znikali pod powierzchnią".

Donald Stratton (1922–2020) w momencie wybuchu znajdował się w rufowej części okrętu, na stanowisku kierowania ogniem. „Straciłem kawałek ucha. Wypaliło mi włosy, a skóra na moich rękach wisiała i mogłem ją zrywać. Stałem na pokładzie, gdy zobaczył

eprasa.pl df5dd0fcf6

mnie marynarz z USS »Vestal« [okrętu transportowego, który przycumowany był do »Arizony« – przyp. red.]. Rzucił mi linę. Przymocowałem ją do »Arizony« i, trzymając się jej rękoma, pokonałem tak ok. 25 metrów i dostałem się na pokład »Vestal«". Stratton do końca życia zmagał się z efektami pożaru na „Arizonie" – 70 proc. powierzchni jego ciała było poparzone.

„Chłopaki wybiegali z ognia i chcieli skakać za burtę, ale wszędzie dookoła paliła się ropa – opowiadał Lou Conter (1921–2024). – Nasz dowódca kazał nam, ocalałym, zająć się nimi i powiedział, że możemy ich nawet w razie konieczności znokautować, by stracili przytomność i nie próbowali się zabić, wyskakując za burtę prosto w ogień".

Trudno dziś ustalić, ilu marynarzy zginęło w momencie eksplozji. Być może liczba ta była bliska tysiąca. 334 członków załogi „Arizony" przeżyło atak na swój okręt, ale tylko 93 z nich było na „Arizonie" w momencie ataku (ponad 200 było wtedy na lądzie). Oznacza to, że tylko jeden marynarz na 14 zdołał przeżyć wybuch… Większość ocalonych przebywała w momencie eksplozji na rufie.

Wśród ofiar ataku na „Arizonę" znaleźli się najwyżsi rangą oficerowie: m.in. kadm. Isaac C. Kidd, a także kapitan okrętu Franklin Van Valkenburg.

Co ciekawe jednak, jak wspominał w rozmowie ze mną Steve Krawczyk, tragedia „Arizony" w przedziwny sposób oznaczała ratunek dla ludzi na pobliskim lotnisku wojskowym.

„Hickam Field było bardzo rozłożystym celem, więc nie ponieśliśmy aż tak wielkich strat wśród ludzi [121 stacjonujących tam żołnierzy straciło życie – przyp. red.]. Z kolei w bazie Marynarki Wojennej, która była tuż obok, wszystko było bardziej skoncentrowane, więc jedna bomba mogła dokonać – i dokonała, jak w przypadku pancernika „Arizona" – gigantycznych spustoszeń wśród załogi. Przez cały ten ciągły huk i chaos nie kojarzę potężnej eksplozji na „Arizonie", ale pamiętam za to czarny dym, który wydobywał się z pancernika. Pewnie wiele osób kojarzy ten dym ze zdjęcia, które jest jednym z najczęściej pojawiających się w kontekście ataku na Pearl Harbor. Dym był strasznie gęsty i gdy przywiało go nad naszą bazę, zasłał cały teren, tak że nie byłem w stanie widzieć dalej jak na dwa metry przed sobą. W pewnym sensie „Arizona" osłoniła nas więc przed Japończykami – mówił Steve Krawczyk.

Dwie godziny po rozpoczęciu ataku na Pearl Harbor cztery pancerniki poszły na dno, a trzy kolejne zostały na tyle pokiereszowane, że wymagały poważanych napraw. W sumie Japończykom udało się tamtego dnia zatopić lub uszkodzić 18 amerykańskich okrętów.

„Arizona" płonęła ponad dwie doby. Sterling Cale (1921–2024), farmaceuta służący w Pearl Harbor w szpitalu wojskowym, zasłynął poświęceniem podczas akcji ratunkowej. Cale był też członkiem grupy, która został wysłana na „Arizonę", by wyciągnąć z niej ludzkie szczątki. Wspominał, że najbardziej wstrząsającym widokiem były odnajdywane tu i ówdzie kupki prochu – pozostałości po marynarzach, których ciała uległy kompletnemu spopieleniu. W końcu podjęto decyzję, by nie wyciągać już z „Arizony" ciał i prochów ofiar ataku i przekształcić to miejsce w cmentarz.

USS „Missouri" i pawilon nad wrakiem USS „Arizona" FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Tragedia i triumf

Pearl Harbor nie zostało jednak zamienione w miejsce, gdzie Amerykanie tylko rozpamiętują 7 grudnia 1941 r. Owszem, USS „Arizona" Memorial zajmuje centralne miejsce, ale odwiedzający to miejsce po chwili zadumy nad tragedią załogi „Arizony" mogą przenieść swój wzrok na przycumowany po sąsiedzku inny ogromny pancernik, jeszcze większy od „Arizony" (i to o blisko 100 metrów). Związany z nim epizod to symboliczny kontrapunkt dla opowieści o wojnie między Japonią i USA.

USS „Missouri" (zwana też pieszczotliwie „Big Mo") to okręt, który do służby wszedł pod koniec drugiej wojny światowej. Był to ostatni pancernik zbudowany w Stanach Zjednoczonych i jednocześnie najdłużej na świecie wykorzystywany okręt tego typu. „Big Mo" załapała się jeszcze na udział w wojnie w Zatoce Perskiej – z jej pokładu wystrzeliwano na Irak pociski manewrujące Tomahawk, co pokazuje, jak wiele modyfikacji przeszedł ten okręt w porównaniu z podobnymi konstrukcjami z czasów drugiej wojny światowej. USS „Missouri" odeszła na zasłużoną emeryturę dopiero w 1992 r.!

Przycumowana do Wyspy Ford „Big Mo" jest dziś okrętem muzeum. Zwiedzający mogą zajrzeć do kajuty kapitana (a właściwie salonu), obejrzeć potężne wieże artyleryjskie (jej największe działa są o dwa cale większe od tych z „Arizony"), a także przejść się po przepastnej mesie. Największą popularnością wśród odwiedzających cieszy się jednak niewielki punkt na pokładzie przy drugiej – licząc od dziobu – wieży artyleryjskiej. Odgrodzona łańcuchem pamiątkowa plakietka przykręcona do pokładu informuje zwiedzających, że właśnie w tym miejscu 2 września 1945 r. Japończycy podpisali akt bezwarunkowej kapitulacji. Poniżej podane zostały dokładne współrzędne geograficzne, dzięki czemu szybko możemy sprawdzić w naszych smartfonach, gdzie dokładnie w Zatoce Tokijskiej stała wówczas „Missouri". „Arizona" i „Big Mo" – sąsiadujące ze sobą tragedia i triumf, symboliczny początek i koniec wielkiej wojny o Pacyfik.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl df5dd0fcf6

XIX–XX w. / Kulinarne efekty urbanizacji

Fabryczny schabowy

Tymoteusz Pawłowski

Sztuka kulinarna jest ściśle związana z rozwojem nauki i techniki. Przykładem może być choćby nasz swojski kotlet

Wyjątkami od tej technicznej reguły kulinarnej są w przeważającej mierze potrawy, które można by nazwać wiejskimi. W Polsce to takie potrawy, jak szlachecki bigos i bardziej ludowe pierogi. U naszych sąsiadów będą to różnego rodzaju kasze (np. mamałyga), sery (np. bryndzowe haluszki) czy potrawki (np. gulasz). Ale już placki ziemniaczane – szeroko znane jako draniki, latkesy, deruny, kartoffelpuffery – to potrawa rewolucji przemysłowej.

Jeszcze nie tak dawno kuchnia była prosta. Bazą większości posiłków były kasza lub chleb, dodatkami były ser lub słonina, a posiłki uzupełniano cebulą lub kapustą. Istotna zmiana nastąpiła na przełomie wieków XVIII i XIX, gdy pojawiły się kartofle. Ziemniaki rosły nawet na ubogiej ziemi, wystarczało ich więc nie tylko dla ludzi, lecz także dla zwierząt oraz dla przemysłu. Łatwiej dostępne stały się mięso oraz alkohole wysokoprocentowe. Niegdyś dobra te były zarezerwowane dla bogatych, a większość społeczeństwa mogła pozwolić sobie na nie jedynie od święta.

Jednak najważniejszą kulinarną zmianą przyniesioną przez XIX w. była urbanizacja. W mieście zarówno dostępność półproduktów, jak i sposób ich przyrządzania były zupełnie inne niż na wsi. Zgromadzenie w jednym miejscu kilkudziesięciu czy kilkuset tysięcy mieszkańców sprawiało, że wszystko trzeba było im dowozić spoza miasta. Stopniowo powstawały więc odmiany warzyw i owoców, które mogły przetrwać transport: twardsze i wytrzymalsze, ale najczęściej mniej słodkie i soczyste.

FOT. JEAN-PIERRE DALBERA/WIKIMEDIA COMMONS

Zmienił się również sposób przygotowania potraw. Na wsi kuchnie opalane były drewnem, które w miastach zastępowano węglem, wynalazkiem całkiem świeżym – rozpowszechnionym później niż ziemniaki! – i dającym nowe możliwości. Drewno pali się na tyle szybko, że skracając czas obróbki cieplnej, można zaoszczędzić na paliwie. Bryła węgla potrafi się palić godzinami, nie ma sensu jej gasić ani tym bardziej skracać czasu gotowania czy też coraz popularniejszego pieczenia. Dzisiejsze tradycyjne, odświętne i eleganckie potrawy – przede wszystkim pieczenie i ciasta – to pozostałość XIX w.

Kuchenki...

Wiek XIX – wraz z industrializacją i urbanizacją – przyniósł jeszcze jedną zmianę kulinarną: pośpiech. Praca na wsi toczy się swoim tempem, od świtu do zmierzchu. Praca w mieście regulowana jest natomiast zegarem. Zegar wskazuje, kiedy jest fajrant, zegar wskazuje, kiedy jest przerwa. Wedle Anglików kanapki wynalazł w XVIII w. lord Sandwich, ale tak naprawdę były one znane „od za-

eprasa.pl df5dd0fcf6

FOT. ADOBE STOCK

wsze", a stały się popularne jako posiłki ludzi pracy, spożywane dość pośpiesznie podczas krótkich przerw w fabryce czy biurze albo przed pracą.

Podobna jest geneza ulubionego polskiego obiadu: kotleta schabowego z kapustą i ziemniakami. „Côtelette" oznacza po francusku „żeberko" i słowo to – przynajmniej we Francji – znane było „od zawsze". W polskich książkach kucharskich pojawia się po raz pierwszy dopiero w 1860 r., jako nowinka z Zachodu. Prawdziwa popularność przyszła po kolejnych kilkudziesięciu latach, gdy okazało się, że kotlety są potrawą, którą można przygotować szybko, w standardowym rozmiarze, więc doskonale nadają się do serwowania w stołówkach fabrycznych i barach szybkiej obsługi. Kapusta też nie pojawiła się przypadkowo: była odporna na transport oraz można ją było długo przechowywać, więc pola wokół XIX-wiecznych miast były głównie polami kapusty.

W latach 80. XIX w. na rynek zaczęły wchodzić kuchenki gazowe. Istniały one już od kilkudziesięciu lat, ale brak było sieci gazowych, więc nie było ich do czego podłączyć. Prawdziwą popularność zdobyły po wielkiej wojnie lat 1914–1918 – zarówno ze względu na upowszechnienie się instalacji gazowych w mniejszych miastach, jak i w związku z przemianami społecznymi, które sprawiły, że kobiety coraz częściej pracowały poza domem.

Gotowanie na kuchence gazowej na tyle różniło się od gotowania na kuchence opalanej drewnem czy węglem, że organizowano specjalne kursy korzystania z nich. „Szkoła gotowania na gazie" wcale nie jest żartem: instytucje takie naprawdę istniały na przełomie wieków. Kuchenki gazowe przede wszystkim znacznie przyśpieszyły czas przygotowania posiłków: gotowanie obiadu nie zajmowało już pół dnia, a jedynie kilka godzin. Jednocześnie na popularności zyskały zupy. Oczywiście znane były już wcześniej, ale teraz można je było przygotować bardzo szybko, a dzięki ziemniakom stały się bardziej sycące. To właśnie wtedy ukształtował się typowy polski obiad: zupa i drugie danie.

... i lodówki

Najważniejszym współczesnym artykułem gospodarstwa domowego jest jednak nie kuchenka, a lodówka: wystarczy się zastanowić, bez czego nie moglibyśmy żyć w kuchni. Lodówki istniały od czasów starożytnych w formie szaf schładzanych lodem, ale był to luksus: lód sprowadzano zimą i przechowywano w głębokich piwnicach. Lodówki mechaniczne – chłodzące dzięki rozprężaniu gazu – pojawiły się jeszcze w pierwszej połowie XIX w., ale urządzenia nadające się do montażu w domu to dopiero początek XX w. Zresztą jeszcze długo elektryczne lodówki kosztowały tyle co samochód i musiało minąć trochę czasu, zanim zagościły w domach. W Polsce zaczęto je produkować w tym samym roku co telewizory: w 1956 r. (telewizor nazywał się Wisła, a lodówka – Mewa).

Zmiany, które przyszły do domów wraz z lodówkami, można opisać – i oceniać – na dwa sposoby. Z jednej strony, przestały istnieć kulinarna „magia" i egzotyka, z drugiej zaś strony nastąpiła powszechna równość. Przed erą lodówek zjedzenie wielu potraw wymagało jeśli nie pieniędzy, to siły woli: stołowania się w restauracjach, wstawania wczesnym rankiem na polowanie, podróży za granicę czy chociażby przygotowania posiłku tuż przed jego podaniem. Teraz można kupić niemal wszystko, przechowywać w mniejszym lub większym stopniu schłodzenia, przynieść to do własnej lodówki i zjeść wtedy, kiedy będzie się miało ochotę.

Wbrew pozorom nie chodzi tu wcale o suflety, kawior i pizzę, ale o sery, wędliny i mięsa – chleb nasz powszedni. Bez lodówek i zamrażarek jedlibyśmy je od wielkiego dzwonu, wówczas gdy znaleźlibyśmy czas, aby je kupić, i miejsce w żołądku, aby je spożyć. Bez lodówek w domach i sklepach nie opłacałoby się produkować wielu wędlin i mięs, a nasza dieta byłaby uboższa – nie byłoby np. mrożonych kurczaków.

Oczywiście można narzekać, że współczesne wędliny nie są takie same, jak były niegdyś, a mrożonki nie dość, że nie mają smaku, to wątpliwy jest ich proces produkcji, ale taka jest cena postępu. Zawsze można go odrzucić i jeść tradycyjne wędliny tak jak dawniej, czyli raz na tydzień. Bo przecież im rzadziej coś jemy, tym smak wydaje się lepszy.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl df5dd0fcf6

Mur w Betlejem dzielący Izrael i Autonomię Palestyńską

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FALLANER

Pod Prąd / Fragment nowej książki „Izrael na wojnie”

Błędne koło terroru

Piotr Zychowicz

Zacięty konflikt o Ziemię Obiecaną toczy się od 100 lat. Nigdy nie był jednak tak krwawy i bezwzględny

Oczy całego świata znowu zwrócone są na Bliski Wschód, który zatacza kolejne błędne koło zaciekłego konfliktu. Tym razem na skalę niespotykaną w historii. Atak Hamasu pochłonął życie ponad 1 tys. Izraelczyków, izraelska zemsta – życie ponad 40 tys. Palestyńczyków. W większości kobiet i dzieci.

Skala zniszczeń w Strefie Gazy przekracza wszelkie wyobrażenia. Jest większa niż spustoszenie wywołane przez eksplozję jądrową w Hiroszimie. Tylko w pierwszych kilku miesiącach kampanii Izraelczycy zrzucili na to terytorium 75 tys. ton bomb. Jak podała jedna z organizacji praw człowieka, jest to ekwiwalent sześciu bomb atomowych.

A przecież to tylko ostatnia z odsłon wielkiej wojny stuletniej – zaciętego konfliktu, który ciągnie się od lat 20. poprzedniego wieku. To wówczas bowiem doszło do pierwszych krwawych starć między palestyńskimi Arabami a żydowskimi osadnikami z Europy. Potem nastąpiła seria wojen – w latach 1948, 1956, 1967, 1973, 1982, 2006. Dwa palestyńskie powstania narodowe (intifady), kampania palestyńskiego terroru i kolejne mordercze „operacje specjalne” Izraela w Strefie Gazy.

„Drobny błąd”

Nasuwa się pytanie, czy można było uniknąć tego wszystkiego: ogromu ludzkich cierpień, przelanej krwi i morza ruin. Odpowiedź jest negatywna. Nie, obie strony były skazane na zaciętą, bezwzględną konfrontację.

Wszystkiemu winny jest „drobny błąd”, który popełniła grupa żydowskich intelektualistów dyskutujących w zadymionych kawiarniach Europy Zachodniej w XIX w. Gdy wymyślili ideę syjonistyczną, nie wzięli pod uwagę, że Palestyna – którą wybrali na miejsce budowy państwa żydowskiego – jest już zamieszkana.

Doskonale oddaje to sztandarowe hasło syjonistyczne: „Ziemia bez ludu dla ludu bez ziemi”. Hasło to było wielką iluzją. Samooszukiwaniem się. O ile Żydzi rzeczywiście byli ludem bez ziemi, o tyle Palestyna miała już swój lud – pół miliona Arabów żyjących między Morzem Śródziemnym a rzeką Jordan.

Istnienie tej społeczności sprawiło, że od samego początku w rdzeń idei syjonistycznej wpisany był zażarty konflikt o ziemię. Wielka erupcja przemocy, czystki etniczne i wypędzenia. W historii świata nie zdarzyło się bowiem jeszcze, aby jakiś naród dobrowolnie odstąpił swoją ojczyznę innemu.

Gdy dwa plemiona pretendują do tej samej ziemi, nie może być mowy o kompromisie. Triumf syjonizmu oznaczał dziejową katastrofę dla Palestyńczyków. I odwrotnie – spełnienie niepodległościowych aspiracji Palestyńczyków byłoby równoznaczne z klęską syjonistów.

„Występuje między nami fundamentalny konflikt – mówił Dawid Ben-Gurion, założyciel i pierwszy premier Izraela. – I my, i oni chcemy tego samego. Chcemy Palestyny”.

Dlatego właśnie Ziemia Święta płonie nieprzerwanie od ponad wieku. Izrael, który miał być bezpiecznym schronieniem, w którym prześladowani Żydzi mieli zaznać spokoju, jest w stanie permanentnej wojny. A Izraelczycy muszą żyć w poczuciu stałego zagrożenia.

To bez wątpienia największa klęska syjonizmu, ideologii, która w innych aspektach odniosła spektakularny sukces. Syjonistom udało się stworzyć naród

PIOTR ZYCHOWICZ „IZRAEL NA WOJNIE. 100 LAT KONFLIKTU Z PALESTYŃCZYKAMI”
REBIS

eprasa.pl df5dd0fcf6

żydowski i państwo żydowskie. Ale nie udało im się zapewnić bezpieczeństwa Żydom, o czym dotkliwie przekonali się mieszkańcy południowego Izraela 7 października 2023 r.

Syjonistyczna utopia pozostała w sferze marzeń.

Jan Paweł II powiedział kiedyś, że istnieją dwie możliwości rozwiązania konfliktu na Bliskim Wschodzie: realistyczne i oparte na cudzie. Realistyczne to interwencja z nieba. Cudowne – dobrowolne porozumienie pokojowe między Izraelczykami i Palestyńczykami.

Niestety, papież miał rację.

Izrael wychodzi z założenia, że z Palestyńczykami należy rozmawiać językiem przemocy. Najlepszym sposobem rozwiązywania wszelkich problemów na Bliskim Wschodzie jest naga, brutalna siła. Jeżeli Palestyńczycy dostaną porządnie w zęby – dowodzą izraelscy przywódcy – to uspokoją się i nie będą nas więcej atakować. Jak wykazał zamach z 7 października, strategia ta przynosi marne efekty.

Trudno, żeby było inaczej. Konflikt palestyńsko-izraelski jest bowiem konfliktem politycznym. Jego rozwiązanie musi być więc polityczne, a nie militarne.

Port w Hajfie. Statek, który przywiózł Żydów do Palestyny, 1947 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Czwórka Mearsheimera

Jaka przyszłość czeka zatem Izrael i cały Bliski Wschód? Istnieją cztery potencjalne scenariusze, o których mówi prof. John Mearsheimer.

1. Rozwiązanie jednopaństwowe

Państwo żydowskie ostatecznie wchłania cały Zachodni Brzeg Jordanu i Strefę Gazy, a następnie przyznaje wszystkim obywatelom demokratyczne prawa wyborcze.

Ze względu na wyższy przyrost naturalny Palestyńczyków oznaczałoby to, że błyskawicznie staliby się oni większością w państwie. Przejęliby władzę i Izrael w naturalny sposób przeistoczyłby się w Palestynę. Żydzi staliby się mniejszością.

Innymi słowy, Izrael poszedłby drogą, którą w 1994 r. obrała Republika Południowej Afryki. Rozwiązanie takie, choć marzą o nim liberalni żydowscy intelektualiści, oczywiście nie wchodzi w rachubę. Żaden izraelski rząd nie zgodzi się bowiem na likwidację państwa żydowskiego, rezygnację z idei syjonistycznej.

2. Wielki Izrael

Izrael wchłania cały Zachodni Brzeg i Strefę Gazy. Ale nie przyznaje Palestyńczykom demokratycznych praw wyborczych. Jest państwem apartheidu – segregacji rasowej. Jedna grupa etniczna bezwzględnie dominuje w nim nad drugą grupą etniczną. Prześladuje ją, okupuje i dyskryminuje. Palestyńczycy w tym scenariuszu zostają zamknięci w bantustanach, gdzie poddawani są permanentnej kontroli, a każdy przejaw buntu jest brutalnie pacyfikowany. Czyli mówimy mniej więcej o sytuacji, którą mamy obecnie.

3. Rozwiązanie dwupaństwowe

Izrael zmienia zdanie i godzi się na stworzenie niepodległej Palestyny. Okupacja dobiega końca i dwa narody żyją obok siebie we własnych, odrębnych krajach. Następuje separacja, rozłączenie.

4. Czystka etniczna

Izrael powtarza to, co zrobił w 1948 r.: wypędza z Zachodniego Brzegu i Strefy Gazy wszystkich (lub przytłaczającą większość) Arabów. Dokonuje drugiej Nakby.

Powstaje Wielki Izrael, ale nie obciążony Palestyńczykami. Homogeniczne żydowskie państwo tylko dla Żydów. Zdobycie takiej „czystej" przestrzeni życiowej jest marzeniem Smotricza, Ben-Gewira i innych izraelskich szowinistów.

Do tej „czwórki Mearsheimera" dodałbym jeszcze scenariusz numer pięć.

5. Wielka Palestyna

Wybucha wielka wojna. Izrael walczy jednocześnie z Hezbollahem, Hamasem oraz Iranem. A być może również z krajami arabskimi, które dołączają do konfliktu. Wojnę tę Izrael przegrywa. Załamuje się i przestaje istnieć.

W miejsce państwa żydowskiego powstaje Wielka Palestyna, na 100 proc. swojego historycznego terytorium. Jak głosi hasło Hamasu – od rzeki do morza.

Sytuacja wraca do punktu sprzed 1948 r. Projekt syjonistyczny dobiega końca. Żydowscy kolonizatorzy wracają do Europy, jak krzyżowcy w XIII w. Izrael, tak jak Królestwo Jerozolimskie, staje się zamkniętym rozdziałem historii.

Scenariusz taki jest niezwykle mało prawdopodobny. Gwarantem, że tak się nie stanie, są izraelskie głowice jądrowe, myśliwce F-16 i czołgi Merkawa. Oraz grupa bojowa lotniskowców US Navy, która pospiesznie przybywa na ratunek za każdym razem, gdy Izrael pakuje się w kłopoty.

Jak więc potoczy się sytuacja? Jak potoczą się dzieje Bliskiego Wschodu? W przewidywalnej przyszłości nie zmieni się nic. Na pokój nie ma szans. Żadna ze stron nie zdoła również odnieść totalnego, druzgocącego zwycięstwa. W efekcie spirala przemocy będzie się nakręcać dalej.

Jest tylko kwestią czasu to, że Palestyńczycy – w odwecie za masakrę Strefy Gazy – dokonają kolejnego ataku na Izrael. Wówczas zaś nastąpi oczywiście izraelski odwet. I tak w kółko. Błędne koło terroru.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl df5dd0fcf6

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

URODZONY W 1890 ROKU JÓZEF OLSZYNA-WILCZYŃSKI BRAŁ AKTYWNY UDZIAŁ W WALKACH O NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI. PÓŹNIEJ, W CZASIE WOJNY POLSKO-BOLSZEWICKIEJ W STYCZNIU 1920 ROKU POPROWADZIŁ ATAK NA DŹWIŃSK. WYKORZYSTANO FAKT, ŻE ZAMARZŁA RZEKA DŹWINA I DZIĘKI TEMU UDAŁO SIĘ ZASKOCZYĆ CZERWONOARMISTÓW.

ZOSTAŁ ZA TO ODZNACZONY KRZYŻEM WALECZNYCH, A JAK NAPISANO W UZASADNIENIU WNIOSKU: „PŁK OLSZYNA WÓWCZAS BIERZE OSTATNI PLUTON REZERWY I KIERUJE NIM OSOBIŚCIE W WALCE WRĘCZ, ROZPRASZA ODDZIAŁ KOMUNISTYCZNY – BIORĄC MASĘ JEŃCÓW I KMY."

PO AWANSIE DO STOPNIA GENERAŁA BRYGADY W 1927 ROKU, ZOSTAŁ MIANOWANY DOWÓDCĄ 10 DYWIZJI PIECHOTY W ŁODZI. W 1938 ROKU POWIERZONO MU DOWODZENIE OKRĘGIEM KORPUSU NR III W GRODNIE, PRZEKSZTAŁCONYM PO WYBUCHU WOJNY W GRUPĘ OPERACYJNĄ „GRODNO".

21 WRZEŚNIA 1939 R., ODPRAWA OFICERÓW W SOPOĆKINACH.

JUŻ WKRÓTCE GENERAŁ OLSZYNA- WILCZYŃSKI MIAŁ PRZEKONAĆ SIĘ, ŻE SŁOWA TE BYŁY PRAWDZIWE.

RANKIEM 22 WRZEŚNIA PRZEPROWADZONO EWAKUACJĘ POLSKICH ODDZIAŁÓW NA LITWĘ. JEDNAK AUTO, KTÓRYM JECHAŁ GENERAŁ OLSZYNA- WILCZYŃSKI WRAZ Z ŻONĄ ALFREDĄ ORAZ ADIUTANTEM – KPT. MIECZYSŁAWEM STRZEMESKIM, ZOSTAŁO ZATRZYMANE PRZEZ CZERWONOARMISTÓW.

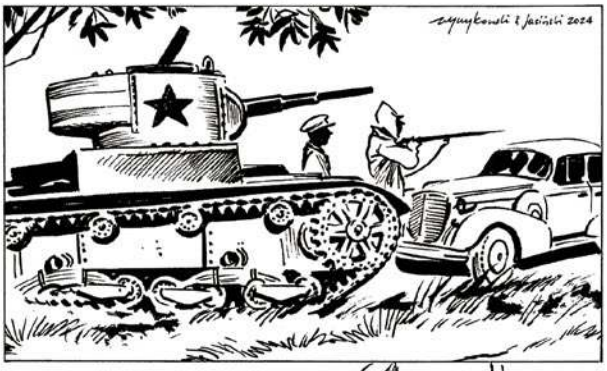

ALFREDA OLSZYNA-WILCZYŃSKA ZOSTAŁA ZAMKNIĘTA W STOJĄCEJ OPODAL STODOLE, A JEJ MĘŻA ORAZ KAPITANA STRZEMESKIEGO ZAMORDOWANO STRZAŁAMI W TYŁ GŁOWY.

NASTĘPNIE RADZIECCY ŻOŁNIERZE OBRABOWALI ZWŁOKI.

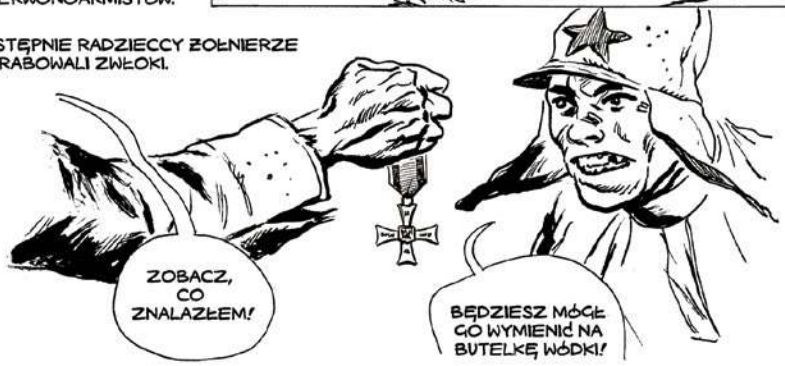

eprasa.pl df5dd0fcf6

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA EWEN MONTAGU: „CZŁOWIEK, KTÓREGO NIE BYŁO. OPERACJA *MINCEMEAT* – NAJWIĘKSZE OSZUSTWO II WOJNY ŚWIATOWEJ"

Najsłynniejsza mistyfikacja kontrwywiadowcza II wojny światowej.

W kwietniu 1943 r. wody oceanu wyrzuciły na wybrzeże Hiszpanii ciało Williama Martina, majora Królewskiej Piechoty Morskiej. Przewoził on niezwykle cenną korespondencję pomiędzy najwyższymi dowódcami alianckimi. Niewielu wówczas wiedziało, że Martin to postać fikcyjna - główny pionek w wielkiej rozgrywce wywiadów nazwanej przewrotnie operacją „Mincemeat" - „Mielonka".

Martwe ciało spuszczone z pokładu okrętu podwodnego Królewskiej Marynarki Wojennej stanowiło kluczowy element zakrojonej na ogromną skalę akcji dezinformacyjnej. Jej celem było wprowadzenie Niemców w błąd, co do miejsca przyszłego lądowania wojsk sprzymierzonych w południowej Europie.

Detale operacji „Mincemeat" jeszcze długo po wojnie trzymano w ścisłej tajemnicy. Dopiero po latach Ewen Montagu, jako jeden z dwóch głównych pomysłodawców i wykonawców akcji, przedstawił jej przebieg. Znając całą sprawę od wewnątrz, ukazał fascynujące szczegóły i trudności napotykane podczas tworzenia osobowości człowieka, którego nigdy nie było. Podjęto wówczas ogromne ryzyko, a porażka mogła przynieść katastrofalne skutki. Jednak Major Martin odegrał swoją rolę wzorowo, skutecznie przekonując Niemców, że lipcowa inwazja pod kryptonimem „Husky" nie odbędzie się na Sycylii...

Historia Williama Martina momentalnie po opublikowaniu stała się sensacją i przedmiotem zainteresowania filmowców, którzy na jej podstawie kręcą kolejne obrazy mające upamiętnić największe udane oszustwo II wojny światowej.

153 zł

oszczędność 47 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl df5dd0fcf6

67 lat
historii filmu

Największa baza dorobku polskiej kultury filmowej

Filmopedia
FILM
od 1946 roku

ODWIEDŹ STRONĘ **filmopedia.org**
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej

POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

eprasa.pl df5dd0fcf6